



MIESIĘCZNIK HOBBYSTÓW I POSZUKIWACZY

ODKRYWCA

NR 6(23)

CZERWIEC-LIPIEC 2000

ROK III

ISSN 1505-6104

CENA 7,00 PLN

W numerze:

Tajemnice Grodźca

*Podziemne fabryki
sprzed stu lat*

*W zapomnianej
sudeckiej kopalni*

*Marokańskie twierdze
chrześcijan*

*Sławomir Adamczak:
Zachorowałem
na globtroterstwo*

Szukam, szukania mi trzeba...

Drodzy Czytelnicy!

Wydanie „Odkrywcy” nr 6/2000 jako czerwcowo-lipcowego wiąże się ze zmianami organizacyjnymi w redakcji.

Następny numer ukaże się na przełomie sierpnia i września, a od października zamierzamy wrócić do formuły miesięcznika.

Obydwa wydania dwumiesięczne traktujemy jako pojedyncze, dlatego też w ramach prenumeraty na rok 2000

otrzymacie Państwo jeszcze dwa numery w roku 2001.

Przepraszamy za to drobne zamieszanie.

Mamy nadzieję, że nie zrazi ono naszych wiernych Czytelników. Życzymy wspaniałych letnich wojaży i – oczywiście – czekamy na listy.

Redakcja

Szanowni Państwo

Ten numer „Odkrywcy” jest ostatnim, który przygotowałam.

Bardzo dziękuję za współpracę i przesympatyczne kontakty.

Dziękuję za spotkania, które są dla mnie więcej warte niż wszystkie ukryte skarby.

Życzę nieustającej radości szukania.

Serdecznie pozdrawiam –





SZUKAM, SZUKANIA MI TRZEBA...

*Nazwij to, jak chcesz – ciekawością, niepokojem, wewnętrznym imperatywem. Jakkolwiek nazwiesz, chodzi o to samo:
o niewytłumaczalną a przemożną potrzebę szukania – skarbów, sensu, tajemnicy, prawdy, wartości, sposobu na życie...
Dopóty żyjesz, dopóki idziesz, szukasz, czekasz, marzysz...*

W numerze:

WYWIAD

- ze Sławomirem Adamczakiem, podróżnikiem, współautorem popularnych przewodników globtroterskich wydawnictwa „Pascal”
str. 2

PRZYGODA

- Marokańskie twierdze chrześcijan
str. 4

TAJEMNICE, ZAGADKI, HIPOTEZY

- Podziemne fabryki sprzed stu lat
str. 9
- Skarby i tajemnice Grodzca
str. 24

TROPY

- Relikty pogańskiego kultu
str. 23
- Maszyny lżejsze od powietrza
str. 32

POSZUKIWANIA

- Złotoryjskie podziemia
- W zapomnianej sudeckiej kopalni
str. 19-20

MILITARIA

- Niebezpieczne skarby
- Moździerz z przedwojennej ryciny
str. 10-12

WOKÓŁ FORTYFIKACJI

- Fort Hamilton
str. 22

KOLEKCJONERSTWO

- Wojna od strony kuchni (brytyjskiej i amerykańskiej)
- Na starych pocztówkach
- Muzeum Chleba
- Numizmatyczny skarb
str. 13-15

ZŁOTO

- Słynne gorączki złota – Australia Zachodnia i Kanada
str. 16

SKARBY

- Kasiarz i Bursztynowa Komnata
str. 18

RYCERSTWO

- Współczesne pasowania rycerskie
- Podręcznik średniowiecznego rycerza
- Adresy grup rycerskich
str. 26-28

PORTRETY

- Lubońskie Stowarzyszenie Historyczne, Stowarzyszenie Eksploracji i Archeologii Podwodnej „Eksplonur”
str. 29

ROZEJRZYJ SIĘ...

- Zabytki SOP – Bobrza
- Koźlak w Bartkowie Nowym
str. 30-31
- Wysadzamy mosty
str. 36

TO SIĘ MOŻE PRZYDAĆ

- Sprzęt pomocniczy
- O publikacjach w Internecie
str. 37-38

SPOTKANIA

- Pierwsze Mistrzostwa Polski Tragarzy Lektyk – Tragaria 2000
str. 48

ORAZ:

- Informator
str. 41
- Z redakcyjnej skrzynki
str. 42
- Przegląd prasy krajowej
str. 43
- Czasopisma i książki
str. 44-47

**MIĘSIĘCZNIK
HOBBYSTÓW
I POSZUKIWACZY**

ODKRYWCA

ISSN 1505-6104

WŁAŚCICIEL TYTUŁU – WYDAWCA

Wydawnictwo „JMK” – Marek Dudziak
62-500 Konin, ul. 3 Maja 32

REDAKCJA

62-500 Konin, ul. 3 Maja 32
tel. (063) 242 82 32, tel./fax 242 82 60
e-mail: odkrywca@lm.pl

REDAKTOR NACZELNA

Maria Wiatrowska

ZESPÓŁ

Radosław Biczak, Jola Dudziak,
Marek Dudziak, Kuba Dudziak

ADMINISTRACJA I DYSTRYBUCJA

Ewa Wróbel

STALE WSPÓŁPRACUJĄ

Krzysztof Bartnik (Gdańsk), Jacek Biesiadka (Poznań), Grzegorz Franczyk (Kraków), Zbigniew Inglot (Poznań), Zbyszko Janiszewski (Poznań), Sławomir Kordaczuk (Siedlce), Leszek Kotarski (Lębork), Piotr Kurzawa (Konin), Krzysztof Maciejak (Złotoryja), Zbigniew Miler (Gorzów Wlkp.), Andrzej Olejko (Sanok), Agnieszka Ptak (Skarżysko-Kam.), Zbigniew Rekuć (Warszawa), Krzysztof Rudziński (Gdańsk), Jacek Spychała (Gdańsk), Bogusław Stańczuk (Giżycko), Andrzej Urbański (Kielce), Mariusz Wojciechowski (Słupsk)

WSPÓŁPRACOWNICY DO SPRAW KONTAKTÓW ZAGRANICZNYCH

Agata Konińska (język francuski)
Katarzyna Michalak (język angielski)

ZA REKLAMĘ ODPOWIADA

Agencja „AM”

Agata Kwarcińska, Mirosław Benk
62-500 Konin, ul. Wojska Polskiego 16
tel./fax (063) 244 13 25
tel. 0502 048 023, 0601 241 321

OPRACOWANIE STRONY INTERNETOWEJ

www.odkrywca.lm.pl – Filip Pisarski

OPRACOWANIE GRAFICZNE, ŁAMANIE, DRUK

Agencja Reklamowa „GRAFIK” s.c.
62-510 Konin, Pl. Niepodległości 1
tel. (063) 243 88 00
e-mail: studio@grafik.pl

Za treść artykułów odpowiadają autorzy. Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopiśmie współpracujących z „Odkrywcą”. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.



Zachorowałem na globtroterstwo

ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM ADAMCZAKIEM

Sławomir Adamczak jest podróżnikiem, członkiem zarządu poznańskiego Klubu Obieżyświatów oraz współautorem popularnych globtroterskich przewodników Wydawnictwa „Pascal”. W jego dorobku książkowym znajdują się przewodniki po Ameryce Środkowej, Czechach oraz wydana ostatnio „Wielkopolska na weekend”. Odbił podróż do Pakistanu (w 1995 roku), Ameryki Środkowej – od Meksyku do Nikaragui (1996), Turcji i Syrii (1997), Togo i Burkina Faso w Afryce Zachodniej (1998) i po rocznej przerwie, w lutym bieżącego roku – do Meksyku i Gwatemali. Na rozmowę umówiliśmy się w poznańskim klubie „Za Kulisami” (róg ulic Wodnej i Klasztornej), gdzie w pierwszy piątek i trzeci sobotę każdego miesiąca około godziny 19.00 nieformalnie spotykają się członkowie Klubu Obieżyświatów.

– Ostatnio byłeś w Meksyku i Gwatemali, ale Twój podróżniczy bagaż doświadczeń jest dużo większy, chociaż jesteś człowiekiem młodym. Powiedz, co kazało ci ruszyć w świat?

– Kiedyś słuchałem ostrej muzyki i byłem gitarzystą w czaderskiej kapelce, ale zacząłem jeździć w góry i pojawiły się dylematy – wydać pie-

niędzy, jeszcze nie był. Niektórzy wolą iść po przetartych, rekomendowanych szlakach. Ja sam wolę udzielać rekomendacji lub nie – po prostu fajnie być gdzieś pierwszym.

– Ale w Meksyku już raz byłeś.

– Proza życia – po rocznej absencji było mi właściwie wszystko jedno, gdzie pojadę, a razem z żoną, Kasią, trafiły nam się dwa tygodnie wolnego, bo zdeponowaliśmy dziecko u babci. Do Meksyku były tanie bilety lotnicze, a nie mieliśmy czasu na wybrzydanie.

– Czy mam rozumieć, że polecieście na drugą półkulę z dnia na dzień?

– Dokładnie tak było. Pisaliśmy z Kasią kilka przewodników i mieliśmy strasznie napięte terminy. Skończyliśmy pracę w dzień przed wyjazdem, a końcówka była okrutnie pracochłonna. Brakło czasu na jakiegokolwiek przygotowania, ale na szczęście – oboje mamy już jakieś doświadczenie i potrafimy zadziałać rutynowo. Oczywiście, to błyskawiczne działanie nie jest standardem; moje

przygotowania do afrykańskiej wyprawy z Klubem Obieżyświatów trwały pół roku...

– Jak wyglądał Twój ekwipunek?

– To był łatwy, turystyczny wyjazd bez wielkich ambicji. Plecaki lekkie, nie braliśmy goreteksów ani śpiworów, bo było ciepło, a nie spaliśmy w namiocie, tylko w tanich hotelach, których standard przypomina nasze schroniska młodzieżowe, tylko że nie trzeba się gnieździć w żadnym tłumie, bo pokoje z łazienkami są dwuosobowe. Mieliśmy ze sobą prześcieradła zszyte jak śpiwory – do spania są idealne. Oprócz tego jasne, płócienne spodnie, sweter, polar i to właściwie wszystko. Nauczony wcześniejszymi doświadczeniami wziąłem dwa aparaty fotograficzne, ale po raz pierwszy żaden się nie zepsuł. Tym razem nie miałem szczęścia do butów niemiec-

kiej firmy Volki, które bardzo szybko się rozsypały. Jednak wybór takiej czy innej marki to sprawa indywidualna.

Najważniejsze jest solidne skompletowanie apteczki i tego nigdy nie lekceważę. Pojechaliśmy w porze suchej, jednak na wszelki wypadek jedliśmy tabletki antymalaryczne i korzystaliśmy ze środka odstraszającego moskity. Poza tym normalnie: opatrunki, środki przeciwbólowe, antybiotyki i obojętnie leki na żołądek, bo Meksyk słynie z „zemsty Montezumy”, jak ładnie nazywa się rozvolnienie, które za zwyczaj przytrafia się turystom.

Kiedyś na szlaku spotkałem pewnego Amerykanina i jakiś odcinek podróżowaliśmy razem. Przy okazji wygarnąłem z plecaka swoje prochy, a było ich z 80 sztuk. Jak Amerykanin to zobaczył, złapał się za głowę i pyta, ile to kosztowało. Wzruszyłem ramionami i odparłem, że ze dwa dolary, na co on, zbulwersowany, pokazał mi cztery tabletki, za które zapłacił dolarów 60...

– Mam nadzieję, że lekarstwa się nie przydały?

– Zawsze staram się wstrzymać od podchodzenia do miejscowej kuchni, bo żołądek nie jest śmietnikiem. W Meksyku i Gwatemali jadalismy najpopularniejszy specjał tamtejszych knajp: ryż, ciemną fasolę, jajecznicę i pieczone banany (nie te żółte, powszechne w Polsce, tylko większe, zielone). Mimo ostrożności dopadła mnie „zemsta Montezumy”, która – na szczęście – miała łagodny przebieg, ale przytrafiła mi się na statku, gdzie nie było toalet.

– To raczej niezbyt przyjemne wspomnienie, a jak pozostałe wrażenia?

– Właściwie muszę opowiadać przez pryzmat dwóch podróży, bo tegoroczna była jakimś tam powrotem do miejsc częściowo znanych. Naszym celem były pozostałości po Majach, zarówno architektoniczne, jak genowe. Mieliśmy tylko dwa tygodnie czasu i siła

niądze na nowy wzmacniacz do gitary czy lepiej na czekan i raki? Góry wzięły górę i zacząłem się bawić w takie zimowe łażenie po śniegu i lodzie. Na kolejnym rozdrożu stanąłem, gdy w tym samym czasie trafiły mi się dwie propozycje wyjazdu – wyprawa na Pik Lenina albo turystyczna włóczęga po Pakistanie. Z kłopotu wyboru wybrałem los, bo aktualny okazał się tylko drugi wyjazd. Pojechałem i doznałem szoku – zupełnie inny świat, totalna odmiana. Właśnie w Pakistanie poważnie zachorowałem na globtroterstwo, ale póki co – nie próbuję się leczyć.

– Masz duży rozrzut w wybieranych celach podróży. Czym się kierujesz?

– Z tym bywa różnie, ale generalnie interesują mnie miejsca, w których nikt, przynajmniej z szerokiego kręgu



Sławomir Adamczak w Antiqua Guatemala z kupionymi przed chwilą pamiątkami (wszystkie mu później ukradziono)



rzeczy nastawiliśmy się na zwiedzanie w biegu. Udało nam się zobaczyć wszystkie dawne miasta Majów: Teotihuacan, Cobal i Palenque w Chiapas oraz Tikal w Gwatemali, który jest fantastyczny i wszystkie meksykańskie miasta zostawia daleko w tyle, a dodatkowym plusem jest fakt, że Gwatemalczyki pozwalają wchodzić na każdą piramidę, a w Meksyku już prawie nic nie wolno. Architektura poidniańska autentycznie wprawia w zachwyt; zestawienie piramid i świątyń z zielenią dżungli jest ogromnie kontrastowe, a pomyśleć, że dawniej te budowle miały czerwony kolor – to dopiero musiało być zderzenie barw...

Jeżeli chodzi o tubylców, to najciekawsza jest zachodnia Gwatemala, bo tam ludzie, szczególnie kobiety, ubierają się tak strasznie kolorowo i nie robią tego pod tubylców, tylko to są ich stroje codzienne. Jeśli już jesteśmy przy kobietach, to najmilej wspominam pierwszą wyprawę. Podczas bytności w Hondurasie i Nikaragui wprost opędzić się nie mogłem od dziewczyn tej samej rasy co w Kolumbii i Wenezueli – największych wytwórniach miss świata. Dziewczyny nie tylko były piękne, ale jeszcze bardzo żywiołowo reagowały na widok białego turysty. Pewnie dlatego, że tam właściwie nie ma turystów.

– Może też się wybiorę do Hondurasu, bo kusisz tymi wrażeniami. Czyżby nic Cię tam nie drażniło? Tubylcy nie próbują, na przykład, wykorzystywać turystów?

– Na szczęście, nie wszyscy traktują turystów jak dojne krowy. W Ameryce nie jest źle, natomiast Afryka to istna makabra. Jeżeli ludzie w ciągu dnia zaczepią Cię ze trzy, cztery razy, prosząc o szmal, to wszystko w porządku, ale jeśli takie coś ma miejsce sto razy dziennie, to nerwy puszczają

i któryś z bardziej natarczywych jałmużników może dostać, ale po buzi. Najbardziej dziwne reakcje tubylców spotkały mnie w Pakistanie – cokolwiek człowiek by nie robił, to towarzyszy mu tłum, wszyscy stoją i spokojnie, bez cienia namiętności się przyglądają. Na swój sposób jest to bardzo sympatyczne – jak się nie śmiać, gdy w oczekiwaniu na samolot graliśmy w trójkę w karty, a nad nami stała 40-osobowa grupa kibiców? Gorzej bywało, gdy jechaliśmy samochodem – zatrzymujemy się w jakiejś wiosce, ja odchodzę na stronę za potrzebą, a za mną drecze tłum tubylców.

– Co kraj, to obyczaj... A jednak dość często wracasz wspomnieniami właśnie do Pakistanu. Cóż Cię tam tak urzekło?

– Podróż po Pakistanie to była moja globtroterska inicjacja – pewnie dlatego tak bardzo zapadła mi w pamięć. Ale niezależnie od tego – to niesamowity kraj, istna wylegarnia przygód. Czy człowiek chce, czy nie, to ciągle trafia na takie klimaty, że w głowie się nie mieści. Taksówką jechaliśmy prawie 50 godzin, włączyliśmy na szczyty wysokości 4,5 tysiąca metrów nad poziomem morza, walczyliśmy ze stadami karaluchów... To temat na książkę, a nie wywiad. A przejazd słynną drogą Karakorum Highway – istna uczta dla oczu! Gdzie nie byłem w Europie, to zawsze powtarzałem, że Tatry są najpiękniejszymi górami na świecie, ale po Pakistanie już nie mogłem tego zdania powtórzyć, po prostu nie mogłem.

– Aż zazdrość bierze i może nie jeden z czytelników zechce po Twoich opowieściach ruszyć w świat. Co mógłbyś początkującym podróżnikom doradzić?

– Jest wiele uwarunkowań; dużo zależy od strefy klimatycznej, kraju oraz tego, co chcemy zobaczyć. Najle-

piej zebrać maksimum informacji jeszcze w Polsce. Bagaż powinien być jak najlżejszy. Paszport – najlepiej gdy ma wiele czystych stron, a w trakcie przekraczania granicy warto zadbać o schludny wygląd; malownicze, ale



Kobieta wracająca z praniem do wioski. Góry Kpalimé (południowo-zachodnie Togo).

obszarpane łachy nie wzbudzają sympatii celników, a to zazwyczaj oznacza większe lub mniejsze kłopoty. Nie należy jednak przesadzać z luksusowym ekwipunkiem, bo wtedy łatwiej o stratę. Jeśli chodzi o pieniądze, to ja – bez kosztów przelotu – mieszczę się zazwyczaj w przedziale 300-600 dolarów i to wystarcza na jakiś miesiąc włóczegi.

– Przypuszczam, że najtrudniej jest się przemóc i pierwszy raz wyruszyć w trasę. Ty masz to już za sobą, a co w planach?

– Prawdopodobnie jako pilot pojadę z grupą turystów do Afryki Zachodniej, trasą podobną do tej z 1998 roku. Chciałbym również otworzyć biuro podróży niekonwencjonalnych; takie rejsy ciężarówkami lub rowerami po Afryce. Planuję rowerowy przejazd przez pustynię, a w przyszłości chciałbym robić takie rzeczy jak Marek Kamiński czy Romek Koperski, ale nie wiem, czy starczy mi sił i odwagi.

– Mam nadzieję, że Ci się uda, a tymczasem – życzę połamania szprych i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
Radosław Biczak
Zdjęcia
Sławomir Adamczak



Wybrzeże Ghany – fort Cape Coast



Marokańskie twierdze chrześcijan

Wydawało mi się bowiem, że człowiek jest taki właśnie jak twierdza. Kruszy mury, by osiągnąć wolność, lecz wtedy staje się fortecą zburzoną i wydaną gwiazdom.

Antoine de Saint-Exupéry, *La Citadelle*

Marokańskie słońce praży, jakby chciało z nas wycisnąć ostatnie soki. Mimo to Saïd prowadzi nas wciąż niezmordowanie w górę stromego, piarżystego zbocza. Od jakiegoś czasu przestaję mu ufać. Jakby zgadując moje myśli, przystaje i odwraca się, jego ciemnoskóra twarz rozplywa się w niewinnym uśmiechu. Korzystając z chwili przerwy w rozdzierającej płuca wspinaczce, przysiadam na sporym kamieniu (podobno skorpiony siedzą tylko pod małymi). Obok siada Donata, rozglądamy się wokół. Za nami, oddzielony głęboką doliną wyschniętego strumienia, płaskowyż Azzeg N'Tiguidar. Osiągnęliśmy już jego wysokość, czyli – tu rzut oka na wystającą z kieszeni, mokrą od potu mapę – jakieś 2000 metrów. Szczyt, ku któ-

Wszystko zaczęło się pewnego wiosennego poranka na piątym, najwyższym piętrze byłego KW PZPR w Poznaniu, gdzie obecnie mieści się Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM. Dobiegają właśnie końca gorączkowe przygotowania do wyjazdu organizowanego przez Studenckie Koło Naukowe im. B. Piłsudskiego. Ekspedycja ATLAS '99 ma charakter interdyscyplinarny – uczestniczą w niej studenci różnych kierunków: Agata – V rok ochrony środowiska, Donata – II rok archeologii, Piotr – V rok antropologii kulturowej i ja – IV rok etnologii. Naszym celem jest przeprowadzenie badań terenowych w Maroku, które mają zaowocować materiałem na nasze prace magisterskie. Warto wspomnieć, że projekt ATLAS '99 kontynuuje tradycję dwóch poprzednich ATLASÓW – wyruszyły one do Afryki w latach 1995 i 1997, powracając z niekwestionowanym sukcesem w postaci wyników prac badawczych, materiałów dokumentalnych i muzealnych eksponatów. Także w przypadku tegorocznego przedsięwzięcia opiekę naukową nad całością objął profesor Ryszard Vorbrich, afrykanista, nasz wykładowca, autor kilku książek, który przez ostatnie ćwierćwiecze wielokrotnie przemierzał Afrykę jako organizator i uczestnik wypraw badawczych. Jak na wstępie zastrzegł nam prof. Vorbrich, o każdej ekspedycji można napisać dwie książki: jedną o przygotowaniach do niej, drugą o wyjeździe *par excellence*. Trudno dać wiarę, ale w takim przypadku tom pierwszy wielokrotnie przewyższa objętością drugi. W istocie – przed odjazdem zwijamy się jak w ukropie, kompletując niezbędne wyposażenie, przerabiając samochód, który ma nas dowieźć na kontynent afrykański i z powrotem, załatwiając wizy, kupując mapy, pakując osobiste drobiazgi i doczytując jeszcze ostatnie publikacje dotyczące naszych badań – a wszystko to, będąc już myślami TAM...

Na razie jednak jesteśmy na końcowej odprawie w gabinecie profesora, panuje atmosfera rozluźnienia – szaleńcza karuzela przygotowań zatrzymała się – uśmiechamy się do siebie przed przesiadką na diabelski

młyn, jakim będzie sama wyprawa. Prof. Vorbrich udziela nam ostatnich instrukcji, daje adresy znajomych, odpowiada na dziesiątki naszych pytań. Gdy rozmawiamy o Atlasie Wysokim, milknie jednak, zamyśla się i po chwili mówi:

– Właściwie miałbym dla was jeszcze jeden temat badań, które moglibyście zrealizować na miejscu, dość ciekawy temat, z pogranicza archeologii i etnologii... Podczas ostatniego pobytu w Maroku sam chciałem się nim zająć, ale nie starczyło mi czasu, a i dotarcie na miejsce, o którym chcę wam opowiedzieć, okazało się dość problematyczne...

Nadstawiamy uszu. Mimo porannego kwietniowego słońca w gabinecie panuje półmrok, żaluzje są przymknięte. Nastrój potęgują afrykańskie rzeźby i maski na półkach, pomiędzy książkami i zdjęciami z wypraw profesora. Wysoko na ścianie wisi czaszka antylopy z kręconymi spiralnie rogami.

– Kiedy parę lat temu zajmowałem się tradycyjną sztuką fortyfikacyjną Berberów z Wysokiego Atlasu, natknąłem się w pewnej francuskiej publikacji z lat trzydziestych na wzmiankę o warowniach położonych wysoko w górach. Berberyjscy górale nazywają je „igidar irumin”. „Igidar” to forma liczby mnogiej od „agadir” – „twierdza”, natomiast „irumin” oznacza chrześcijanina.

– Skąd tam chrześcijanie? – pyta ktoś z nas.

– No cóż – profesor marszczy brwi, widząc luki w naszej wiedzy dotyczącej historii Afryki Północnej – po upadku Kartaginy w II wieku przed naszą erą całe południowe wybrzeże Morza Śródziemnego znalazło się przecież we władaniu Imperium Rzymskiego. Z czasem wielu obywateli Imperium, w tym prowincji afrykańskich, przyjęło chrześcijaństwo. Wśród nich byli również Berberzy. Berberem był, na przykład, święty Augustyn. Nawet po upadku Cesarstwa Zachodniego chrześcijaństwo utrzymało się na tamtych terenach, podległych wówczas Biznacjum. Tak było aż do VII-VIII wieku naszej ery, kiedy to rozpoczęła się ekspansja koczowniczych plemion arabskich ze Wschodu. Niebawem Afryka Północna, ba – nawet część Europy, poznała nową religię – islam, skutecznie wprowadzony przy pomocy miecza. „Niewierni” w zetknięciu z muzułmanami niewiele mieli możliwości wyboru: nawrócić się, walczyć, uciekać, lub...



W drodze ku twierdzy-widmu...

remu teraz zmierzamy, jest jeszcze 500-600 metrów wyżej. Po raz dziesiąty chyba z kolei pytam Saïda, wskazując ręką w górę: „Igidar irumin?”. Kiwa twierdząco głową, wciąż się uśmiechając: „Agadir, agadir irumin” – palcem pokazuje mi jedną z szeregu wyniosłych, poszarpanych turni. Coraz mniej wierzymy w jego „agadir”, a tę wyprawę zaczynamy postrzegać jako jeszcze jedną próbę ogołocenia nas z gotówki – wiadomo: przewodnik kosztuje...



– Czyli niektórzy północnoafrykańscy chrześcijanie uciekli przed muzułmanami w góry Atlasu i tam bronili się w ufortyfikowanych osiedlach – mimowolnie przerywam wykład profesora.

– Nie zapominajcie, że to tylko berberyjski folklor kojarzy te ruiny z dawnymi chrześcijanami – uśmiecha się profesor. – Na podobnej zasadzie w Polsce pradziejowe lub średniowieczne grodziska i kurhany nazywane są niekiedy „szwedzkimi szaniami”. Czy „twierdze chrześcijan” rzeczywiście wzniesli i zamieszkiwali chrześcijanie i czy w ogóle są to budowle o charakterze obronnym – to właśnie wymaga weryfikacji opartej na rzetelnych badaniach. Ale żeby zbadać, trzeba je najpierw znaleźć, co może jednak okazać się niełatwe: południowe pasmo Atlasu Wysokiego jest słabo zaludnione i – w przeciwieństwie do innych regionów Maroka – ruch turystyczny praktycznie tam nie istnieje. Poza tym próby odkrycia kart nie-muzułmańskiej przeszłości tego regionu mogą napotkać różne trudności... No, w każdym razie, gdybyście zdecydowali się tym zająć, to przede wszystkim zapoznajcie się z tą międzywojenną publikacją. Nazwisko autora to – nomen omen – Montagne.

W Polsce tej pozycji próżno szukać po bibliotekach, jest za to – na pewno, bo tam ją czytałem – w Instytucie Badań i Studiów nad Światem Arabskim i Muzułmańskim w Aix-en-Provence. Wstąpcie tam zatem po drodze do Maroka. Powodzenia!

Wychodzimy z gabinetu lekko oszołomieni. Spoglądając po sobie, nic nie mówimy – wszyscy czujemy to samo: temat „chwycił”, po prostu musimy znaleźć „twierdze chrześcijan”.

Kilka dni później siedzimy już w wyładowanej sprzętem białej furgonetce, pędzącej po niemieckich i francuskich autostradach na południowy zachód.

Aix-en-Provence. Urocze, stare miasteczko wśród wzgórz Prowansji, o krok od Lazurowego Wybrzeża. Wśród wąskich, pochyłych uliczek przycupnął *Mezon Méditerranée* – piętrowy budynek o ścianach porośniętych bluszczem. Przy wejściu tablica: *Institut de Recherches et d'Études sur le Monde Arabe et Musulman*. Nazwisko profesora Vorbricha, które podajemy, zjednuje nam sympatię pracowników. Krót-

ka rozmowa z dyrektorem Instytutu, pełna uprzejmości i żartów, i po chwili schodzimy do biblioteki. Zaczynamy szperać w katalogach i mija kwadrans, nim dostajemy do rąk tom Montagne'a: „*Villages et Kasbas Berberes, Paris 1930*” – głoszą tłoczone w twardej oprawie litery. Kilkadziesiąt stron zadrukowanych staromodną czcionką, seria fotografii w sepii, połówka mapka. Na zdjęciach przykłady berberyjskich fortyfikacji – *kasby*, *ighremy*, *ksary* jawią się jakby żywcem wyjęte z orientalnych baśni: strzeliste, wielokondygnacyjne wieże, ogrom zdobień, rozmach. Pochyleni nad książką szukamy „naszych”



Said z dziećmi przed swoim domem

twierdz. Mijają chwile, wreszcie: są – rzucamy szeptem i zaraz milkniemy. Na wyblakłej fotografii widnieje rozsypujący się kamienny wał; na wale stoi berberyjski góral w powłóczystej szacie. W oddali zębate grzbiety gór, skały pokryte śniegiem. Kilka linijek tekstu pod zdjęciem opisuje lokalizację. Montagne lakonicznie informuje nas: „*agadir* chrześcijan... obszerne kamienne ogrodzenie niegdyś przeznaczone zapewne do ochrony stad...legenda wspólna dla wszystkich berberyjskich regionów Afryki Północnej głosi, że takie starożytne budowle, podobnie jak skalne kawerny, były twierdzami pierwszych mieszkańców kraju...uważa się ich za chrześcijan...ils auraient péri exterminés par les musulmans – zginęli eksterminowani przez muzułmanów.”

To wszystko. Nie kryjemy rozczarowania. Oczekiwaliśmy zaginionych miast z bajki na szczytach niebotycznych gór, a nie kamiennych zagród dla kóz...

Nie mamy jednak czasu na oddawanie się przygnębiającym nastrojom, ruszamy dalej przez południową Francję. Piotr prowadzi niezmordowanie od świtu do wieczora. Śpimy w aucie na

parkingach przy stacjach benzynowych. Nazajutrz pniemy się serpentykami ku pirenejskim przełęczom, by w wolnocłowej Andorze napęlić tani paliwem bak samochodu i wszystkie kanistry; tu także ekspedycja zaopatruje się w inne wysokoenergetyczne płyny – te w smukłych butelkach z kolorowymi etykietami... Zjeżdżamy na „luzie” (oszczędność paliwa) z Pirenejów po ich hiszpańskiej stronie i przecinamy Półwysep Iberyjski, pędząc po rządowej, bezpłatnej (co nie jest bez znaczenia) autostradzie. Niebawem płyniemy już promem przez Cieśninę Gibraltarską. Za nami – ro-

dzima Europa, w ustach smak soli, którą przynosi wiatr znad Atlantyku, nad głowami coraz gorętsze słońce, przed nami – nieznana Afryka.

Mijają kolejne dni, podczas których za zakurzonymi szybami białej furgonetki przesuwają się niby barwny film marokańskie krajobrazy. Porośnięte polami konopi góry Rif, gdzie berberyjskie plemiona od stuleci zajmują się pozyskiwaniem i dystrybucją haszyszu (jeśli wierzyć internetowym informacjom, obecnie „zagłębie” to produkuje sezonowo 1500 ton narkotyku). Rozległe slumsy Rabatu – *bidonville*. Plaże wybrzeża atlantyckiego. Meczet Hassana II w Casablance o 210-metrowym minarecie, z którego zielony promień lasera wskazuje wiernym kierunek Mekki. Wchodzimy na najwyższy szczyt Afryki Północnej – Jbel Toubkal (4167 m n.p.m.) i schodzimy do najgłębszej jaskini tej części kontynentu – Gouffre du Friouato. Tymczasem pęka uderzona kamieniem przednia szyba naszego auta (sklejamy taśmą

CIĄG DALSZY NA STR. 6



Marokańskie twierdze...

CIAĞ DAŁSZY ZE STR. 5

klejącą), a na kamiennej drodze doliny Draa – u wrót Sahary – słyszymy huk zmaltretowanej opony (klnąc na czym świat stoi, zmieniamy koło; jest 45 stopni w cieniu). Jedziemy jednak dalej i niebawem mamy już za sobą część badań terenowych: ja zanurzam się w czeluście 900-kilometrowego systemu podziemnych kanałów nawadniających pod równiną Haouz, a Donata przemierza pustynne góry. Antyatlasy w poszukiwaniu rysunków

woływanie muezinów niosące się nad pogrążoną w ciemności krainą.

* * *

Po jakimś czasie (a *de facto* po wielu godzinach spędzonych w biurach Ambasady i Konsulatu RP, marokańskiej policji i *Sûreté Nationale*) wiemy już, że nie uda nam się przedłużyć naszych wiz (choć obiecywano nam to jeszcze w Polsce). Przekreśla to pie-



Agadir
N'Afouzar
zdobyty!

i rytów naskalnych (obydwa tematy warte są osobnych artykułów). Przez ten czas poznaliśmy dobrze życzliwość i pogodę ducha mieszkańców Maroka, choć niekiedy afrykańska rzeczywistość ukazywała nam drugą stronę medalu: chorobliwa wręcz natarczywość handlarzy, nieuczciwość przewodników i inne nie-europejskie standardy dały się nam także we znaki.

Mimo natłoku wrażeń „twierdze chrześcijan” nie pozwalają o sobie zapomnieć. Najczęściej „wypływają” w rozmowach wieczornych, w chwili odprężenia po całodziennej pracy. Po orzeźwiającym zimnym prysznicu zasiadamy wokół rozkładanego stolika, palą się świece, ze szklaneczką whisky w ręku porządkujemy swoje notatki. Nagle ze stosu papierów wypada kopia strony z pracy Montagne’a – natychmiast rozpala dyskusję, kolejny raz czytamy jak modlitwę te kilka zdań: „...sur un plateau... une légende... anciennes constructions... les cavernes des rochers...”, aż po końcowe, brzmiące jak grobowe epitafium: „ils auraient péri exterminés par les musulmans”. Rozprawiamy do późnej nocy, do śpiworów wygania nas dopiero na-

czołowicie zaprojektowany harmonogram wyprawy: na dokończenie dwumiesięcznego (w założeniu) programu badań terenowych zostaje nam... 12 dni. Tego wieczoru w Marrakechu siadamy do narady. Trwająca do północy burza mózgów przynosi desperackie rozwiązanie – Piotr i Agata rezygnują ze swoich projektów badawczych na rzecz odnalezienia „twierdz chrześcijan”.

* * *

Wczesnym rankiem pakujemy się do tygodniowej górskiej wędrówki: śpiwory, namioty, kamera, lornetka, aparaty fotograficzne, sprzęt alpinistyczny, dwie liny, ekwipunek speleo, zbiorniki z wodą, jedzenie... Plecaki ledwo dają się oderwać od ziemi. Nie ma co marzyć, że w tym upale damy radę wnieść je jeszcze na jakąś górę. Wyrzucamy więc z nich wszystkie zbędne rzeczy, a te niezbędne redukujemy do minimum: w aucie zostaje kamera, a także ciężkie liny i ekwipunek wspinaczkowy. Połowa żywności wędruje ich śladem. Namiot odzieramy z gumowego tropiku (i tak nie bę-

dzie padać). Agata, pasjonatka górskich wypraw, sprawiedliwie i fachowo (według wagi) rozdziela pośród nas pozostałe rzeczy. Plecaki wreszcie chudną. W razie jakichś trudności wrócimy po potrzebny sprzęt do samochodu-bazy – decydujemy.

Teraz musimy dostać się w południowe pasmo Atlasu Wysokiego, w miejsce, które wskazuje nam mapa Mantagne’a. Wyjeżdżamy z Marrakechu asfaltem, który niebawem pokrywa się dziurami. Po kilkudziesięciu kilometrach zjeżdżamy na pylistą gruntową drogę. Gdy mijają nas samochody jadące z przeciwka, oblepia nas kurz tak gęsty, że Piotr musi włączyć wycieraczki. Niebawem w miarę znośna gruntówka zmienia się w kamienisty trakt, na którym spotykamy jedynie urzędowe marokańskie landrovery. Później i one znikają – stromy i kręty szlak pnie się ku górze, po jednej stronie mając skalistą ścianę, a po drugiej przepaść. Z trudem wymijamy karawany mułów. Parę razy musimy stanąć, by usunąć blokujące przejazd kamienie i dać chwilę wytchnienia rozgrzanemu silnikowi. Jest coraz ciężiej. Piotr – weteran rajdów terenowych – rozpędem pokonuje grząskie łożysko strumienia, leżące na naszej drodze. Koła buksują, maskę samochodu zalewają strugi błota, schnącego momentalnie w porażającym słońcu. Powoli wspina się ku górze przy wyciu niskich biegów. Wreszcie – przy małej wiosce u stóp płaskowyżu – stajemy na dobre. Tu, zresztą, kończy się trakt. Otaczają nas autochtoni, zwabieni niecodziennym dla nich zjawiskiem.

– *Est-ce que vous parlez français?* – pytamy nieśmiało. Cisza. Dopiero po dłuższej chwili zjawia się młoda dziewczyna w chustce na głowie, jak się okazuje – nauczycielka miejscowej szkoły. Tłumaczy nasze słowa naczelnikowi wioski.

– *Oui*, możecie zostawić tu auto na parę dni – słyszymy po chwili. – On sam będzie go pilnował. Pyta tylko, skąd jesteście i po co przyjechaliście.

– Jesteśmy *les touristes de Pologne*. Chcielibyśmy pochodzić trochę po wszystkich górach – zapewniamy. Mężczyzna wygląda na zdziwionego.

– On nie wie, co to znaczy „turyści” – wyjaśnia nauczycielka. – Nikt taki dotychczas tu nie przyjeżdżał...

Chwilę tłumaczymy, rozdajemy dzieciom skromne prezenty: długopisy i cukierki, po czym obciążeni plecakami ruszamy dalej w górę. Ścieżka dla mułów wiję się między skałami. Nad nami w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca wypiętrza się stroma ściana płaskowyżu Azzeg NT-guidar.



* * *

Jest już noc, nasza pierwsza noc w bezpośredniej bliskości „twierdz chrześcijan”. Na krawędzi płaskowyżu, w pół drogi między jasnymi gwiazdami a leżącymi w dole światełkami siedzib ludzkich, płonie nasze ognisko. Siedzimy przed namiotem, dziewczyny gotują ryż na gazowej kuchence, my z Piotrem palimy fajkę, popijając słabe marokańskie piwo (jednak warto było dźwigać aż tu te dwie puszki). Po posiłku siedzimy zapatrzeni w ogień, słuchając, jak trzaskają płonące suche ciernie. Nagle rozlega się stukot drobnych kopyt i gardłowe zawołanie:

– *Salaam Alejkum!*

– *Alejkum Salaam...* – odpowiada mi jakoś niewyraźnie, przypatrując się dwóm szczupłym Berberom, którzy na osiołku wyjeżdżają w krąg światła. Dalsze próby porozumienia, mimo obopólnych wysiłków, pozostają nieudane. Oni nie znają francuskiego ani arabskiego (poza formułą powitania), my nie umiemy mówić w ich dialekcie. Po chwili odjeżdżają, poganiając osiołka uderzeniami deski.

– *Bonjour, Monsieur!* – zaskakuje nas jeszcze ich pożegnalne pozdrowienie. Nie bardzo wiemy, co na to odpowiedzieć. Wieje chłodny wiatr, przysuwamy się bliżej ognia. Nad płaskowyżem wschodzi ogromny, krwistoczerwony księżyc.

* * *

Następnego dnia budzimy się wcześnie. W pośpiechu łykamy śniadanie. Przy zwijaniu namiotu odkrywam pod kamieniem małego, czarnego skorpiona. Ruszamy w głąb *plateau* suchym łożyskiem okresowego strumyka. Dookoła kamienista równina, porośnięta karłowatymi, iglastymi krzewami i wyschniętymi trawami. Oglądamy właśnie ślady zębów na wyschniętym szkielecie muła lub osła, który znaleźliśmy pod skałą, gdy dobiega nas przeciągły krzyk. Z pylistego wzgóрка pędzi ku nam dwóch górali w opończach. Wymachują rękami. Trudno udawać, że ich nie widzimy. Za chwilę są już przy nas – ten niższy, przysadzisty jest bardzo zdenerwowany, tłumaczy nam coś gwałtownie, powtarzając po kilka razy niezrozumiałe dla nas berberyjskie słowa. Wyższy stoi za nim w milczeniu, w ręku trzyma kij pasterski. Robią duże wrażenie. Starania nawiązania dialogu nie przynoszą żadnych rezultatów. Próbuje się pożegać i iść dalej, ale powoduje to wybuch złości u niskiego, który wrzeszcząc, wskazuje nam stanowczo drogę powrotną.

Pokazuję palcem na nas, a potem na wnętrze płaskowyżu, wszystko bez słowa – widać od razu, że werbalnie się nie porozumiemy. Kręcą głowami i z uporem kierują nas w dolinę. Wisi nad nami widmo całkowitego niezrozumienia. Może naruszyliśmy czyjeś prawo własności? W końcu postanawiamy iść dalej, ale po kilku krokach czujemy, że tamtym puściły nerwy. Nam, zresztą, też. Za moment szarpie my się w pyle, wśród polskich i berberyjskich przekleństw słyszę, jak w rękach niższego trzeszczą szwy mojej koszuli. Odskakujemy od siebie. Niższy, wrzeszcząc, wskazuje kierunek, w którym podążamy i wykonuje międzynarodowy poziomy gest dłonią poniżej gardła. Wyższy bez słowa wygraża nam kijem. Słyszę, jak ktoś mówi:

– To jak ze złego snu albo z kiepskiego filmu... Nie dowiemy się nigdy, o co im chodziło...

Napięcie powoli opada, ocieram chustą pot i kurz z czoła. Pod przymkniętymi powiekami mimowolnie pojawiają się znajome wyrazy: „*ils auraient péri exterminés par les musulmans*”...

* * *

Błąkami się już parę dni, odwiedzając niekiedy domostwa mieszkańców płaskowyżu. Gościnni gospodarze podejmują nas „berberyjską whisky”, czyli specjalnie parzoną zieloną herbatą z dodatkiem świeżych liści mięty. Słodzą ją obficie kawałkami odłupowanymi (*nota bene* najczęściej przy pomocy kamienia) z głowy cukru. Odmawiamy tylko poczęstunku jedzeniem – nasze żołądki, nieprzyzwyczajone do tutejszych potraw, mogłyby zareagować rozstrojem (mamy już w tym względzie wcześniejsze bolesne doświadczenia). Górale pytani o „twierdze” (obawiamy się podać drugi człon nazwy) mówią niezmiennie z uśmiechem:

– O tak, jest *agadir*, jest, ale nie tutaj. Idźcie dalej, o tam, dalej, tam jest *agadir*...

Wiedzeni takimi wskazówkami docieramy wreszcie na przeciwległą krawędź płaskowyżu. Jesteśmy spaleni słońcem, brudni i spoceni. Piotr kuleje – pogryzły go zdziczałe psy, zanim udało nam się je odpędzić, ciskając kamieniami. Obserwowani uporczywie przez młodocianych pasterzy kóz siadamy pod skałą, w wąskim pasie cienia. Naradzamy się po raz kolejny. Nie da się ukryć, że mamy już dosyć. Wszystkiego: tych wyschniętych gór, naszych terenowych badań, ciężkich plecaków, ludzi, z którymi nie umiemy się porozumieć i – co gorsza – sie-

bie nawzajem. Jak dotąd, nie znaleźliśmy nic, choć Montagne sytuuje „twierdze chrześcijan” właśnie „*sur le plateau*” – na płaskowyżu. Decydujemy, że trzeba się rozdzielić: Piotr i Agata zostaną tu wraz z plecakami, a ja z Donatą zejdziemy na krótki rekonesans w dolinę. Jeśli nic się nie wyjaśni, to wracamy do auta. Przyznajemy, że przedsięwzięcie przerosło nieco nasze oczekiwania i – niestety – możliwości. Biorę butlę z wodą i mapę okolicy w skali 1:100 000 (nikt prócz nas nie wie, ile zachodu kosztowało, by zdobyć ją w jednym z urzędów w Rabacie), Donata chwyta aparat i niebawem wlecemy się stromą ścieżką ku nieznanej dolinie. Słońce świeci, jakby chciało nas przewrócić.

* * *

Parę godzin później rozmawiamy z młodym Berberem o imieniu Saïd. Nie mam już sił na dłuższe podchody, więc po prostu pokazuję mu wystrzępioną kartkę-kopię z książki Montagne’a. Patrzy uważnie, podczas gdy sylabizując powoli, wypowiadam kilka słów-kluczy z tekstu pod obrazkiem: „*Ait-Tigidar*” – ręka Saïda zatacza koło. Zgadza się, to nazwa okręgu, prowincji. „*Igedmiwon*” – Saïd macha kilka razy ręką w kierunku odległych wzgórz na południowym zachodzie. Czyli tam mieszka plemię, które wskazało Montagne’owi twierdzę... No dobrze, teraz najważniejsze – przełykam ślinę i wykrztuszam: „*Igidar irumin*”. Saïdowi błyszczą oczy, mówi szybko kilka zdań po berberyjsku i łapiąc mnie za ramię, popycha ku górze. Potykając się, wybiegamy z kamienistego wąwozu. Na otwartej przestrzeni Saïd staje bez słowa. Wyciągniętą ręką wskazuje tym razem na jeden z pobliskich szczytów. Wierzchołek jest strzelisty i samotny, góruje nad okolicą. Chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Potem odwracam się i mówię do Donaty:

– Nie ma mowy, to za wysoko.

* * *

Uwierzyłem Saïdowi dopiero na kilkadziesiąt metrów przed szczytem. Młody Berber zostawił nas mocno w tyle i teraz nawoływał z góry, wskazując ręką na grań, którą się wspinaliśmy. Minęła dłuższa chwila, zanim uspokoiliśmy oddechy – na stromym zboczu słońce, współdziałając z porywistym wiatrem, skutecznie osłabiło nasze siły.

Potem jednak dotarło do mnie, na co stara się zwrócić naszą uwagę Saïd:

DOKOŃCZENIE NA STR. 8



Marokańskie twierdze...

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

– Spójrz – pokazałem Donacie najbliższy uskok – te kamienie układała ludzka ręka.

Istotnie, szliśmy teraz pnącą się zakosami ścieżką dla mułów, sprytnie wykorzystującą naturalny układ skał. Mimo zniszczeń dokonanych przez osypiska, jej ogólny zarys był jeszcze całkiem wyraźnie widoczny. Odkrycie dodało nam ducha – jeszcze łyk wody z butelki (napełniliśmy ją w poidle dla

nami. Wszystko to ułożono z kamieni, pomiędzy którymi na próżno by szukać śladów jakiegokolwiek spoiny. Cokolwiek to jest, nie wygląda za bardzo na zagrodę dla kóz – choć większość rozsypujących się ścian zachowała się tylko w przyziemiu, znajdujemy kawałek zewnętrznego muru wysoki na przeszło trzy metry. Powoli rozchodzimy się, robiąc zdjęcia. Donata przeprowadza pobieżne archeologiczne

badania powierzchniowe, wybierając spośród skalnego rumoszu kawałki ceramiki. Saïd raczy nas dłuższą opowieścią, pomagając sobie niedwuznaczną gestykulacją. Mimo iż nie rozumiemy z niej wszystkiego, ogólny sens jest oczywisty. Wyobraźnia dokonuje reszty. Sceny legendy stają mi żywo przed oczyma: długotrwałe oblężenie, głód, pragnienie, krwawa walka bez pardonu, wśród chłodnych wichrów i upałów, aż do ostatniego krzyku obrońców zrzuconych w przepaść przez zwycięskich napastników. „*Ils auraient péri exterminés par les musulmans*”... Gdy schodzimy piargami w dół, wicher cichnie i głośno słońce.

To w zasadzie już wszystko. Mogłbym jeszcze dodać, że w drodze powrotnej Saïd pokazał nam wykute w skale sztolnie, kojarząc je ze słowem

„*irumin*”. Niezbyt rozległe podziemia, niewątpliwie o charakterze górniczym. Czyżby to owe „*cavernes des rochers*” z opisu Montagne’a? Wydobywano tu niegdyś coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak niskoprocentowa ruda żelaza. Próbkę schowałem do kieszeni.

Po powrocie do kraju, próbując podsumować naszą wyprawę ku „twierdzom chrześcijan”, doszliśmy do wniosku, iż tak naprawdę niewiele zdziałaliśmy. Cóż, wałęsając się po górach śladem relacji sprzed siedemdziesięciu lat, znaleźliśmy bliżej nieokreśloną ruinę. Wysłuchaliśmy legendy, z której zrozumieliśmy raptem kilka słów.

Nie udało się nam zrekonstruować wydarzeń z przeszłości ani nawet jednoznacznie zinterpretować sytuacji zastanej. Nie mieliśmy czasu, siły czy wreszcie choćby ochoty na poważniejsze badania etnograficzne bądź archeologiczne. Wyprawa w ogólnym rozrachunku, zamiast coś nam wyjaśnić, spowodowała jedynie dalsze pytania. Czym jest niezwykła budowla na szczycie? Saïd nazywał ją „*Agadir N’Afozar*”, pasmo, w którym się znajduje, opisane jest na naszej mapie jako „*Jebel Afouzar*” (nie jest to na pewno ruina, którą opisuje Montagne – *Agadir N’Lhasen* – choć widać ogólne podobieństwo form). Kto ją wzniósł i kiedy? Dlaczego została opuszczona? Dlaczego ją zburzono? A może zniszczenia dokonały jedynie siły natury? Wreszcie – kto wykuł w skałach kręte korytarze? Chrześcijańscy niewolnicy? Nie umiemy odpowiedzieć na te pytania.

Zastanawiając się dalej nad naszą afrykańską przygodą, dochodzimy do wniosku, że na tym, między innymi, polega jej wartość: uświadomić sobie, jakie znaczenie ma w życiu ludzkim Tajemnica, jakie emocje potrafi w człowieku obudzić i jakie siły wyzwolić... Rozwikłanie Tajemnicy schodzi na plan dalszy, tak naprawdę ważna jest droga do niej i to, co przebywając ją, przeżyjemy. Dlatego może nie zawsze warto odkrywać Tajemnice – trzeba chronić je jako nasze kulturowe dziedzictwo; równie intrygujące jest przysłowiowe uchylanie rąbka... Gdyby udało nam się jednoznacznie wyjaśnić zagadkę „twierdz chrześcijan”, nie miałbym tej nadziei, że być może za następne siedemdziesiąt lat ktoś, kto przeczyta ten artykuł, zacznie z wypiekami na twarzy pakować się do Afryki...

Tekst i zdjęcia Piotr Maliński

PS Korzystając z okazji, chciałbym jeszcze raz gorąco podziękować osobom, bez których ekspedycja nigdy nie doszłaby do skutku: Panu Dyrektorowi Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM prof. Aleksandrowi Posern-Zielińskiemu, Panu prof. Ryszardowi Vorbrichowi, a w szczególności Panu Wojciechowi Frackowiakowi, właścicielowi autoryzowanej stacji obsługi OSSO-BMW w Poznaniu, za udostępnienie wyprawie firmowego samochodu.



Wejście do „sztolni chrześcijan”

kóz, które wskazał nam w dolinie uczynny Saïd), ostatni wysiłek mięśni i w trójkę stajemy na wierzchołku. Nie pamiętam dobrze, co wtedy czułem. Na pewno obezwładniające zmęczenie. Jeśli cieszyłem się, to nie z tego, że znaleźliśmy, a raczej dlatego, że nie musimy już dalej szukać. Staliśmy w milczeniu we wnętrzu zrujnowanej, sporej budowli. Jej twórcy spiętrzyli głazy wokół spiczastego szczytu, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju owalnej platformy. Na tym fundamencie (o średnicy dwudziestu kilku metrów) wzniesiono zewnętrzne mury. Wewnętrzną przestrzeń zagospodarowano, przegradzając ją kilkoma ścia-



Podziemne fabryki sprzed stu lat

Może wydać się to niewiarygodne, ale podziemne fabryki zbrojeniowe zaczęto budować już w końcu XIX w. Na 6,5-hektarowym obszarze wciśniętym między ulice Stalową, al. Solidarności, Szwedzką i supermarket „Hit” w Warszawie stoi kilkanaście starych budynków. Liczą sobie od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu lat. Pod nimi rozciąga się pajęczyna technicznych kanałów i tuneli, a nawet kilka okazałych pomieszczeń.

TROCHĘ HISTORII

Historia tego obszaru zaczyna się w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Wówczas to Towarzystwo „Lilpop, Rau i Loewenstein” uzyskało zgodę Petersburga na wybudowanie pod Warszawą nowego zakładu hutniczego, tzw. Warszawskiej Fabryki Stali. Zakupiwszy wcześniej na Nowej Pradze grunt od Józefa Noskowskiego, właściciela dóbr Targówka, wybudowano i uruchomiono w niewiarygodnie krótkim okresie jednego roku Stalownię Warszawską. To od niej zmieniono nazwę ulicy Nowopraskiej na Fabryczną, a z sentymentu do upadłej Stalowni – na ulicę Stalową.

W Przeglądzie Technicznym z 1880 roku redaktor Feliks Kucharzewski napisał:

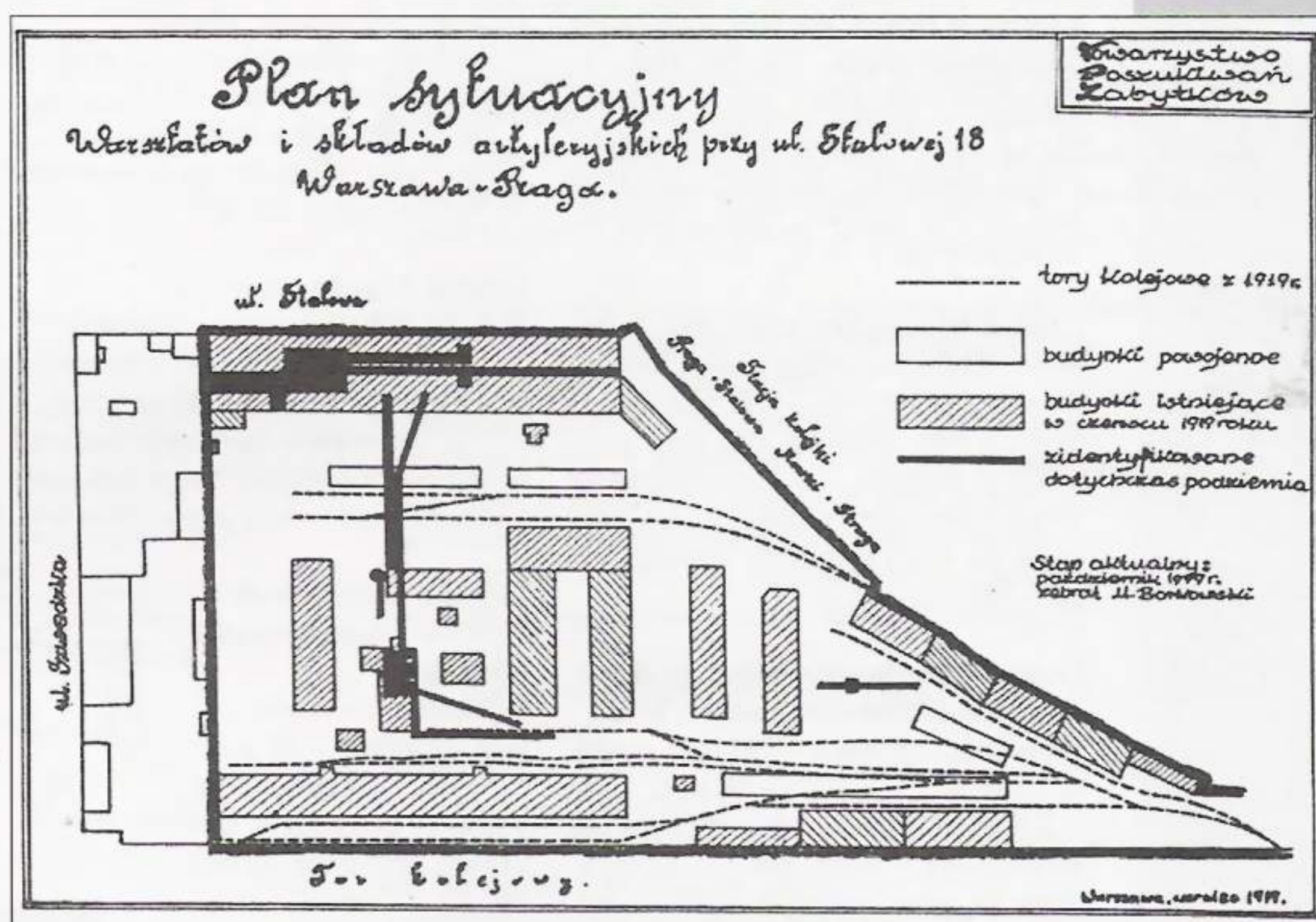
Uważamy za stosowne poświęcić słów parę fabryce stali Tow. „Lilpop, Rau i Loewenstein”, zbudowanej na Nowej Pradze pod Warszawą. Zakłady te, zbudowane przy zbiegu torów stacyjnych drogi żelaznej Petersburskiej i drogi żelaznej Obwodowej. Budowę ich rozpoczęto d. 1. Kwietnia 1878 r.; w rok później d. 1 Kwietnia 1879 r. przevalcowana została pierwsza szyna. Zakłady przeznaczone są do wyrobu: szyn kolejowych, obręczy do kół wagonowych, parowozowych i osi – ze stali zlewnej, wytapianej według systemu Bessemera.

Stalownia Warszawska, zwana też Stalownią Praską, w okresie swojej świetności, w latach 1882-84, była największą w Królestwie Polskim i zaliczano ją do najnowocześniejszych. Ciągłe rozbudowywana osiągnęła dużą moc maszyn parowych, do których parę o mocy 1450 KM dostarczało 21 kotłów. Technologię przetopu stali oparto na najnowszych wówczas rozwiązaniach, a do zalet Stalowni Warszawskiej zaliczono też dobrze rozwinięty system transmisyjny. Dzisiaj dawna, olbrzymia moc Stalowni się zdeprecjonowała i porównywalna jest z mocą śmigłowca

transportowego, a system transmisyjny wyszedł z powszechnego użycia. Pozostał, szczęśliwie, materialny ślad stosowania takiego systemu. Jest to budynek długości ponad 70 metrów,

oświetlenia i linii filarów z charakterystycznymi nasadnikami, żywo przypomina dziewiętnastowieczne hale przemysłowe.

Z czasem, gdy przesyłanie pary opatowano i uczyniono je bardziej sprawnym, zaczęto rozbudowywać kanały, którymi poprowadzono instalacje. Następnie, już po likwidacji Stalowni (1888 r.) i opuszczeniu budynków przez rosyjski Zarząd Okręgowy Artylerii Okręgu Wojennego (1914 r.), a potem po wyparciu Niemców (1918) – gdy na potrzeby Wojska Polskiego



stanowiący ośiową zabudowę szczytową trzech segmentów odmiennego przeznaczenia. Budowla taka umożliwiała przeniesienie górną napędu dla maszyn do poszczególnych sekcji budowl. Budowla, oprócz charakterystycznych dla tego okresu budownictwa przemysłowego elewacji, ma nie spotykane dziś fundamenty, gdyż posadowione są na studniach połączonych ceglanyimi arkadami. Ewenementem nazwać można zachowanie budynku w całości, jako że identyczny budynek na terenie fabryki Norblina przy ul. Żelaznej – jeden z ostatnich w Warszawie – zachował się w trzech osobnych częściach.

TROCHĘ TAJEMNIC

Budowla praska jest jeszcze niezbadana. Jedno z wnętrza, dzięki zachowaniu oryginalnego przestrzałowego

wybudowano elektrownię – zaczęto rozprowadzać w terenie kable elektryczne. Kable prowadzono w kanałach. Nastąpił ich dalszy rozwój. Wówczas kanały doprowadzono do każdego budynku produkcyjnego. Są one z reguły przełazowe, lecz wskutek nierozmyślnego pozbywania się gruzu ze zburzonych w czasie okupacji budynków, zostały w wielu miejscach zablokowane. Udrożnieniem ich, poznanie, a przede wszystkim inwentaryzacją, zajmują się od jesieni ubiegłego roku członkowie Towarzystwa Poszukiwań Zabytków z siedzibą w Warszawie (TPZ).

Na początek przedostano się do podziemnej strzelnicy. Wielce interesujący jest w niej system prowadzenia strzelań, a także urządzenia wystawia-

DOKOŃCZENIE NA STR. 11



Niebezpieczne „skarby” (23)

Chociaż od wojny minęło ponad pół wieku, nasze ziemie wciąż kryją niewypały i niewybuchy. Można na nie trafić nie tylko szukając skarbów. Wiele osób nie umie tych wojennych „pamiątek” zidentyfikować i beztrąsko wydobywa je z ziemi, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Będziemy więc systematycznie prezentować typy pocisków, granatów i bomb używanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, aby ułatwić ewentualnym znalazcom ich rozpoznanie. Przypominamy: przedmiotów, które tutaj przedstawiamy, nie wolno kolekcjonować, nie wolno ich w ogóle ruszać – to praca dla saperów.

GRANATY NIEMIECKIE Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ

GRANATY NIPOLIT ORAZ IMPROWIZOWANE

Granat trzonkowy „Rüdersdorfer” z głowicą betonową (Rüdersdorfer Stielhandgranate /Rü. Sti. Hgr./)
Wysokość całkowita – 350 mm, granatu – 75 mm; średnica – 62 mm; waga – 650 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – trotyl; waga materiału wybuchowego – 55 g.

Granat trzonkowy zastępczy, betonowy (Behelfshandgranate, beton)
Wysokość całkowita – 355 mm, granatu – 100 mm; średnica – 70 mm; waga – 650 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – trotyl lub 1/2 Bohrpatrione 28; waga materiału wybuchowego – 100 lub 50 g.

Granat trzonkowy zastępczy, drewniany (Behelfshandgranate, holz)
Wysokość całkowita – 393 mm, granatu – 143 mm; średnica – 46 mm; waga – 370 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – trotyl lub 1/2 Bohrpatrione 28; waga materiału wybuchowego – 100 lub 50 g.

Granat zastępczy betonowy wz. 1945 (Volksgranate 45)
Wysokość całkowita – 96 mm, granatu – 74 mm; średnica – 50 mm; waga – 400 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 30 g.

Granat odłamkowy Nipolit (1) (Nipolithandgranate)
Wysokość całkowita – 100 mm, granatu – 74 mm; średnica – 60 mm; waga – 220 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 200 g.

Granat odłamkowy Nipolit (2) (Nipolithandgranate)
Wysokość całkowita – 92 mm, granatu – 70 mm; średnica – 60 mm; waga – 220 g; zapalnik – tarciový; materiał wy-

buchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 200 g.

Granat trzonkowy Nipolit (Stielhandgranate Nipolit)
Wysokość całkowita – 263 mm, granatu – 75 mm; średnica – 62 mm; waga – 550 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 550 g.

Granat Nipolit duży (Große Eihandgranate Nipolit)
Wysokość całkowita – 96 mm, granatu – 74 mm; średnica – 60 mm; waga – 235 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 235 g.

Granat Nipolit mały (Kleine Eihandgranate Nipolit)
Wysokość całkowita – 92 mm, granatu – 60 mm; średnica – 54 mm; waga – 200 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 200 g.

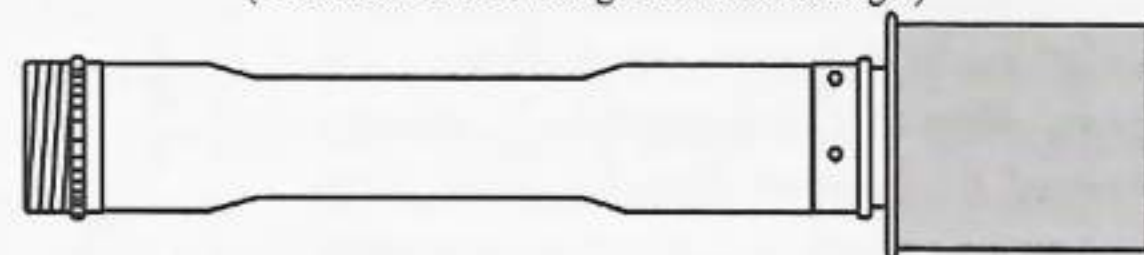
Granat kieszonkowy Nipolit (Nipolit Taschengranate)
Wysokość całkowita – 100 mm, grubość – 13 mm; średnica – 85 mm; waga – 90 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Nipolit; waga materiału wybuchowego – 90 g.

Granat zapalający rozpryskowy (Brand-Wurfgranate)
Wysokość całkowita – 105 mm, granatu – ?; średnica – 72 mm; waga – 440 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – Termit/Nipo-

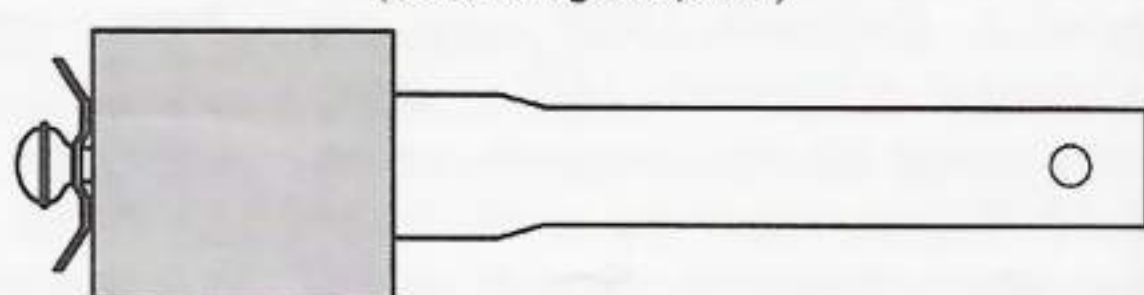
lit; waga materiału wybuchowego – 260/180 g.
Korpus granatu wykonany w całości z Nipolitu.

Granat zastępczy wykonany z fragmentu rury, pochodzący z oblężenia Wrocławia
Wysokość całkowita – 175 mm, granatu – 160 mm; średnica – 40 mm; waga – ok 450 g; zapalnik – tarciový; materiał wybuchowy – trotyl; waga materiału wybuchowego – ?.
Wewnątrz skorupy wymieszany z materiałem wybuchowym złom metalowy – wióry z obrabiarek, śrut itp. (ekspонат z kolekcji Wojciecha Stojaka).

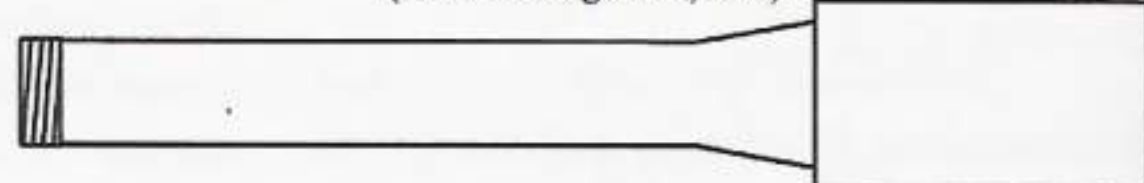
Granat trzonkowy „Rüdersdorfer” z głowicą betonową (Rüdersdorfer Stielhandgranate /Rü. Sti. Hgr./)



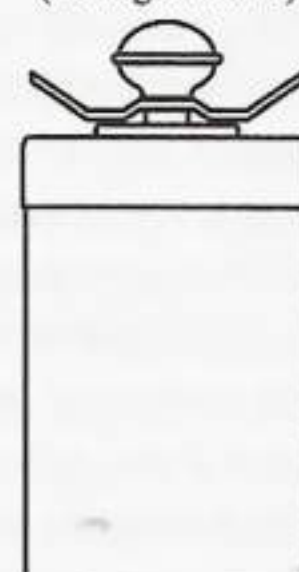
Granat trzonkowy zastępczy, betonowy (Behelfshandgranate, beton)



Granat trzonkowy zastępczy, drewniany (Behelfshandgranate, holz)



Granat zastępczy betonowy wz. 1945 (Volksgranate 45)



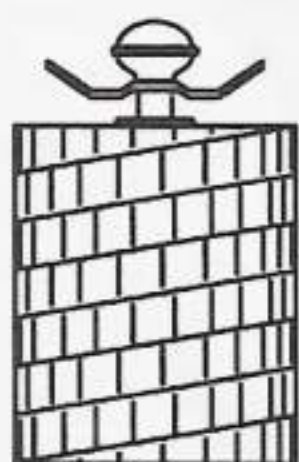


Granat zastępczy wykonany z rury hydraulicznej, pochodzący z oblężenia Wrocławia

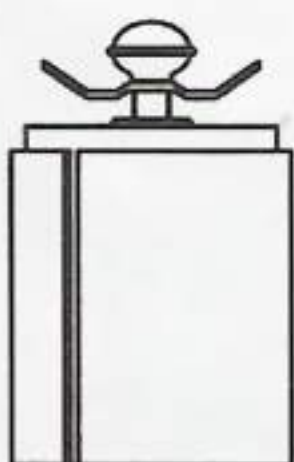
Wysokość całkowita – 200 mm, granatu – 185 mm; średnica – 30 mm; waga – ok 400 g; zapalnik – tarcowy; materiał wybuchowy – nieznany; waga materiału wybuchowego – ? (eksponat z kolekcji Wojciecha Stojaka).

Grzegorz Franczyk

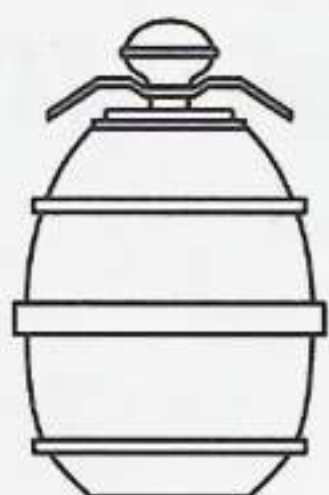
Granat odłamkowy Nipolit (1)
(Nipolithandgranate)



Granat odłamkowy Nipolit (2)
(Nipolithandgranate)



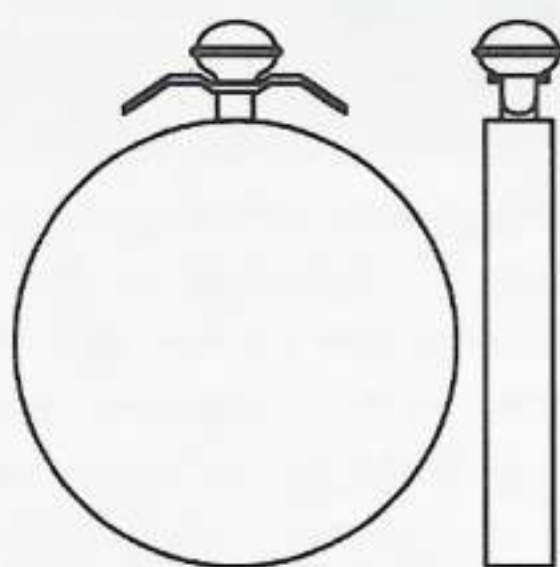
Granat Nipolit duży
(Große Eihandgranate Nipolit)



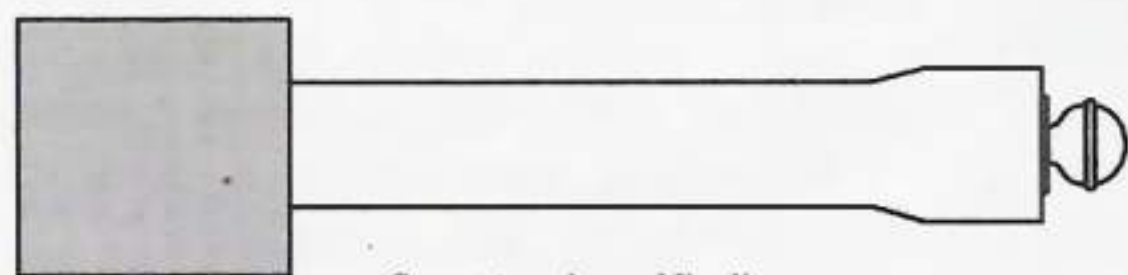
Granat zapalający rozpryskowy
(Brand-Wurfgranate)



Granat kieszonkowy Nipolit
(Nipolit Taschengranate)

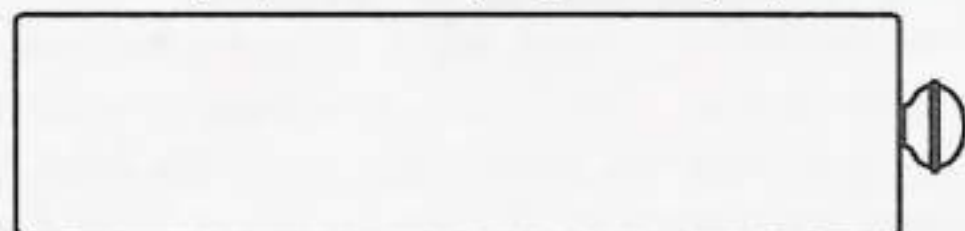


Granat Nipolit mały
(Kleine Eihandgranate Nipolit)

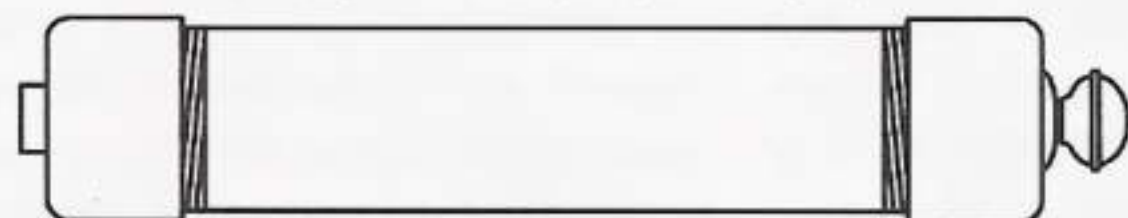


Granat trzonkowy Nipolit
(Stielhandgranate Nipolit)

Granat zastępczy wykonany z fragmentu rury
pochodzący z oblężenia Wrocławia
(eksponat z kolekcji Wojciecha Stojaka)



Granat zastępczy wykonany z rury hydraulicznej
pochodzący z oblężenia Wrocławia
(eksponat z kolekcji Wojciecha Stojaka)



Podziemne fabryki...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

jące tarcze i chroniące cylerów w pomieszczeniu obsługi celów. To zaledwie początek poszukiwań, nad którymi nieustannie ciąży obawa o ich przerwanie. A oprócz zapomnianych konstrukcji Stalowni, najbardziej tajemniczy okres dotyczy ostatnich wojen, a przede wszystkim czasu międzywojennego, kiedy funkcjonowały tam wojskowe warsztaty remontowe i naprawcze sprzętu artyleryjskiego pod nazwą Zbrojowni Nr 2.

Na podstawie relacji gen. Sistrzeńcewicza zamieszczonej w artykule **Zbrojownia Warszawska** w „Polsce Zbrojnej” z dnia **25 czerwca 1925 r.** możemy dowiedzieć się, jak wyglądał ten teren po zajęciu go przez Wojsko Polskie (ul. Stalowa 18).

...Przez drogę generał informuje nas o tem, w jakim stanie zastał przed 4 laty teren, na którym polecono mu urządzić zbrojownię warszawską. Był to chaos zupełny. Grunt podziurawiony był ogromnymi lejami, w głębi których Niemcy preparowali swe pociski gazowe. Stały tu jakieś budynki w stanie kompletnego zniszczenia, znajdowały się całe góry bezużytecznych przedmiotów, śmiecia i odpadków...

Warsztaty te, a szczególnie wykonywane w nich prace badawcze były na tyle ważne, że zakład chroniono niezwykle starannie. Przykład może stanowić kamuflaż, jakim się posłużono, gdy w listopadzie 1935 roku Wydział Aerofotogrametryczny PLL „LOT” wykonywał lotnicze zdjęcie terenu. Odbitkę zdjęcia tak sfałszowano, że plan wojskowych zabudowań był zupełnie nieprzydatny do operacyjnego rozpracowania. Ze względu na ochronę tajemnicy wojskowej utrudniony jest dziś dostęp do dokumentacji warsztatów; o ile ją pozostawiono, to jest bardzo rozproszona.

W Zbrojowni produkowano lub remontowano m.in. następujący asortyment:

- Karabin przeciwpancerny kal. 7,9 wz. 35 (J. Maroszka)
- karabin samopowtarzalny wz. 38 M
- przerobiono część kbk wz. 1898 produkcji polskiej i niemieckiej kategorii C na kbk wz. 1929
- wykonano podstawę P2 IB dla podwójnie sprzężonych km 7,9 C4 dla izb bojowych obiektów fortyfikacyjnych
- podstawę wz. 1930 do ckm

CORAZ WIĘCEJ ZAGADEK

Czy istniała na przełomie wieku rosyjska podziemna strzelnica w warsztatach artyleryjskich?! Prawdopodobnie tak. Dotychczas zinwentaryzowany przez zespół TPZ system podziemny liczy ok. 2000 m. Szacujemy, że odkryliśmy dotychczas około 40 procent istniejących pod ziemią korytarzy.

CO DALEJ ?

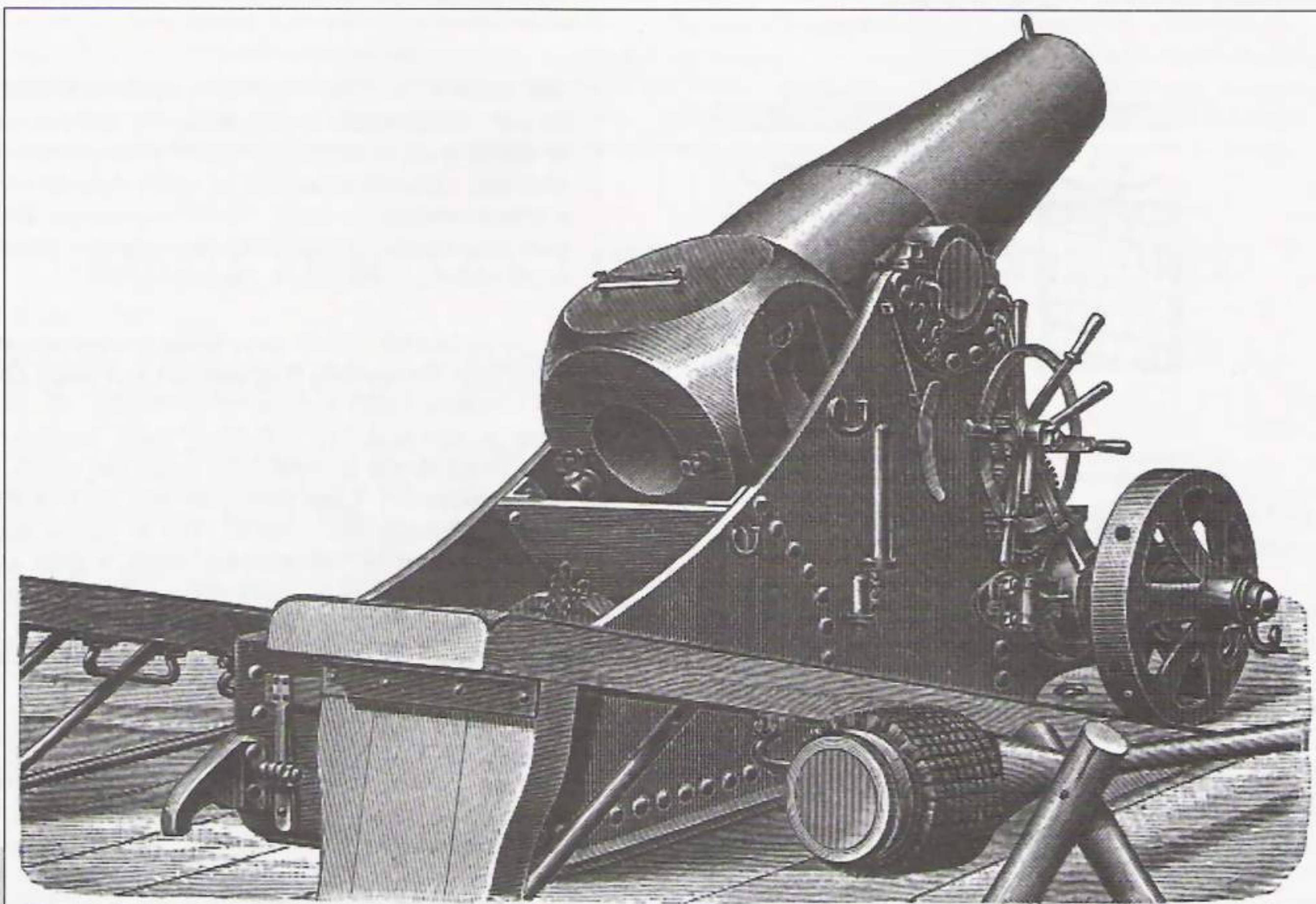
Już w 1993 r. wojsko wystąpiło z wnioskiem o wpisanie kompleksu do rejestru zabytków, niestety – bez skutku. Obecnie dzięki TPZ, które złożyło nowy wniosek do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, sprawa jest forsowana.

Mamy nadzieję, że wpis do rejestru uchroni ten zabytek przed nieprzemyślanymi zapędami inwestycyjnymi, a po zbadaniu przez nas całej infrastruktury podziemnej uda się tam uruchomić historyczną ekspozycję (w halach i strzelnicach).

Marek Borkowski, Zbigniew Rekuć



Na przedwojennych rycinach...



Moździerz kal. 21 cm na podstawie stalowej. Drzeworyt z Meyers Konv. – Lexicon wyd. 5.

Sławomir Kordaczuk przedstawia



Hełm francuski wz. 15 Adriana był pierwszym hełmem używanym przez odradzające się Wojsko Polskie. Prezentowany egzemplarz pochodzi z pobojowiska z września 1939 roku pod Hutą Gruszczyño (szlak bojowy 1 Dywizji Piechoty Legionów). Zawiera oryginalne francuskie wyposażenie wewnętrzne złożone z wkładki skórzanej z sześcioma zaokrąglonymi szczytami ściągniętymi sznurowadłem. Brak czwartego fragmentu blachy falistej. Podpinka nie jest oryginalna.



Nowa generacja wykrywaczy min?

Japońskie Stowarzyszenie na Rzecz Rozbrojenia Min (JAMDS) zaprezentowało nowy wykrywacz. Wykrywa on materiał wybuchowy niezależnie od tego, czym jest obudowany. Na ekranie monitora wyświetla informacje o materiale wybuchowym, głębokości, na jakiej spoczywa mina oraz pokazuje jej trójwymiarowy obraz. Czyżby miała nastąpić rewolucja w wykrywaniu śmiertelnych broni?

(za „Rzeczpospolitą”)

MD



Wojna od strony kuchni (VI)

SMIAK WOLNOŚCI

W naszym cyklu, prezentującym ekwipunek związany z wyżywieniem żołnierzy armii biorących udział w ostatniej wojnie, przedstawiamy dzisiaj sprzęt Amerykanów i Brytyjczyków. Zwłaszcza ci pierwsi nie mieli powodów narzekać na jedzenie w wojsku, opływali bowiem we wszelkie dostatki, z gumami do żucia, słodyczami i rozpuszczalną kawą włącznie. Produkty te trafiały też masowo do wygłodniałej cywilnej ludności wyzwolonych zachodnich krajów.

W dzisiejszym odcinku omówimy najbardziej typowy indywidualny sprzęt kuchenny aliantów. Nie zawierał on zbyt wielu elementów, a w jego skład wchodziła przede wszystkim manierka (*canteen*), menażka (*mess kit*), chlebak (*haversack*), kubek (*drinking cup*), a także widelec (*fork*), nóż (*knife*) i łyżka (*spoon*).

Na zdjęciu nr 1 widać oporządzenie brytyjskie. W górnym rzędzie od lewej strony leżą dwie menażki z blachy stalowej. Były to prostokątne pudełka; mniejszą część wkładano do większej. Pierwsza menażka jest rozłożona i pochodzi z 1944 roku. Druga, wyprodukowana w 1941 roku przez firmę Regico, należała zaś do niejakiego Simonsa, który uwiecznił na menażce swoje nazwisko. Menażki brytyjskie najczęściej sygnowane są na części mocującej uchwyt i nie należą do zbyt udanych, głównie ze względu na duży ciężar. Przenoszone były zawsze w chlebaku, który widać obok. Zapinany na dwa paski, mógł także służyć żołnierzowi jako tornister. W skład jego zawartości wchodziła, oprócz menażki, także tzw. „żelazna porcja”. Porcję taką widać położoną na chlebaku. Jest to prostokątne blaszane pudełko z wytłoczonym napisem *Emergency ration*, w którym znajdowały się wysokokaloryczne produkty spożywcze, m.in. czekolada. Instrukcja na pokrywce informuje, iż żelaznej porcji nie można napocząć bez rozkazu oficera.

Poniżej chlebaka mamy kilka wersji standardowej manierki wz. 08 z emaliowanej stali. Manierkę noszono na pasku, stanowiącym jednocześnie jedną z szelek podtrzymujących ekwipunek. W manierce pierwszej, emaliowanej na niebiesko, brakuje, niestety, filcowego pokrowca. Włożona jest ona do szkieletu ze skórzanych pasków, zakończonych sprzączkami, za pomocą których manierkę troczono do szelki. Taką samą funkcję speł-

niały brezentowe paski w dwóch kolejnych manierkach, emaliowanych na kolor khaki.

Uzupełnieniem sprzętu podstawowego są przedmioty w lewym dolnym rogu. Małe, malowane na czarno, kwadratowe pudełko mieściło specjalne tabletki (białe i niebieskie), służące do odkażania wody pitnej; o ich prze-

mi U.S. Przed umieszczeniem w pokrowcu manierkę wkładano do kubka, kształtem idealnie dopasowanego do jej dolnej części. Manierki spotykane w armii Stanów Zjednoczonych to manierka wz. 10 (pokazana w pierwszym odcinku naszego cyklu, w styczniowym numerze) oraz jej wersje rozwojowe. U dołu z lewej spoczywa roz-



znaczeniu informuje stosowna inskrypcja umieszczona na wieczku. Poniżej widać blaszane puszkę na papierosy. Pierwsza z lewej to wzór regulaminowy, druga to produkt firmy „Rothmans”.

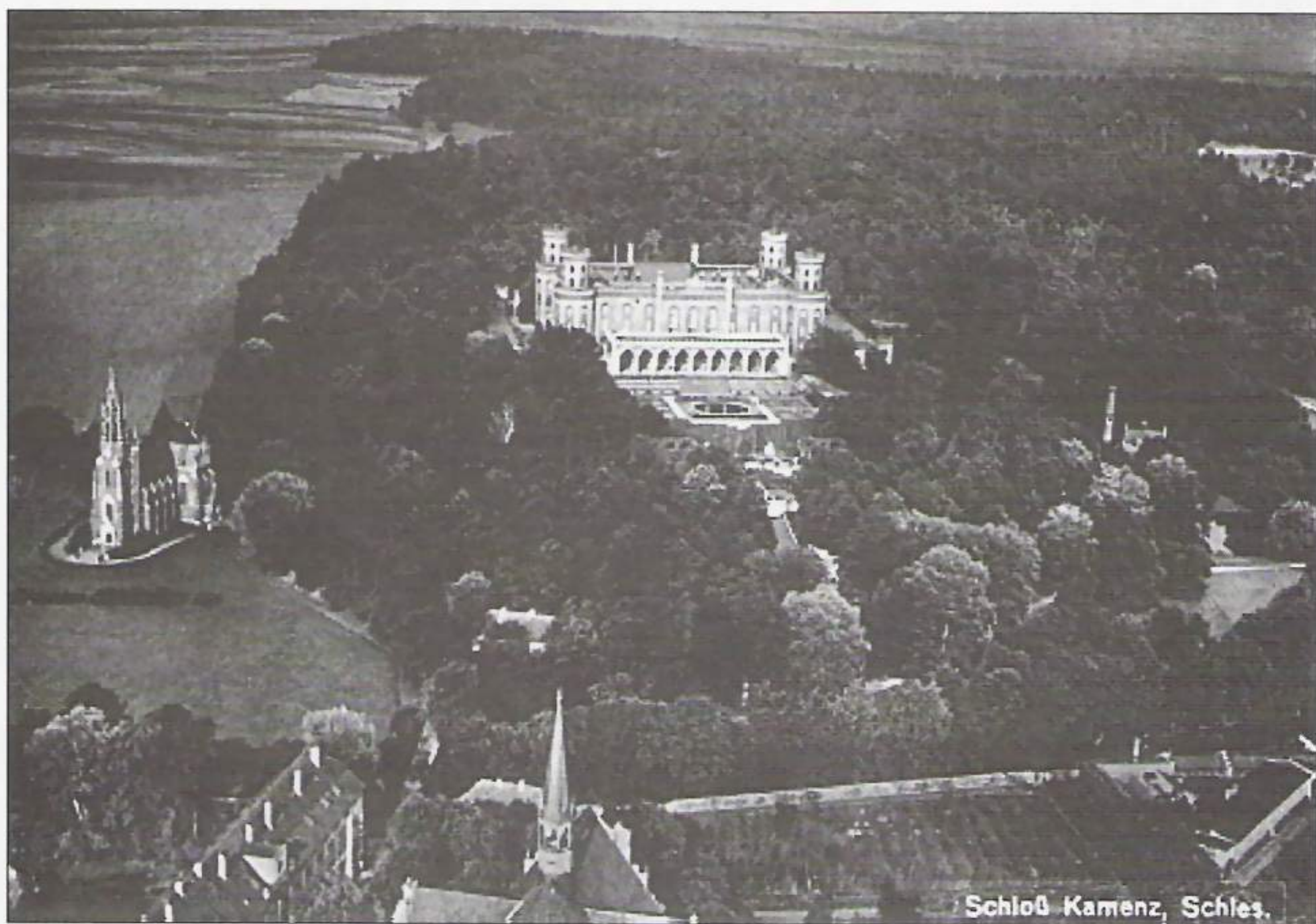
Zdjęcie nr 2 przedstawia ekwipunek amerykański. Po lewej stronie u góry widoczna jest manierka wz. 10 w brezentowym pokrowcu, zapinanym na dwa nity i sygnowanym litera-

łożona i wyciągnięta z pokrowca aluminiowa manierka wz. 10 z wczesnego okresu II wojny światowej. Od modelu z I wojny światowej odróżnia ją tylko korek z czarnego tworzywa. Manierka pochodzi z wytwórni posługującej się sygnaturą *U.S. A.G.M.Co.* Jej kubek pochodzi z późnego okresu wojny i wykonany jest z nierdzewnej

DOKOŃCZENIE NA STR. 14



Na starych pocztówkach



ze zbiorów
Marka Dudziaka

KAMIENIEC ZĄBKOWICKI. To ten pałac znajdował się na pocztówce prezentowanej miesiąc temu. Oddajemy numer do druku przed upływem terminu konkursu, dlatego nie możemy jeszcze podać nazwisk osób, które udzieliły prawidłowej odpowiedzi i wylosowały upominki.

Wojna od strony kuchni

DOKOŃCZENIE ZE STR. 13

stali. Nosi też sygnaturę wytwórcy: *U.S. B.E.Co. 1944*. Druga z lewej manierka z nierdzewnej stali także pochodzi z późnego okresu wojny i sygnowana jest *U.S. S.M.Co. 1944*, a na przeznaczonym do niej kubku widnieje sygnatura *U.S. K.M.C. 1944*.

Ponad manierką widać także fajansowy kubek spotykany w polowych szpitalach. Na kubku umieszczony jest napis: *United States Army – Medical Department*. Po jego prawej stronie leży torba polowa wz. 36, w której przenoszono m.in. komplet sztućców. Sztućce takie widać położone na torbie. Wszystkie sygnowane są literami *U.S.*, pochodzą jednak z różnych fabryk. Widelec wyprodukowany został w firmie *Silco Stainless*, łyżka nosi bicia firmy *Wallco Stainless*, nóż natomiast sygnowany jest *L.F.&C. 1944*.

U dołu widać wykonaną z nierdzewnej stali, rozłożoną menażkę wz. 10 z późnego okresu wojny. Menażka sygnowana jest *U.S. M.A.Co. 1944*. Powyżej jej dolnej części widać niewielką fiolkę z tworzywa sztucznego, przeznaczoną na cztery tabletki solne. Instrukcja na fiolce informuje, iż do wypełnionej wodą manierki należy wrzucać 2 tabletki. Miało to na celu uzupełnienie braku soli w organizmie żołnierza walczącego w tropikalnych strefach klimatycznych. Tabletki widoczne na

zdjęciu wyprodukowała firma *Raymer Pharmacal Co.* Razem z takimi tabletkami Amerykanie otrzymywali wiele innych produktów spożywczych. Rzeczy te były opakowane w różnego rodzaju puszki, kartony i torebki, które bardziej przypominały towary z półek dzisiejszych supermarketów, niż wojskową żywność sprzed 50 lat.

Tekst i zdjęcia
Tomasz Bieniek

Z wraku żaglowca...

Na wystawie w montrealskim muzeum *Pointe-a-Calliere* można obejrzeć dwieście z około czterech tysięcy przedmiotów wydobytych z wraku XVII-wiecznego żaglowca „*Elizabeth and Mary*” – m.in. broń, naczynia stołowe, biżuterię, obuwie. Statek należał do floty admirała Wiliama Phipsa i brał udział w ataku na miasto Quebec w 1690 r. Zatonął podczas odwrotu. Został odnaleziony w 1994 roku

przez nurka-amatora w rejonie Zatoki Trinite, w pobliżu Quebecu. Specjaliści uważają, że wydobyte przedmioty stanowią cenne dokumenty warunków życia w Nowej Anglii u schyłku XVII wieku. Ich restauracja ma trwać około dziesięciu lat.

(mar)

(Za „Ilustrowanym Kurierem Polskim”, 2-3.05.2000 r.)



Muzeum Chleba

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie...*

(C.K. Norwid, Moja piosenka II)

„Za chlebem” wędrowali dziadowie nasi do Ameryki. „Chleba naszego powszedniego...” – słyszeliśmy od najwcześniejszego dzieciństwa. „Dla chleba, panie, dla chleba...” – śpiewano w popularnej niegdyś pieśni. Mówimy o „chlebowych” zajęciach, pracujemy „na chleb”... „Chleb się nigdy nie przeje” – mawiała moja babcia i nie napocznęła bochenka, nie przekreśliwszy go przedtem znakiem krzyża. Kiedy upadła mi kromka, kazała ją podnieść i ucałować. W polskiej kulturze chleb jest symbolem, i to – ośmielę się powiedzieć – symbolem o niepodważalnej wartości. W Radzionkowie na Górnym Śląsku powstało pierwsze w Polsce Muzeum Chleba.

Stworzył je Piotr Mankiewicz. Budowę rozpoczął w ubiegłym roku, ale eksponaty gromadził od kilku lat. Jeździł po całej Polsce, do znajomych piekarzy, na giełdy staroci i zebrał mnóstwo przedmiotów związanych z wypiekiem chleba. Są wśród nich piece, formy, łopaty, sita, drewniane i gliniane skrzynki do przechowywania pieczywa, oryginalne wyposażenie skle-

pu piekarniczego, są drewniane dzieże, do których – jak pisze Joanna Lidochowska, autorka artykułu zamieszczonego w „Gazecie Wrocławskiej” – od ponad osiemdziesięciu lat przylega odrobina zaschniętego ciasta chlebowego... Wielu z tych eksponatów nikt już – poza starymi piekarzami – nie zna. Obok budynku posiano zboże.

Piotr Mankiewicz zbudował Muzeum Chleba za własne pieniądze. Wymarzył je sobie i zrealizował swoje marzenie. Chce pokazać, szczególnie dzieciom, jak powstaje tak dobrze im znany bochenek, nad którego pochodzeniem zwykle w ogóle się nie zastanawiają. W radzionkowskim muzeum będzie można nie tylko oglądać eksponaty; będzie można także dotknąć chlebowego ciasta i upiec sobie bułkę czy rogalik w prawdziwym piecu chlebowym, poczuć zapach i smak nie dające się porównać z niczym innym.

Wiadomość, że powstaje Muzeum Chleba, bardzo mnie ucieszyła. Tak zwyczajnie, po ludzku. Bo to znacznie więcej niż przedsięwzięcie kolekcjonerskie. Nabieram otuchy, kiedy widzę, że w tym coraz szybciej pędzącym, technicyzowanym i stopniowo odczłowieczanym świecie ktoś poświęca czas i pieniądze, aby pomóc innym odkrywać rzeczy najprostsze i najpiękniejsze, na przykład zapach chleba... Pracowałam kiedyś przy żniwach w czasach przedkombajnowych, gdy trzeba było ręcznie wiązać snopy, i wiem, że taka praca nie ma nic wspólnego z sielankowymi obrazkami. A jednak pamiętam nie kurz, upał i ból pleców, tylko zapach i szelest dojrzałego żyta. I chyba właśnie wtedy zrozumiałam, dlaczego babcia kazała mi całować podniesioną z ziemi kromkę.

Maria Wiatrowska

W tekście wykorzystano artykuły „Bochenek z duszą” (Joanna Lidochowska – „Gazeta Wrocławska”, 4.05.2000) oraz „Chleb w muzeum” (PAP, KS – „Życie”, 15.05.2000).

Numizmatyczny skarb

W lipcu 1996 roku mieszkaniec Osiecznicy (okolice Bolesławca) wykopał na swojej posesji gliniany garnek wypełniony srebrnymi monetami. Sam garnek, uszkodzony podczas kopania, nie wzbudził zainteresowania znalazcy i przepadł. To wielka szkoda dla archeologii śląskiej, bowiem dzięki monetom można by go doskonale datować, a w konsekwencji – datować podobne znalezione garnki. Niestety, ta możliwość została zaprzepaszczona.

Monety natomiast bardzo przypadkowego odkrywcę zainteresowały. Po długim namyśle i konsultacjach rodzinnych zdecydował się przekazać je Państwowej Służbie Ochrony Zabytków w Jeleniej Górze. Znalezione trafiło do tamtejszego Muzeum Okręgowego. Zbiór obejmował 39 monet i 439 mniejszych – hiszpańskich, burgundzkich, brabanckich, austriackich, czeskich, saskich, pruskich, szwedzkich, polskich i śląskich. Najstarsze były grosze praskie z początku XVI w., z czasów panowania Władysława Jagiellończyka. Jednak dziewięćdziesiąt dziewięć procent skarbu stanowiły monety wybite w XVII w. Najmłodsze pochodziły z 1663 r. Do największych należały monety śląskich książąt – Christiana, Ludwika i Jerzego, polskich królów – Zygmunta III Wazy, Władysława IV i Jana Kazimierza, szwedzkie – Gustawa Adolfa, cesarskie – Fryderyka

II i Leopolda I, hiszpańskie – Filipa IV.

Naukowe opracowanie zbioru powierzono Gabrieli Sukiennik z Gabinetu Numizmatycznego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Po opracowaniu monety wrócić do Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze i zostaną wpisane do zbiorów Działu Sztuki.

Stanisław Firszt

Autor jest archeologiem, dyrektorem Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze.

Kolekcja glinianych fajek



Szukam i kolekcjonuję...
fot. Maciej Majewski (zdjęcie nadesłane na konkurs „Odkrywcy”)



Złoto w filatelistyce (4)

STRONY
REDAGOWANE
PRZEZ



W ponad 150-letniej historii filatelistyki na świecie najmniejszą emisję znaczków pocztowych ma tematyka związana z eksploatacją złota. W latach trzydziestych XX wieku znaczki takie zaczęto wydawać w państwach afrykańskich, później – w południowoamerykańskich, będących potentatami w wydobywaniu żółtego kruszcu. Dopiero po II wojnie światowej zwiększono emisję znaczków poświęconych słynnym XIX-wiecznym „gorączkom złota”, które miały ogromny wpływ na historię cywilizacji. Przypomnijmy największe z nich: 1848 r. – USA (Kalifornia); 1851 r. – Australia (prowincje Nowa Południowa Walia i Victoria); 1852 r. – Nowa Zelandia (Otago); 1870 r. – Australia (prowincja Queensland); 1873 r. – Afryka Południowa; 1892 r. – Australia Zachodnia; 1898 r. – Kanada (Klondike).

SŁYNNE GORĄCZKI ZŁOTA

AUSTRALIA ZACHODNIA – 1892 r.

Na skraju Wielkiej Pustyni Piaszczystej w masywie Kimberly w roku 1886 odkryto bogate, choć niewielkie złoża złota w Halls Creek, następnie poszukiwania żółtego kruszcu przeniosły się w rejon bloku Pilbara, gdzie znajdowano liczne duże samorodki pobudzające jeszcze bardziej gorączkę złota. Po przeniesieniu swojej bazy do portu Geraldton na zachodnim wybrzeżu Australii, poszukiwacze rozpoczęli penetrację wnętrza kraju, znajdując w 1890 r. złoża złota w Mount Magnet i Big Bell. Po założeniu nowej bazy w porcie Perth udali się w kierunku wschodnim, docierając po 350-kilometrowej wędrówce do rejonu Yilgarn, zwanego również Southern Crossa.

W roku 1892 dwaj poszukiwacze, po pokonaniu 180 km w kierunku wschodnim, odkryli złotonośne żyły kwarcowe Coolgardie. Rok później

Patrick Hannan, z pochodzenia Irlandczyk, wraz ze współtowarzyszami znalazł 40 km dalej w kierunku południowo-zachodnim największe w Australii złożo złota Kalgoorlie. Jako pierwszy odkrywca Hannan opalił wyhodnie żył kwarcowych, sądząc, że tym samym gwarantuje sobie prawo do najbogatszych partii złoża.

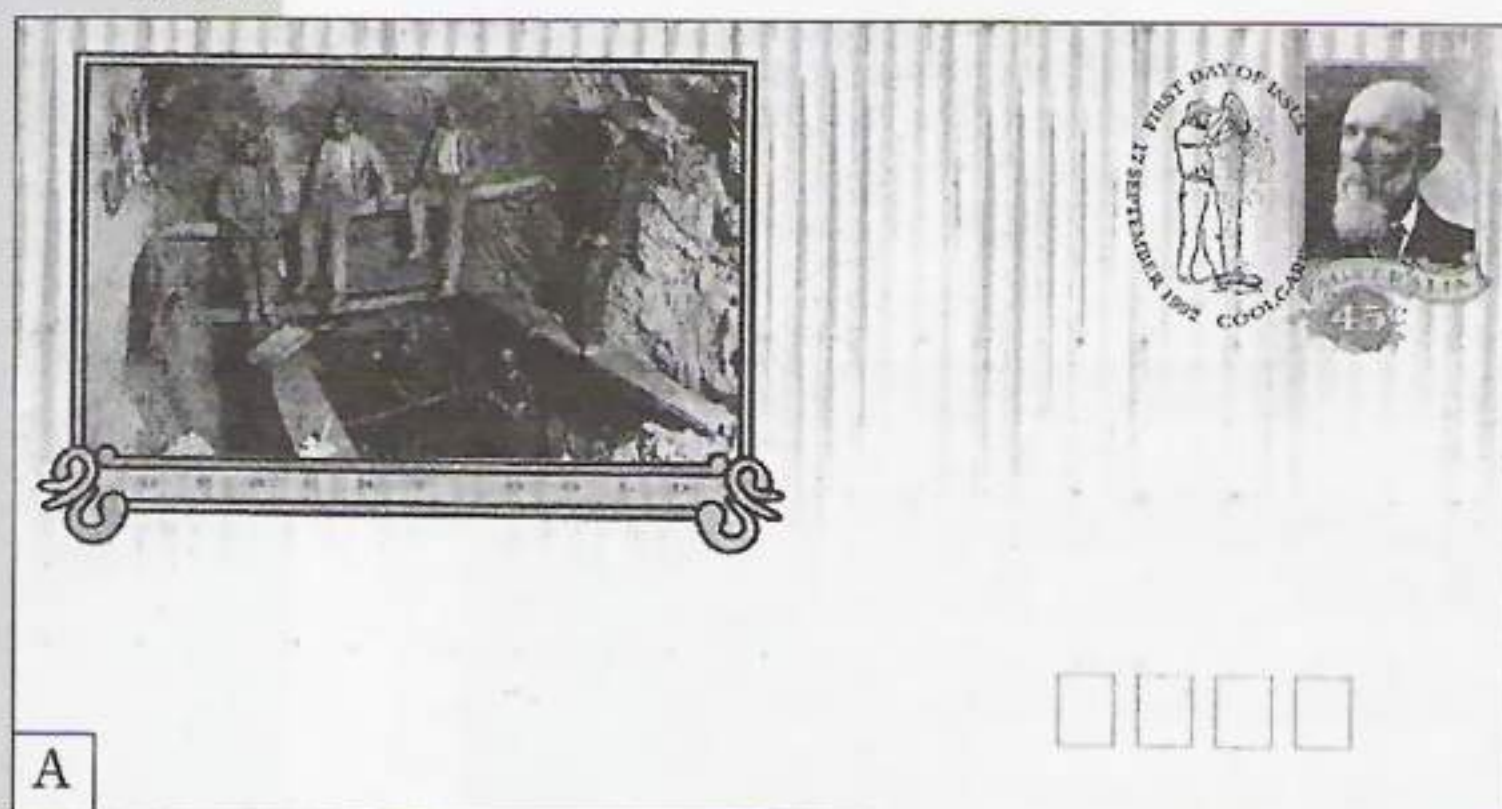
Główne złożo Kalgoorlie odkryli dwaj poszukiwacze: Sam Pears i George Brockmann, działający w imieniu i na rzecz 14 maklerów giełdowych z Adelajdy. Zasadniczą część pola znajdowała się między bliźniaczymi miastami Kalgoorlie i Boulder i nosiła nazwę „Golden Mile” – „Złotej Mili”. Złożo Kalgoorlie występowało w paśmie przeobrażonych zasadowych zieleńców i ultrazasadowych skał wulkanicznych. W obrębie tego samego pasma zieleńcowego w roku 1893 odkryto złożo złota Leonora, zaś na skraju tarczy Yilgrama – złożo Wiluna.

W 100. rocznicę znalezienia ogromnych pokładów złota w suchym obszarze położonym 600 km na wschód od Perth w Zachodniej Australii poczta tego kraju we wrześniu 1992 r. wydała kolejną okolicznościową emisję „pustynnego złota”. Emisja obejmuje 4 okolicznościowe koperty, na których umieszczono portrety poszukiwaczy oraz krajobrazy pól złotonośnych Kalgoorlie i Coolgardie. Nadmienić należy, że złoto z tych obszarów przyczyniło się do pokrycia finansowego bilansu Australii w latach 90. XIX wieku.

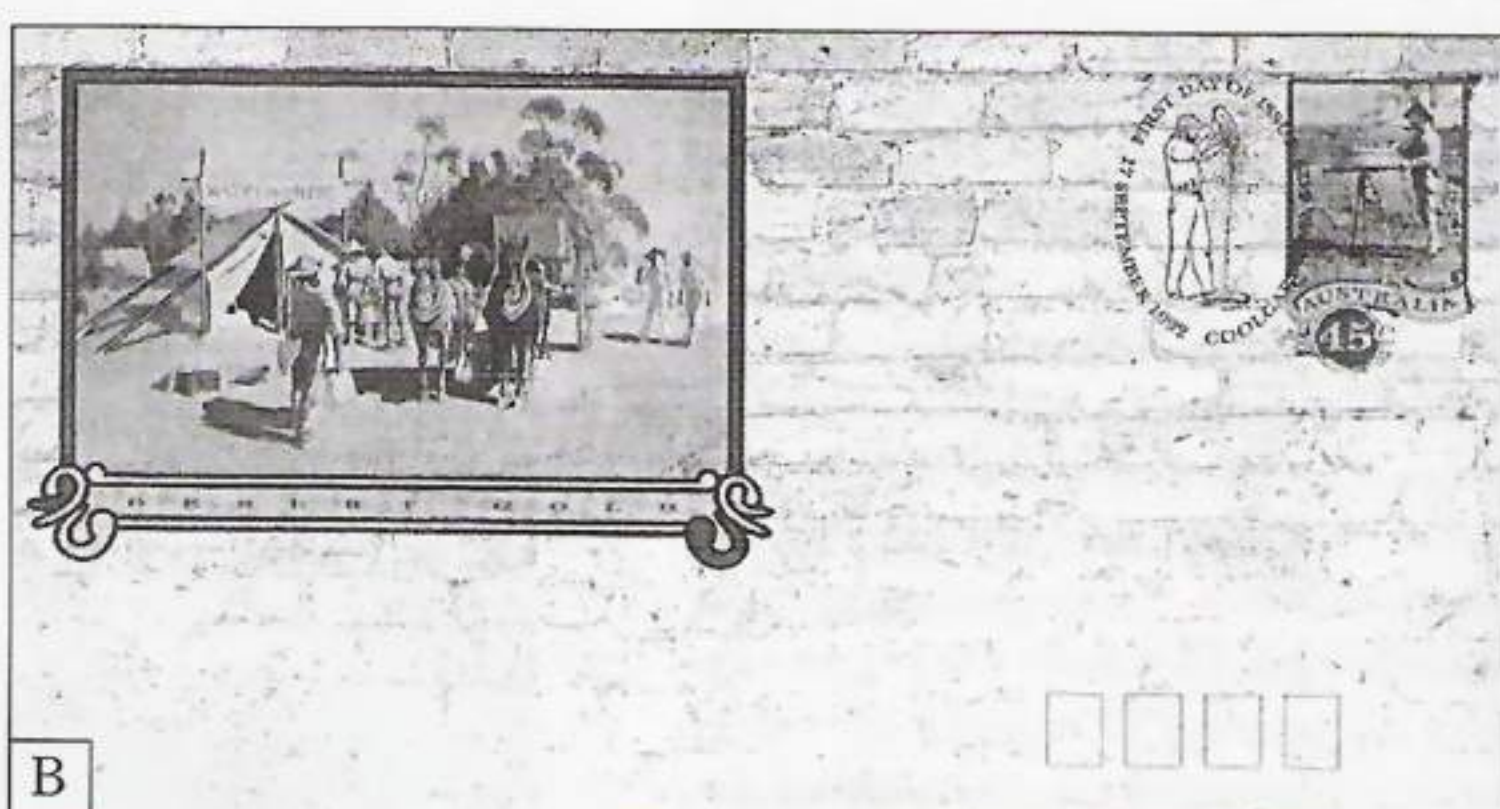
A) Znaczek jasnozielony przedstawia 49-letniego irlandzkiego poszukiwacza Paddy Hannan'a, który przez lata eksplorował australijskie pola złotonośne. Jako pierwszy w czerwcu 1893 r. zarejestrował działkę na polu Kalgoorlie. Tamtejsze pokłady złota okazały się niewyobrażalnie bogate. Zdjęcie na kopercie prezentuje grupę górników wewnątrz kopalni. Kopalnie takie jak Lake View, Great Boulder i Ivanhoe są jedynie przykładami istniejących w tych czasach kopalń złota. Górnicy pracowali w nich po 12 godzin w ciągu jednej zmiany i zarabiali około 3 funtów tygodniowo.

B) Na znaczku ciemnozielonym pokazano urządzenie zwane „wywiewa-

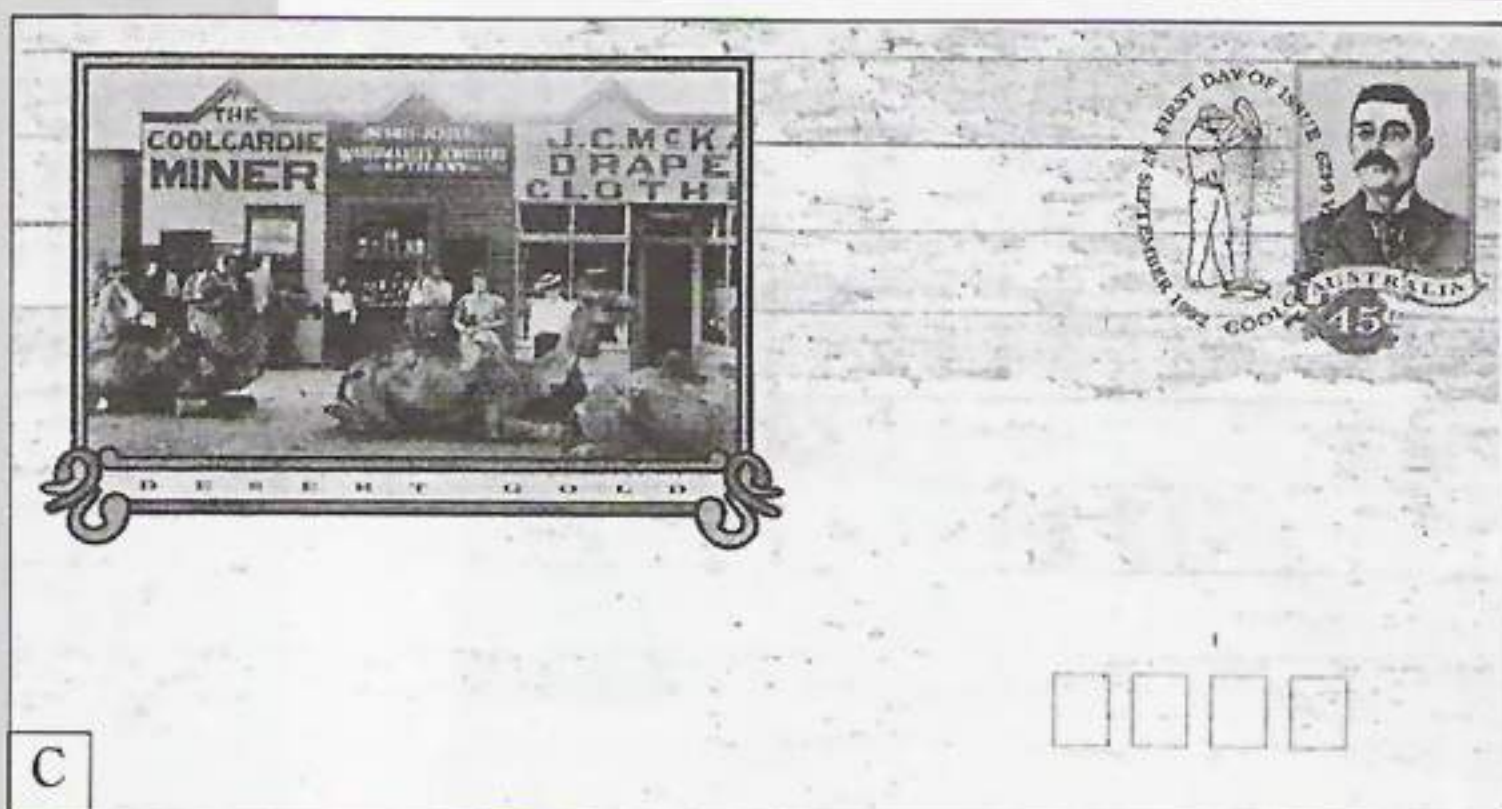
Okolicznościowe koperty wydane w 100. rocznicę znalezienia złota na wschód od Perth w Zachodniej Australii



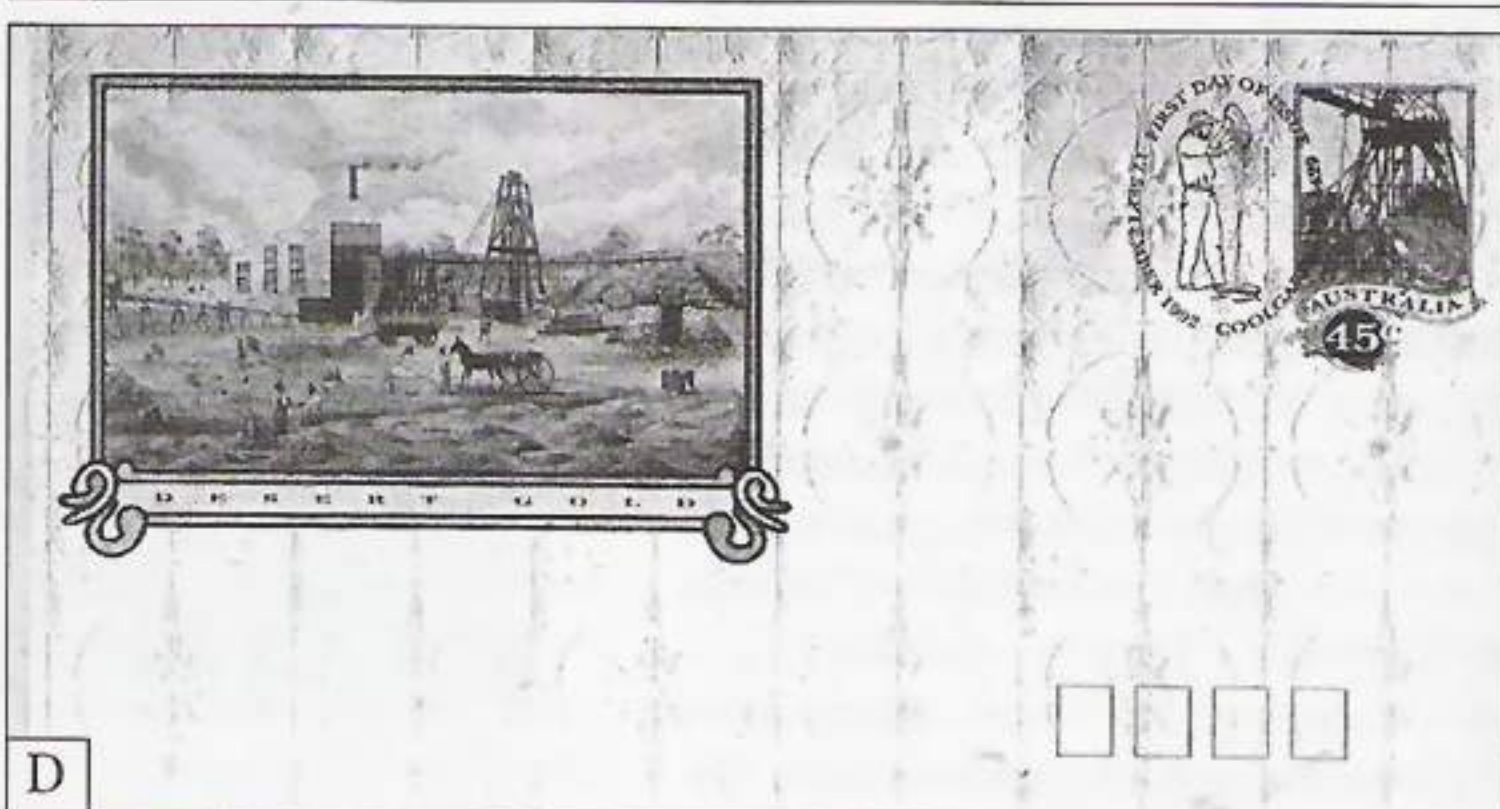
A



B



C



D



czem na sucho". Był to młynek podobny do młynka zbożowego, w którym prąd powietrza wywiewał zanieczyszczenia, pozostawiając złoto na dnie sita. Urządzenie to wynaleziono w celu ograniczenia dużych ilości wody potrzebnej do płukania złota. Ilustracja na kopercie przedstawia codzienne życie na polach złotonośnych, według szkicownika Fredericka Matthews Williamsa.

C) Znaczek koloru pomarańczowego przedstawia Arthura Bailey'a, który we wrześniu 1892 r. zarejestrował pierwszą działkę złotonośną w Coolgardie. Fotografia na kopercie pokazuje fragment głównej ulicy w Coolgardie. W ciągu paru miesięcy wokół działki Bailey'a wyrosło miasto, i tysiące poszukiwaczy zasiedliły wkrótce Coolgardie. Sklepy, drukarnie, budynki biur wznoszono z różnych materiałów – od płótna do stali.

D) Na znaczku czerwonym widzimy fragment kopalni w połowie lat 90.



Znaczek na stulecie gorączki złota w Kolumbii Brytyjskiej

XIX stulecia. Złoto pochodzenia aluwialnego stawało się coraz rzadsze. W krajobrazie zaczęły dominować wyścigi kopalniane oraz hałdy, gdzie wydobywano złoto ze złoża pierwotnego. Ilustracja na kopercie to kolejny szkic F. M. Williamsa, ważnego dokumentalisty tego okresu w historii Australii. Kopalnia przedstawiona na rysunku to prawdopodobnie Kanowna, zwana również „Białe Pióro”. Kopalnie takie jak Kanowna, Kambalda i Bulong stanowiły obszary głównych pól złotonośnych Coolgardie i Kalgoorlie.

KANADYJSKIE KLONDIKE – 1898 r.

W roku 1867 za sumę 7,2 miliona dolarów Stany Zjednoczone kupiły od Rosji Alaskę. Wydobycie złota rozpoczęło się nie na półwyspie, lecz na wąskim, długim pasie skalistego wybrzeża, ciągnącym się ku południowi wzdłuż granic Kanady.

Rozsypiskowe złoża żółtego kruszcu znalazł kanadyjski Francuz Juneau w roku 1880. Gorączka złota, która objęła obszar wiecznej zmarzłoci, była kolejnym etapem epopei poszukiwaczy wędrujących z Gór Skalistych na północ, szlakami wiodącymi przez łańcuchy Kordyliarów, przez Kanadę.

W roku 1858 fala poszukiwaczy, wędrując górami, dotarła do Kolumbii Brytyjskiej. Złoto znaleziono w pobliżu granicy Stanów Zjednoczonych w wielkim zakolu rzeki Fraser. Później poszukiwania przeniosły się do Omineke, wpadającej do rzeki Peace.

W 100. rocznicę znalezienia złota w Kolumbii Brytyjskiej poczta kanadyjska wydała okolicznościowy znaczek. Na znaczku koloru zielonego, o nominale 5 centów, przedstawiono poszukiwacza przepływającego aluwia rzeki Fraser w poszukiwaniu złotego kruszcu. Stamtąd już było niedaleko do rozsypisk złotonośnych Jukonu i Klondike.



W miarę wędrówki ku północy warunki poszukiwań stawały się coraz trudniejsze. Dopiero w 1896 r. poszukiwacze doszli do środkowego odcinka Jukonu. Nad jego prawobrzeżnym dopływem, Klondike, odkryto wielki złotonośny rejon. Gorączka złota, jaka wybuchła na tę wiadomość, mogła się równać z gorączką kalifornijską. W lipcu 1896 r. poszukiwacz Robert Henderson znalazł kilka bryłek złota w jednym z odległych dopływów Jukonu. Do poszukiwań w dopływie Jukonu, zwanym Indian River, namówił Hendersona francuski kupiec Joseph Ladue. Ze względu na niski poziom wody w tym potoku Henderson prowadził poszukiwania w innym potoku – Thron-Diuck, gdzie spotkał poszukiwacza Georga Washingtona Carmacka. 16 sierpnia 1896 r. Carmack znalazł złoto w dopływie Thron-Diuck, zwanym Rabbit Creek. W pierwszym dniu uzyskał 20 uncji czystego kruszcu. Twierdził, że złoto było „grube jak plaster sera między dwiema kromkami chleba”. Carmack przybył do Forty Miles zarejestrować działki. Wiadomość o złocie spowodowała wydłupienie miasta w ciągu kilku godzin. Podobna sytuacja powtórzyła się później we wszystkich obozach Jukonu. Zaczął się wyścig z czasem, aby jeszcze przed mrozami wytyczyć działkę nad Rabbit Creek (przemianowanym na Bonanza Creek), wrócić, zarejestrować ją w Forty Miles, zaopatrzyć się w narzędzia i żywność na zimę.

15 lipca 1897 r. do San Francisco wpłynął statek „Excelsior”, przywożąc na pokładzie 15 obszarpanych górników, którzy przywieźli ze sobą tonę złota. W dwa dni później w Seattle witano kolejny statek, „Portland”, przybyły z 68 poszukiwaczami i dwiema tonami złota. Rozpoczął się masowy szturm na Klondike. Poszukiwacze przybywali morzem do położonego w głębi wąskiego i długiego fiordu portu w Skagway, skąd wędrowali pieszo pod górską przełęcz Chilkoot Pass, na terytorium kanadyjskie, do doliny Jukonu koło Whithorse. Stamtąd spływali pełną porohów rzeką do Dawson City – wielotysięcznego już miasta górniczego. Białe piekło Klondike było miejscem ostatniego wielkiego spotkania poszukiwaczy złota.

W roku 1996 poczta kanadyjska wydała 5-znaczkową okolicznościową serię związaną z 100. rocznicą gorączki złota w Klondike. Na znaczkach wykonanych techniką wielobarwną, o nominale 45 centów każdy, przedstawiono między innymi:

– Postać Jima Stokum'a, który w połowie sierpnia 1896 roku odkrył bogate złoża okruchowe złota w Rabbit Creek (Króliczym Potoku).

– Postać poszukiwacza wyposażonego w sprzęt niezbędny do poszukiwania złotego kruszcu. Tysiące takich ludzi w pędzie udawało się na złotonośne pola.

– Postać oficera Muncypalnej Policji Konnej. Jej zadaniem było obsadzenie granicy północno-zachodniej w celu niewpuszczania na terytorium Alaski ludzi sprawiających kłopoty lub słabo wyposażonych.

– Wnętrze saloonu w Dawson City – miejsce złota, które nie tylko dostarczało poszukiwaczom zaopatrzenia, lecz również mnóstwa przyjemności.

– Postać poszukiwacza przy urzędzeniu zwanym „kołyską” na jednej z najbogatszych żył złota, jaką kiedykolwiek znaleziono.

W roku 1909 szczęśliwy przypadek zrzucił, że odkryto pierwsze największe złoża pierwotne Kanady – Porcupine, następnie Kirkland Lake. Wszystkie pozostałe wielkie złoża kanadyjskie, poza bardzo odległym złożem Yellowknife, odkryto w latach wielkiego kryzysu.

W 50. rocznicę istnienia kopalni Yellowknife poczta kanadyjska w roku 1984 wydała okolicznościowy znaczek. Na wielokolorowym znaczku o nominale 32 centów przedstawiono model kopalni złota umieszczony wewnątrz tradycyjnej kanadyjskiej miski do płukania szlachetnego kruszcu. U góry napis: *Yellowknife* i daty 1934-1984.

Andrzej Urbanowski
Namiestnik Świętokrzyski
Polskiego Bractwa Kopaczy Złota



Na pamiątkę słynnego Klondike...

50-lecie istnienia kopalni Yellowknife poczta kanadyjska uczciła okolicznościowym znaczkiem





Wspomnienia kasiarza (V)

MIAŁA BYĆ BURSZTYNOWA KOMNATA...

Pewnego majowego poranka zajechał pod budynek mojego zakładu ogromny samochód z dużym napisem „TELEWIZJA POLSKA”, numery rejestracyjne wskazywały, że przyjechał z Warszawy. Kierownik ekipy zaprzeczył moim przypuszczeniom – nie zamierzają zlecić mi żadnej naprawy zamków w tym dużym samochodzie ani zakupić nowego sejfów. Sprawa, w związku z którą przyjechał, jest znacznie poważniejsza, niemal wagi państwowej. Pewne ślady wskazują mianowicie, że w podziemiach Malborka może być ukryta Bursztynowa Komnata, ale chronią ją potężne drzwi skarbcowe.

– Panie Gawerski, trzeba je otworzyć! Kluczy, oczywiście, żadnych nie ma, wiem, że tylko wy to potraficie – powiedział kierownik ekipy.

Spojrzelśmy na siebie – ojciec i ja – skromnie, w milczeniu. Nikt nas do tego typu przygód nie musiał namawiać. Umówiliśmy termin spotkania w Malborku w dniu następnym na godzinę 8.00. Musieliśmy dobrze się przygotować – przecież to będzie pokazówka z udziałem telewizji. Kierownik ekipy telewizyjnej też planował sobie przygotowanie dobrego sprzętu i materiałów.

Nazajutrz stawiliśmy się w Malborku przed czasem (nie cierpię spóźniać się). Weszliśmy do okazałego budynku Urzędu Miasta Malborka. W prawym skrzydle tego budynku przeprowadzano remont – między innymi wymieniano podłogę. Od robotników dowiedzieliśmy się, że właśnie podczas

zrywania starej podłogi w jednym z pomieszczeń odkryli zamaskowane zejście do podziemi, a tam – w końcu korytarza – potężne drzwi skarbcowe. Zaprowadzili nas.

Niebawem pojawili się chyba wszyscy ważniejsi urzędnicy miasta, przedstawiciele partii, milicji, wojska i – oczywiście – telewizja. Twierdzono zgodnie, że drzwi mogą być zaminowane, a niewłaściwe podejście do otwierania może spowodować wybuch.

Przysłano sapersa ze szperaczem. Biedakowi „gwizdało” w słuchawkach wszędzie, gdzie się poruszał – przecież lane z betonu ściany miały stalowe zbrojenia. Nic nam saper nie pomógł. Nawet najbardziej odważni obserwatorzy w pewnym momencie nas opuścili. Na placu boju pozostaliśmy tylko ja z ojcem i operator telewizji. Myślę, że w promieniu 500 metrów poza nami nie było żywej duszy. Kiedy zbliżał się moment otwarcia drzwi, zauważyłem, że operator telewizji nie nadawał zgarbiać potu z czoła, ale twierdził mężnie, że to tylko z powodu ostro świecących jupiterów. Nie ukrywam, emocje były niemałe, ryzyko niewątpliwie również. Otwarcie okazało się bardzo trudne, drzwi skarbcowe – co najmniej pięciotonowe, nieznanej firmy albo nie ujawniającej się – zbudowane zostały trochę nietypowo. Zastosowano trzy wspaniałe zamki typu PROTEKTOR o kluczach czteroabierakowych. To niebanalne rozwiązanie potęgowało napięcie.

Otwarcie trwało już pięć godzin, rzadko widziałem mojego ojca tak utrudzonego jak wtedy. Ustawienie w jednym zamku jak gdyby niezależnych, a jednak ze sobą sprzęgniętych czterech stosów zapadek to nie lada sztuka. Przeszkadzały nam trochę ostro świecące od tyłu reflektory operatora telewizji.

Nastąpił wreszcie moment kulminacyjny. Można ryzykować, ale nie można być głupcem. W tej chwili przy

drzwiach skarbcowych pozostała tylko kamera. Skrzydło drzwi z dużym oporem zostało otwarte za pomocą liny, którą przeciągnęliśmy do wystarczająco odległej części podziemi. Wybuchu żadnego nie było. Po odczekaniu jeszcze chwili, wkroczyłem pierwszy do pomieszczenia ukrytego za tak potężnymi drzwiami. Okazało się być niegdyś skarbcem depozytowym. Wszystkie ściany skarbcza wyłożone były sejfami depozytowymi, ale niestety – brutalnie porozrywanymi. Ktoś tu wszedł przed nami... Dowiedziałem się, że w lub po 1947 roku, ponieważ znalazłem gazetę z tego właśnie roku. Na podłodze walały się drobne monety niemieckie i mało wartościowa biżuteria. Na jednej z szafek leżał drewniany pojemnik z wydrążonym otworem, a w nim coś w rodzaju szklanej ampulki czy próbówki z zawartością, o której wojskowi mówili, że może to być nitrogliceryna.

Kolejne ciekawe odkrycie to zamaskowane od zewnątrz budynku rumowisko pod ścianą skarbcza, od strony sąsiadującej z dziedzińcem. Okazało się, że ktoś w lub po 1947 roku dokonał wyłomu w zbrojonej ścianie o grubości 80 cm, poniżej poziomu ziemi, wszedł do skarbcza i obrabował go. Okazało się również, że nieuchwytniej Bursztynowej Komnaty tu nie ma i zapewne nigdy nie było. A wszyscy, którzy poznali tę historię, do dziś łamią sobie głowy: kto mógł dokonać tego śmiałego włamania, a kto i kiedy zamaskował skarbiec ułożoną nad nim podłogą?

Ryszard Gawerski

Fortuna z pchlego targu

Pewien amerykański kolekcjoner kupił na pchlim targu obraz. Zapłacił za niego pięć dolarów. Okazało się, że to „Magnolie” dziewiętnastowiecznego malarza Martina Johnsona Heade’a – dzieło warte setki tysięcy dolarów! Specjaliści z nowojorskiego domu aukcyjnego Christie’s przysłali po obraz, czekający skromnie w pudle za lodówką, klimatyzowany samochód. Szacuje się, że za „Magnolie” kolekcjoner może dostać na aukcji ponad 300 tysięcy dolarów. W ubiegłym roku obraz Heade’a sprzedano w Christie’s za 882 500 dolarów. Cenne dzieło również ktoś kupił na pchlim targu.

(mar)

(Za „Ilustrowanym Kurierem Polskim”, 12/18.05.2000 r.)

Pod kościołem

Od 1996 r. archeolodzy prowadzą badania na terenie kościoła św. Katarzyny na warszawskim Mokotowie. Wykopaliska przyniosły wyjątkowo bogaty plon – naczynia użytkowe i ozdobne, biżuterię (pierścienie, kolczyki, kabłączki skroniowe), fragmenty metalowe trumien i witraży, monety, a także katowski miecz z XV-XVI w. Znaleźiska będzie można obejrzeć na wystawie planowanej w 2001 r. w Muzeum Historycznym w Warszawie.

MD



Złotoryjskie podziemia

Plac Matejki w centrum Złotoryi. Dziesiątki osób śpieszą w swoich codziennych sprawach na pocztę i na pobliski dworzec PKS. Ilu z tych przechodniów zdaje sobie sprawę, że tuż pod nogami mają przepaściste i jakże ciekawe podziemia? W towarzystwie dwójki pracowników złotoryjskiego OSiR-u, Sylwii Dudek i Karola Pawlaczka, schodzę po stalowych klamrach do pozornie najzwyklejszego kanału. Na szczęście, oddechu nie zatyka porażająca woń fekaliów, a jak na kanał – wyjątkowo tu sucho. Wąskie kamienne korytarze szybko się powiększają i w niewielu miejscach trzeba się schylać. Jest nawet przelotowe pomieszczenie, które śmiało można określić jako dużą, wysoko sklepioną halę. Pod jej ścianami widać kwadratowe betonowe wylewki przypominające wsporniki, na których mogły być umieszczone ławeczki. Karol ma zdanie na temat kanału wyrobione od dawna – uważa, że jest to instalacja ściekowa przystosowana do pełnienia funkcji schronu przeciwlotniczego.

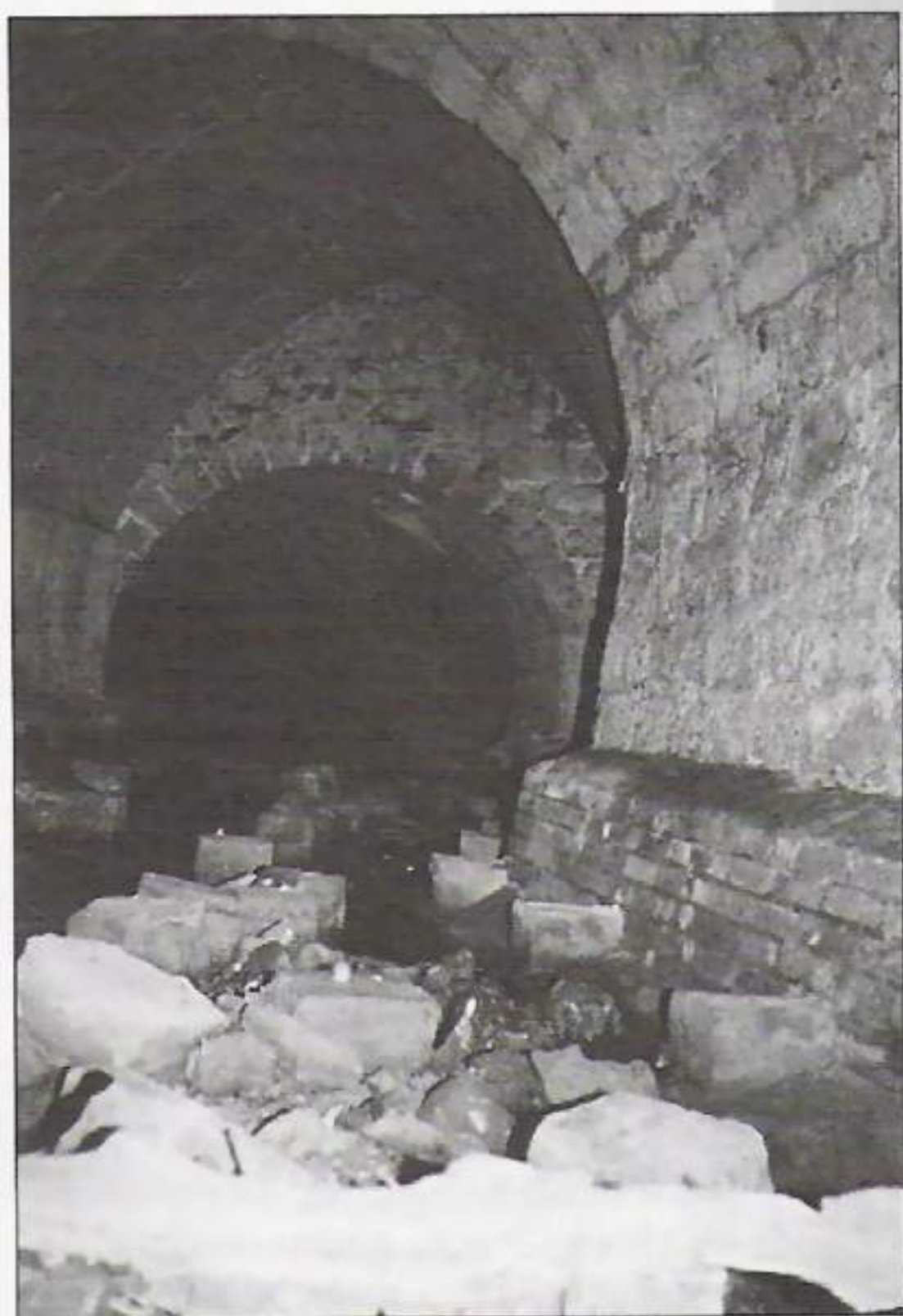
– O schronie koło poczty dowiedziałem się z tych różnych ludzkich opowieści, w które nie zawsze chce się wierzyć – wspomina Karol. – Wszyscy wiedzieli, że gdzieś coś jest, ale nikt nie potrafił sprecyzować, gdzie. Dla pomysłu poszukiwań tego obiektu udało mi się pozyskać przychylność poprzedniej Rady Miasta. Uzyskałem pozwolenie na roboty ziemne, z jednym wszakże zastrzeżeniem – że później doprowadzę teren

placu Matejki, znalazłem ciekawy odpowietrznik. Uznaliśmy zgodnie, że wart jest sprawdzenia i do środka zjechało na linach dwóch złotoryjskich eksploratorów – Piotrek i Klaudiusz. Umówiliśmy się, że dla większego bezpieczeństwa obydwaj będą w pięciominutowych odstępach czasu wracać pod szybik i meldować, czy wszystko jest w porządku. Zrobili tak raz i drugi, później nastąpiła dłuższa przerwa w kontakcie. Gdy nas wszystkich warujących przy wejściu zaczynały ponosić nerwy, chłopcy zjawili się rozbawieni za naszymi plecami, bo opuścili podziemia włazem, którym dzisiaj wchodziliśmy.

Karol szacuje, że schron, czy raczej kanał, ma około 500 metrów długości i kończy się rurą spustową wychodzącą w skarpie nad rzeką Kaczawą. W środku wyraźnie widać zasypaną klatkę schodową, z której kiedyś mieli korzystać chroniący się przed bombami mieszkańcy Goldbergu. Ciekawostką jest napis zgrabnie wyryty w krzepnym betonie: INSTANDGESETZLI DEZEMBER 1925 UND JANUAR 1926 BAUGESCHAFT GEORG URBAN, co w przybliżeniu znaczy, że obiekt był konserwowany i remontowany w grudniu 1925 i styczniu 1926 roku przez przedsiębiorstwo budowlane Georga Urbana.

Karol Pawlaczek, oprócz wspomnianego schronu, ma na swoim eksploracyjnym koncie oczyszczenie szybu w Kopalni Złota „Aurelia” i odkrycie nowej, nieznanej sztolni. Odgrza

gdzieś w pobliżu ówczesnej fabryki kapeluszy, która jeszcze do niedawna funkcjonowała pod szyldem Złotoryjskich Zakładów Obuwniczych. A ludzkie bajania głoszą, że w pobliżu Karolowego schronu mieszczą się sztolnie górnicze, które zasypano, pozostawiając w nich wagoniki służące do wywożenia urobku. Nie wiadomo, na ile te relacje są prawdziwe, ale sprawdzić warto, bo może historia się powtórzy.



„Opowieści dziwnej treści” okazały się prawdą – jest kanał pod Złotoryją



Dokument w betonie...

do stanu pierwotnego. Przyznaję, że nie bardzo wiedziałem, w którym miejscu powinienem zacząć kopać, a zdawałem sobie sprawę, że w przypadku pudła nie mam co liczyć na drugą szansę. Z pomocą, jak to często bywa, przyszedł mi przypadek. Kiedy wraz z grupą przyjaciół penetrowałem tereny przyległe do

się, że to nie koniec poszukiwań, bo Złotoryja skrywa tajemnic bez liku. Chociażby ostatnio – przyszedł list od pewnego Niemca. W czasie wojny mieszkał on w Goldbergu i jako mały chłopiec wyśmiewał się razem ze szkolnymi kolegami z włoskich jeńców, pracujących podobno w podziemiach,

Zapytałem bezpośredniego zwierzchnika Sylwii i Karola, dyrektora OSiR-u Mariusza Jońca, jak ocenia eksploracyjne zapędy swoich pracowników.

– Popieram je z całego serca – usłyszałem – bo zmierzają w dobrym kierunku; w stronę wypracowanej i utrzymywanej przez nas strategii rozwoju tak zwanej turystyki przyjazdowej do Złotoryi. Jeżeli tylko będzie nas stać i zaistnieje możliwość zagospodarowania takich miejsc jak schron, to będę się starał udostępnić je turystom.

Na razie turyści w Złotoryi mogą zwiedzać zarządzaną przez OSiR Kopalnię Złota „Aurelia”. Na ewentualne wpuszczenie w kanał (!) muszą jeszcze poczekać, ale kto wie, czy wkrótce nie będzie to nowa atrakcja stolicy polskiego złota.

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak



W zapomnianej sudeckiej kopalni

Kopalnia rud polimetalicznych (głównie wydobywano rudy arsenu i złota) „Wilhelm” koło Radziłowic w Górach Kaczawskich to jedna z najgłębszych obecnie dostępnych kopalń sudeckich, w dodatku – obiekt raczej mało znany. Informacje o historii kopalni i górnictwie na tych obszarach można znaleźć w książce T. Dziekońskiego „Metalurgia i wydobywanie kruszców...”. Ja chciałbym głównie opisać stan dzisiejszy i stopień wyeksplorowania tego niezwykle ciekawego, choć niebezpiecznego (nie jest zalecane penetrowanie kopalni na własną rękę) obiektu, gdyż brałem udział w wielu wyprawach eksploracyjnych w latach dziewięćdziesiątych (speleolodzy z Katowic, Głogowa i Leszna). Kopalnia „Wilhelm” obejmuje szyb „Luiza”, od którego na kilku poziomach odchodzą korytarze. Nam udało się zlokalizować i w większości spenetrować 4 poziomy, ale prawdopodobnie jest ich 5. Według materiałów górniczych, głębokość szybu sięga 142 metrów (samej kopalni ok. 150 m), z tego my osiągnęliśmy głębokość około 120 m. Pionowy wlot do szybu kopalni ma kształt prostokąta o wymiarach około 4 m na 2 m i znajduje się wśród starych hałd w młodniku.

Z powierzchni zjeżdżamy w głąb szybu na linie na głębokość 40 m, po drodze mijając wlot do zasypanego częściowo korytarza, którego kontynuację widać (jest to tzw. **I poziom**). Na głębokości 40 m znajdował się niegdyś zaklinowany korek z gruzu skalnego, belek itp., który jednak pod koniec lat 90. runął w dół szybu. Tutaj dostajemy się do wnęki, z której w dół odchodzi równoległy do szybu głównego, mniejszy szyb boczny na głębokość 70 m. Zaczynają się korytarze **II poziomu**, liczące około 300 m długości.

Od szybu odchodzimy wygodnym korytarzem górniczym z torami kolejki kopalnianej. Po kilkunastu metrach korytarz skręca w lewo i tutaj, też w lewo, wchodzimy do małej salki, z której w górę można osiągnąć po wspinaczce tzw. „malachitowy kominiek” z pięknymi, żywymi naciekami miedziowymi barwy zielononiebieskiej. Wracamy do korytarza i idąc dalej przez jego zwężenie, mijamy duży, brązowoczerwony naciek żelazisty (?), robiący spore wrażenie. Dochodzimy do rozdroża – w lewo odchodzi około 50 m ślepy korytarz, natomiast w prawo korytarz ponownie się rozwidla, a w górę po trudnym trawersie można się wspąć do szybu-komina odchodzącego ostro w górę (nie było widać jego stropu). Idąc korytarzem w prawo, osiągamy skośną salkę, od której w górę odchodzi ślepy kominiek. W lewo korytarzyk przechodzi przez niebezpieczne zawalisko, gdzie miejscami trzeba się czołgać do sali; wydaje się ona początkowo ślepa, jednak po krótkiej wspinaczce przez osypisko dostajemy się na próg, który następnie opada studzienką (wymagana lina) i dalej ciągnie się jako korytarzyk wypełniony wodą. Podobnie jak na początku korytarzy II

poziomu, w górę można się dostać do niewielkiego rozszerzenia z belkami w spąg. Korytarzyk kończy się litym przodkiem i znajdują się w jego bocznych ścianach piękne, czarne kropielnice, z których tryska woda. Wracamy do szybu i zjeżdżamy (np. bocznym szybem) na **III poziom**.

Jest tu najrozleglejszy system korytarzy i sal z piękną szatą naciekową, liczący sobie około kilkuset metrów. Z dna bocznego szybu odchodzą niskie korytarze w prawo i w lewo – w lewo z korytarza odchodzą w górę niewielkie progi doprowadzające do małej salki, natomiast idąc prosto, dochodzimy do rozdroża. Następnie korytarzyki stopniowo obniżają się, tak że ich nie spenetrowaliśmy. Korytarzyk odchodzący w prawo z dna szybu doprowadza nas do ciągu idącego w dół – „ciągu z drabinami”. Jest to błotnisty, opadający ostro korytarz z drewnianymi, częściowo zbutwiałymi drabinami. Wiedzie do dwuczęściowej sali, a im bardziej idziemy w głąb, tym więcej jest błota. W pewnym momencie drabiny się kończą i trzeba użyć liny – tych ciągów już nie penetrowano. Wracając do wejścia, idzie-

my dalej prosto i z kolei w górę kontynuuje się ciąg pięknej salki z różnobarwnymi naciekami, która przez niski przełaz przechodzi w drugą szczelinową salkę, kończącą odnogę tego piętra. Nieco dalej w górę odchodzi drugi ciąg, doprowadzający do wysokiej sali z pochylnią, za którą odchodzi poziomy korytarzyk wypełniony częściowo jeziorkami wodnymi. W spągu korytarzyka znajdują się też ciekawe, nieeksplorowane, częściowo zagruzowane wąskie odnogi. Na ścianach sali są rdzawe i zielononiebieskie polewy naciekowe, natomiast w korytarzyku zachował się dawny wagonik, którym wywożono urobek – obecnie jest on wypełniony krystalicznie czystą wodą. W końcowej części korytarzyk rozdwaja się i kończy litymi przodkami. Wracamy do szybu głównego i zjeżdżamy na **poziom IV**.

Poziom IV zaczyna się krótkim korytarzem, od którego rozchodzą się w dwie strony równie obszerne korytarze. W prawo wiedzie „ciąg malachitowy” – wygodny, obszerny korytarz z korytkami urobkowymi w ścianie. Znajdują się tutaj też efektowne nacieki, prawdopodobnie z chryzoko-

Studnia świętego Wojciecha

Podczas robót budowlanych w centrum Opola natrafiono na ślad legendarnej studni św. Wojciecha. Legenda mówi, że święty w czasie swego pobytu w Opolu w 984 r. chrzczył ludzi, a gdy zabrakło mu wody, tam gdzie stał wytrysnęło źródło. Następnie w tym miejscu wykopano studnię, z której woda uchodziła za leczniczą. Korzystano z niej aż do naszego stulecia. Po zniszczeniu drewnianej obudowy ślad po studni zaginął. Teraz jest szansa na jej odbudowę. Czy woda będzie miała nadal leczniczą moc?

(za „Rzeczpospolitą”)

MD



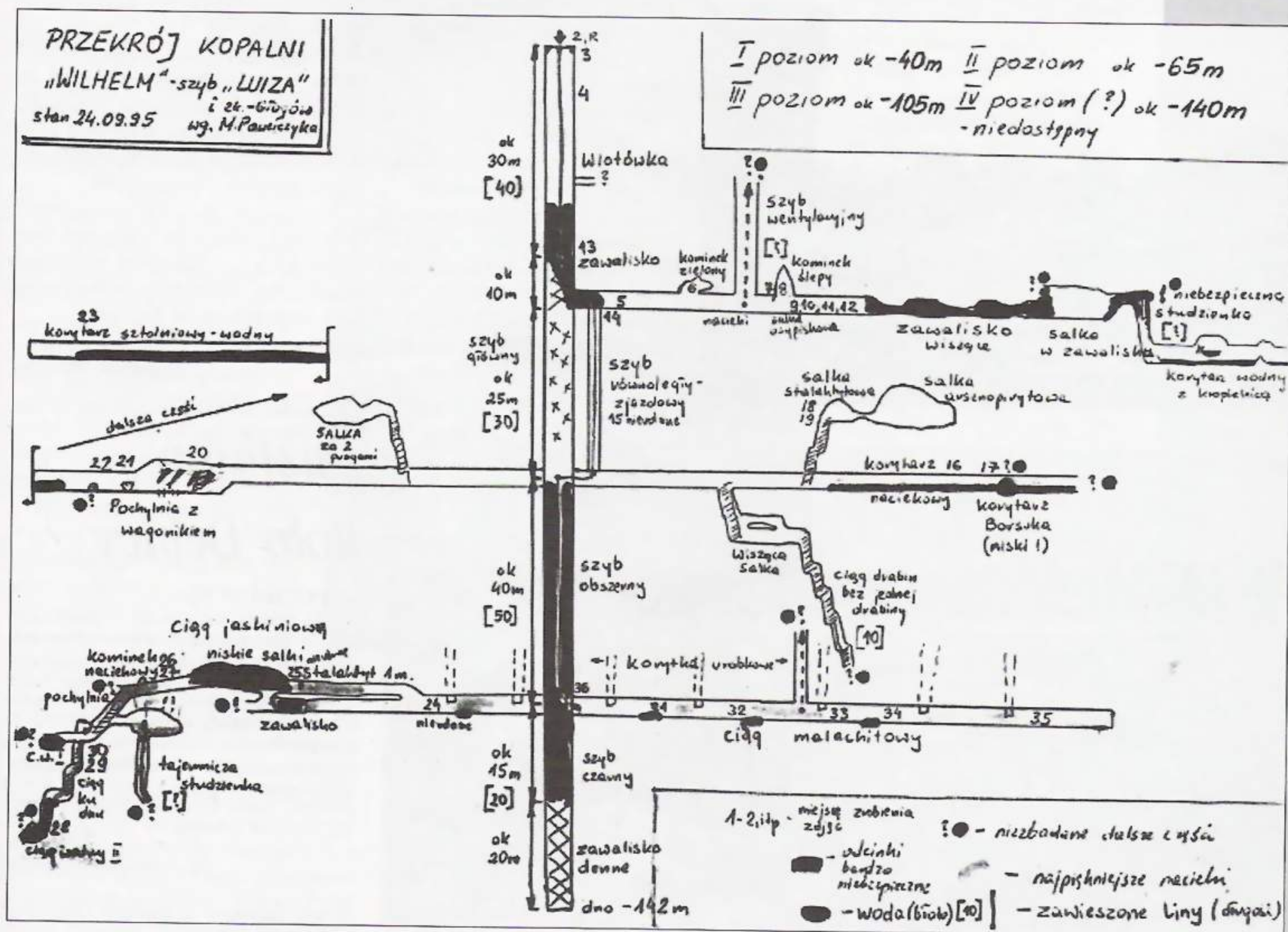
li. Ciekawostką jest niewielkie jezioro o zmiennym poziomie wody barwy zielononiebieskiej. W przeciwną stronę korytarz wchodzi w zawałisko, które pokonujemy górą przez niskie, acz rozległe salki – nad zawałiskiem znajduje się efektowny brązowy stalaktyt długości prawie 1 m. Niskie salki przechodzą w korytarzyk, który nieco zmienia kierunek i opada pochylnią – niekiedy po pochylni sączy się potoczek. Tutaj też jest mały kominiek naciekowy wypełniony w całości brązowymi naciekami (polewy, stalaktyty itp.). Pochylnia prowadzi do bocznej salki. Z jej dna odchodzi w dół niezbadana, wąska studzienka, do pokonania której potrzeba liny. Wrzucony kamień odbijał się kilka sekund, aż wpadł na dno – jest to niewątpliwie najgłębszy punkt kopalni; być może stamtąd odchodzą jakieś kolejne kontynuacje? Dalej ciąg schodzi na „nowe dno” (około 130 m). Po drabinach docieramy do sali wypełnionej wodą i błotem, tworzącej swego rodzaju jezioro błotne. Przechodzi ona w korytarz, który zakręca, dlatego z sali nie widać jego kontynuacji. Do dalszej penetracji niezbędny jest ponton lub wysokie wodery. Na

powierzchnię wracamy głównym szybem po linie, około 100 metrów w górę.

Kopalnia „Wilhelm” jest niezmiernie ciekawym obiektem podziemnym. Czas spowodował, że w wielu partiach upodobniła się do jaskini. (Eksplorację złóż zakończono przypuszczalnie w latach trzydziestych i od tego czasu została praktycznie zapomniana – człowiek tu najprawdopodobniej nie zaglądał.) W niektórych miejscach potworzyły się niebezpieczne osypiska i zawałiska – nie polecamy zwiedzania. Skały, w których powstała kopalnia, to głównie łupki radzimowickie – skały bardzo stare (protetrozoiczne), ale łatwo kruszące się i ulegające wietrzeniu, co m.in. uniemożliwia użycie spitów przy technikach linowych; trzeba stosować np. trudne wahadła linowe, aby dostać się z szybu do poszczególnych poziomów. W czasie penetracji nie stwierdzono okazów flory i fauny. Sam otwór szybu jest praktycznie niczym niezabezpieczony (oprócz zniszczonego obelkowania z brzozy), co może powodować wypadki.

Kilkaset metrów na zachód znajduje się szyb „Arnold” – kolejnej kopalni z okolicy Radzimowic. Jest to jednak znacznie mniej ciekawy obiekt dla eksploratorów, m.in. z tego powodu, że obecnie dostępny jest w zasadzie sam szyb – i to do głębokości około 30 metrów – i do niego miejscowi wyrzucają śmieci. Jego dno stanowi najprawdopodobniej zaklinowany korek (według planów górniczych, szyb miał 120 m głębokości) z gruzu i zbutwiałych belek przemierzanych ze śmieciami. Można się w tym zawałisku przedostać przy ściąganiu szybu kilka metrów w dół do wylotu korytarza (prawdopodobnie I piętro korytarzy), ale w większości korytarz ten jest wypełniony gruzem skalnym, z którego wystają belki uniemożliwiające dalsze czołganie się. Przypuszczalnie można by się tu dostać do dalszej, rozleglejszej części kopalni, ale trzeba by usunąć wspomniane belki.

Maciej Pawełczyk





Fort Hamilton

Z tym niezwykle malowniczo położonym obiektem militarnym, zetknąłem się w okresie moich pierwszych wypraw po Nowym Jorku. Powstał jako typowa bateria artyleryjska w drugiej połowie 1700 roku. Zamyka wąski korytarz wodny w kierunku na Manhattan i do New Jersey. Znajduje się po zachodniej stronie brzegu dzielnicy Brooklyn i współdziałała z podob-

nymi stanowiskami artyleryjskimi na wschodnim brzegu State Island i baterią położoną na wyspie Sandy Hook. Porty Nowy Jork i New Jersey są kluczowymi obiektami wschodniego wybrzeża USA, dlatego też postanowiono je zabezpieczyć przed ewentualnym atakiem od strony oceanu. Początkowo budowane forty były niewielkimi drewniano-ziemnymi dziełami fortyfikacyjnymi, jednak w następnych latach, wraz z postępem technicznym, zostały rozbudowane i wzmocnione. W tym okresie zwracano baczniejszą uwagę na stosowane armaty niż na ich ochronę. Po wojnie secesyjnej wprowadzono artylerię o lufach stalowych, co zmniejszyło wagę armat, można było wydłużyć lufy i zwiększyć zasięg lotu pocisków.

Krytyczny moment dla całego systemu obrony wybrzeża nastąpił w latach 1875-1890. W tym czasie Kongres amerykański zaniechał wszelkich prac nad rozbudową opisywanych fortyfikacji. Rozpoczęcie nowego programu rozbudowy Marynarki Wojennej USA w roku 1883 zwróciło uwagę opinii publicznej na brak nowoczesnych umocnień brzegowych, a szczególnie brak zabezpieczenia ważniejszych portów tak wschodniego, jak i zachodniego wybrzeża kraju. Około 1885 roku Kongres powołał grupę roboczą, która miała za zadanie zbadanie

i przedstawienie raportu dotyczącego obrony wybrzeża USA.

W skład „Endicott Board” – tak nazywano wspomnianą grupę specjalistów zajmujących się problemem obrony portów Stanów Zjednoczonych – wchodził oficerowie marynarki, armii lądowej i cywile. Przewodniczył jej William C. Endicott – sekretarz obrony. Dzięki połączeniu sił doskonałych specjalistów w szybkim tempie przestudiowano dokumentację posiadanych zasobów fortyfikacyjnych, uzbrojenia oraz oczywistych potrzeb obronnych. Rada Endicotta w roku 1886 podjęła decyzję zabezpieczenia 29 strategicznie ważnych portów morskich za pomocą nowoczesnych fortyfikacji, baterii pływających, wyrzutni torpedowych i sterowanych elektrycznie pól minowych. Koszty wyliczono na około 126 milionów dolarów, a w planie była budowa stanowisk dla artylerii i zainstalowanie 1300 dział i moździerzy o kalibrach od 203 mm wzwyż.

Fort Hamilton osłaniał zamontowane na brzegu zatoki działa przed ewentualnym desantem atakujących wojsk. Obecnie znajduje się, jak wszystkie tego typu obiekty, w rękach wojska. Na terenie fortu mieści się Dowództwo Zaopatrzenia Wojsk Rezerwy Wschodniego Wybrzeża USA. Zdjęcia wykonałem dzięki zezwoleniu Departamentu Obrony USA.

Kolejna porcja, myślę że ciekawych informacji i zdjęć o fortyfikacjach amerykańskich – w kolejnych wydaniach „Odkrywcy”. Pozdrowienia dla wszystkich czytelników od Kaczora.

Bogusław Stańczuk

Widok z Fortu Hamilton na most Werrazano
Niżej: Dziedziniec i kaponiera



Pustków koło Dębicy

POLIGON SS

Na terenie wsi Ocieka Niemcy urządzili w 1940 r. poligon artylerii. Powstało pięć dużych i siedem małych schronów. Po zbombardowaniu przez aliantów zakładów doświadczalnych na wyspie Uznam Niemcy przenieśli wyrzutnie V-1 i V-2 na poligon Pustków. Na zdjęciu mały ceglano-betonowy schron, w którym przebywała załoga wyrzutni V-1 podczas startu pocisku. Sama wyrzutnia znajdowała się ok. 9 km od schronu.

fot. i opis Zbigniew Inglot

(zdjęcie nadesłane na konkurs „Odkrywcy”)



Relikty pogańskiego kultu

Na zewnętrznych ścianach wielu zabytkowych kościołów dostrzec można niewielkie, półkoliste, miseczkowate wgłębienia w ceglach. Średnica ich bywa różna i waha się między 0,5 a 7,5 cm, zaś głębokość od 0,5 do 5 cm. Prawie zawsze, z bardzo nikłymi wyjątkami, opisywane otworki skupiają się przede wszystkim po stronie południowej i południowo-wschodniej tych kościołów. Unikają skarp wspierających ściany kościelnych murów, są od nich oddalone zazwyczaj o 30–40 cm. Wskazuje to na dążenie do uzyskania przestrzeni dogodnej do manipulacji rękoma. Wgłębienia te rozrzucone są w pasie między 40 cm a około 140 cm nad ziemią. Zdarzają się wyjątki, ale mogą być one związane ze zmienionym poziomem ziemi wokół tak starych świątyń. Na murach kościoła pod wezwaniem św. Klary w Dobrej Nowogardzkiej (województwo zachodniopomorskie) naliczyłem 223 miseczkowate otworki, natomiast ściany kościoła Wniebowzięcia NMP w Nowogardzie zawierają ich 66. Podobne ślady zauważono na kościołach Ziemi Lubuskiej (Barlinek, Gorzów Wielkopolski, Ośno), Wielkopolski (Kalisz, Klecko, Łęko, Poznań, Rogoźno, Środa, Wągrowiec, Wysocko), Rugii, w Marchii Wschodniej, Brunszwiku, a nawet dalekiej Szwecji.

Mnogość tych dziurek od dawna intrygowała i budziła różne domysły. Opowiadano sobie, że to pokutnicy musieli palcami wiercić otworki w ceglach, cierpiąc w ten sposób za popełnione grzechy. Albo że są to ślady po laskach żebraków, którzy opierali się o mur świątyni w czasie kwestowania. W ludowej gwarze wielkopolskiej owe wyżłobienia bywały niekiedy nazywane „gmerkami”, względnie „gmyrkami” – od czasownika gwarowego „gmyrać”, tj. grzebać, wydrapywać. Na tej podstawie niektórzy badacze wysunęli przypuszczenie, iż mogły one mieć związek z pewnym, zresztą – rzadko spotykanym, zabiegiem medycznym. Polegał on na tym, że w celach leczniczych, najczęściej dla chorego bydła, ale również i dla ludzi, wydrapywało się nieco okruszków cegły z murów, aby dosypać je do paszy lub lekarstwa. Mógł też chory sam wydrapać dziurę w ścianie, wypowiedzieć odpowiednią formułę „zamówienia”, chuchnąć w otwór trzy razy, w ten sposób wydalając z siebie chorobę.

W rzeczywistości dziury w pomorskich i wielkopolskich kościołach związane są z prastarym kultem ognia. Konkretnie – są to ślady posługiwania się świderem ogniowym. Urządzenie to, w swej konstrukcji mniej lub bardziej prymitywne, z wyglądu przypominało łuk. Drugi koniec drewnianego wiertła owinięty był w sznurek cięciwy, której naciąganie lub zwalanie nie wprawiało świder w ruch obrotowy. Skrziesanie ognia – metodą znaną również prymitywnym plemionom z afrykańskiego buszu, które z wyjątkową wprawą posługują się w tym

celu zwykłym patykiem – polegało na tarcu grotu świdra o cegłę, czego ubocznym skutkiem były owe tajemnicze otworki.

Zwyczaj niecenia ognia przy pomocy świdra znano w Polsce z górną 200 lat temu, czego ślady można było spotkać na bardzo starych drewnianych

sterze wiejscy, szczególnie skotarze, umieli niecić ogień przy pomocy świdra ogniowego lub nawet odpowiedniej żerdki drewnianej. Chłopcy wiejszy z okolic Solca w powiecie Środa zabawiali się jeszcze nieceniem ognia przy użyciu świdra ogniowego przed około 60 laty, pasąc na polu bydło.

W Wysocku Wielkim zachowała się (...) u najstarszych ludzi pamięć tego, że w Wielką Sobotę zapalano tzw. święty ogień o mur kościelny przy pomocy świdra ogniowego.

Sam zwyczaj niecenia „świętego ognia” w Wielką Sobotę, jak i technika, wywodzą się niewątpliwie z czasów pogańskich, gdy całą ziemię pomorską zamieszkiwali jeszcze Słowianie. Dawne kamienie ofiarne w Krzywicach, Długolecie, Bielicach oraz na wyspie Wela miały podobne wgłębienia. W czasach chrześcijańskich zwyczaj święcenia ognia i przenoszenia go do domów w przededniu wielkiego święta, które wypada akurat na wiosnę, nabrał nowych treści.

Na zakończenie warto jeszcze dodać, iż opisywane miseczki spotyka się jedynie na kościołach katolickich, i to murowanych, powstałych nie później niż przed połową XVIII wieku. Wydaje się też, że zachodni zasięg tego zjawiska pokrywa się z zachodnią granicą Słowiańszczyzny. Możemy więc tajemnicze wgłębienia w ścianach kościołów uznać za *differentia specifica* słowiańskiego obszaru historyczno-kulturalnego.

Zbigniew Miler



Skąd te wgłębienia na ścianie gotyckiego kościoła?
fot. Krystyna Miller

chałupach. Później praktyki te, zapewne ze względów przeciwpożarowych, całkowicie zaginęły. Nieco dłużej przetrwały w Wielkopolsce, gdzie – jak zanotował Tadeusz Wróblewski w 1958 roku – „w latach osiemnastych i dziewiętnastych ubiegłego stulecia zdarzało się jeszcze, że pa-



Grodziec – archiw

Trzynaście kilometrów na północny zachód od Złotoryi, w byłym województwie legnickim, leży Grodziec – wieś mająca 500 mieszkańców, zamek, pałac i tajemnic bez liku. Wierzyć się nie chce, ale wiele sekretów jest nieomal na wyciągnięcie ręki. Tak było z niemieckimi dokumentami, które Towarzystwo Przyjaciół Grodzca znalazło w grudniu ubiegłego roku. Prezes TPG Wiesław Surówka przyznaje, że o papierach wiadano od dawna.



Groditzburg, Rittersaal

Przedwojenne pocztówki ze zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Grodzca

Pod korzeniami jednego z drzew w parku można się dostać do pałacowego tunelu
fot. Radosław Biczak

– Dostaliśmy ten budynek na siedzibę towarzystwa – mówi – zabraliśmy się za różne roboty porządkowe i drobne remonty. Naprawiając ciekący dach, posprzątałyśmy na strychu i światło dzienne ujrzały trzy kartony różnych dokumentów. Przypuszczalnie w nasze ręce trafiły resztki gminnego archiwum, które w okresie powojennym służyło za

rozpałkę w kuźni. Dokumenty wymagają solidnej archiwizacji i konserwacji, bo większość z nich jest mocno zniszczona. Byli już u nas pracownicy Archiwum Państwowego z Wrocławia i dziwili się, że jest tego tak dużo. Wprawdzie nie zapadły jeszcze żadne decyzje, ale według mnie, najlepszym rozwiązaniem byłoby odpowiednie zabezpieczenie dokumentów i zostawienie ich w Grodźcu. Przecież wszystkie dotyczą tego miejsca albo okolicznych wsi – Nowej Wsi Grodzkiej, Sędzimirowa i Olszanic. Jeżeli dokumenty trafią do wrocławskiego lub legnickiego archiwum, to przepadną w stertach innych papierzyśk.

Najciekawsze archiwalia Wiesław Surówka chętnie pokazuje.

– Najwięcej jest ksiąg podatkowych – mówi. – Co ciekawe, podatki były rozdzielone, wiadomo, kto i ile płacił na kościół, straż pożarną itp. Osobno są księgi podatków rolnych z dokładnymi danymi o wielkości poszczególnych gospodarstw. Jest wiele talonów przydziałowych na ziemniaki, masło, chleb i buty. Są kenkarty i listy robotników przymusowych, wśród których znaleźć można wiele polskich nazwisk. Jest instrukcja szczegółowo informująca, jak powinny wyglądać mundury niemieckich służb państwowych oraz zalecane rodzaje ubrań dla Mazurów, Kaszubów, Ukraińców, Rosjan i innych nacji. Polaków

potraktowano specjalnie, dzieląc na mężczyzn, chłopców, kobiety i dziewczyny. Swoistą „perelką” w zbiorze jest informacja o wykonaniu dwóch betonowych słupów ogłoszeniowych; z iscie niemiecką dokładnością opisano, ile kosztowały betonowe kręgi, gdzie je kupiono i kto murował. Całość kończy stwierdzenie: „na chwałę Adolfa Hitlera, który dał nam pracę” oraz podpisy członków rady sołectwa i szefa NSDAP.

Oprócz wymienionych, na uwagę zasługują dokumenty związane z ostatnim niemieckim właścicielem zamku Grodziec – Herbertem von Dirksenem, który był ambasadorem Niemiec w Moskwie, Tokio i do wybuchu wojny – w Londynie. Dirksen – dyplomata – pamiętał o swoich ziomkach, przesyłając mieszkańcom Grodzca serdeczne życzenia z odległej stolicy Japonii, które przeczytać można w znalezionym liście. Trudno wytłumaczyć, jakim sposobem znalazł się tu list w drugą stronę, od grodzczan do ambasadora Dirksena w Londynie, z życzeniami szczęśliwego nowego 1939 roku... Jest również świadectwo wpłaty 1000 marek na fundację Herberta i Hildy von Dirksen, ale jeszcze nie wiadomo, na jaki cel fundacja zbierała pieniądze. Dokumentów jest wiele i zapewne niejeden szczegół lokalnej historii wyjdzie na jaw przy ich studiowaniu. Dla ludzi z TPG gminne





skarby, tajemnice



archiwum to skarb, który pozwoli poznać fragmenty przeszłości.

A jeśli o skarbach mowa, to w Grodzcu aż mnogo od legend, poszlak i... pobożnych życzeń. Najwięcej skarbów – tradycyjnie – lokuje się w zamkowych piwnicach, do których właściwie nie ma dostępu. Podobno przyjechał do zamku tajemniczy transport, podobno ukryto gdzieś dzieła sztuki, które kolekcjonował Dirksen, podobno schowano gdzieś archiwum planu „Barbarossa”, którym za zasługi dla niemieckiej dyplomacji uhonorował Dirksena Hitler, podobno... Oczywiście, nie można tych wszystkich skarbowych historii traktować zupełnie serio, ale lekceważyć też nie wypada, bo rzeczywiście – kiedyś skarb w Grodzcu już znaleziono... W wielu ludowych bajaniach pojawiają się skarby, jakie znaleźć mogą tylko ludzie o czystych, bezgrzesznych jak u dzieci duszach. Nie wiem, czy okoliczne dzieciaki były aniołkami, ale na pewno zaglądały do dziur, których istnienia dorośli nawet nie przypuszczali. W jednej z tych dziur na północnych stokach góry zamkowej, pod korzeniami powalonego wichurą drzewa, bystre oczy dzieci wypatrzyły skarb najprawdźniejszy – pękniętą glinianą amforę wypełnioną mnóstwem monet. Działo się to w roku 1967, a wtedy na zamku działała jeszcze Stacja Turystyczna. Jej kierownik, powiadomiony przez uczciwych znalazzców o odkryciu, zabezpieczył skarb i blisko 500 monet polskich, czeskich i niemieckich trafiło do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. Wiadomo, że amfora została ukryta po roku 1500, gdyż najmłodszymi monetami w zbiorze były

półgrosze koronne Aleksandra, datowane na lata 1501-1506.

Jeden skarb znaleziono, reszta być może nadal czeka na odkrywzców. Na zamku, który w swej bogatej historii częstokroć bywał niszczone i odbudowywany, tajemniczych miejsc godnych sprawdzenia jest sporo; chociażby studnia na dziedzińcu – o prostokątnym przekroju i ciekawych elementach mechanicznych w środku. Niektórzy uważają, że to szyb windy. Albo taki loch głodowy... Dużo w nim gruzu, ale Wiesław Surówka trochę grzebał tam wspólnie z kolegą i wygrzebali ludzkie kości. Przypuszczają, że trafili na ofiary niemieckich lub radzieckich egzekucji, bo szczątki na wiekowe nie wyglądały.

Podobno jeszcze po wojnie widziano na dziedzińcu przy bramie wejście do podziemnego korytarza, który rzekomo wiodł do stojącego u stóp góry kościoła i dalej do XVIII-wiecznego pałacu. Zważywszy, że góra zbudowana jest ze skał bazaltowych i wypiętrzona dość stromo, istnienie korytarza wydaje się być bardzo wątpliwe. Co innego pałac – tam faktycznie znajduje się tunel, który przy odrobinie samozaparcia odnaleźć i spenetrować może każdy. Korytarz zaczyna się przy jednym z pałacowych skrzydeł i po około 200 metrach kończy się w rowie odwadniającym. Intrygująca jest zwłaszcza wysokość tunelu – ok. 170 cm; dopiero na samym końcu zmniejsza się do 80, a później 40 cm. Prezes TPG miał kiedyś okazję

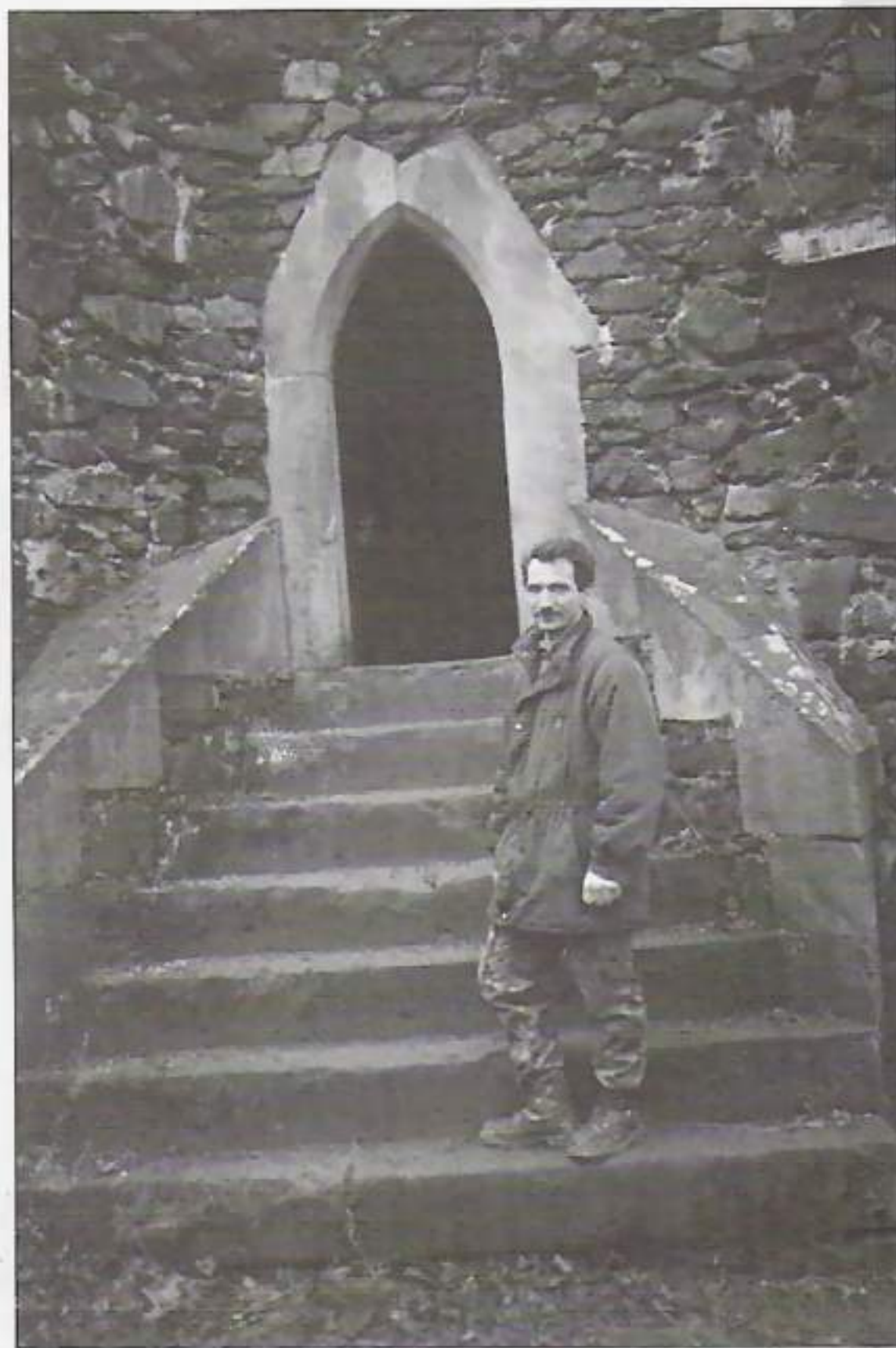
pracować w pałacu i pomagał przy oczyszczaniu korytarza, do którego wejść można również przez zerwany strop pod korzeniami jednego z parkowych drzew. Wprawdzie ten korytarz jest już zbadany, ale warto go obejrzeć i... poszukać drugiego; podobno znajduje się z drugiej strony pałacu, ale jak dotąd – nikt nie natrafił na żadne ślady. Darować sobie można pałacowe studnie – zostały oczyszczone kilka lat temu. W jednej z nich znaleziono marmurowe popiersie młodzieńca, które mogło należeć do kolekcji antycznej Dirksenów, a składały się na nią także wazy i grobowce przewiezione z Pompejów. Po kolekcji nie został ślad,

a jedynym świadectwem upodobań dawnych właścicieli pałacu jest plafon w sali reprezentacyjnej, przedstawiający bogów Olimpu – Zeusa, Herę, Bachusa, Neptuna i Dianę.

Tajemnice Grodzka to wyzwanie dla poszukiwaczy wręcz wymarzone, tylko zanim ruszycie w teren, pamiętajcie o niezbędnych pozwoleniach. Archiwum planu Barbarossa, kolekcja antyczna, podziemia i tajemnice czekają na swoich odkrywzców.

Radosław Biczak

Wiesław Surówka
przed lochem
głodowym
fot. Radosław Biczak





Współczesne pasowania rycerskie

Dyskusja tocząca się od jakiegoś czasu wokół sprawy współczesnych pasowań rycerskich ma, jak się może wydawać, swoje źródło nie tyle w różnicach celów i motywów powstawania i działania grup skupionych w tak zwanym ruchu rycerskim, ile w historycznym uwikłaniu pojęcia stanu rycerskiego i wynikających stąd konsekwencjach. Innymi słowy, chodzi raczej o określenie zakresu przynależności do grupy zwanej dalej rycerstwem, jej ram organizacyjno-prawnych, kompetencji oraz powinności. Problem, czy dana organizacja bądź grupa powstała w celu zabawnego spędzenia wolnego czasu (polegającego na przebraniu się w dziwaczne stroje), zarabiania pieniędzy (poprzez odgrywanie wszelkich możliwych scenek historycznych – z pasowaniem turysty lub burmistrza włącznie), czy też dla kultywowania starej tradycji stanu rycerskiego, także ma swoje znaczenie, lecz dla istoty sprawy jest to rzecz raczej drugorzędna. Dla każdej z grup ujętych w tym uproszczonym schemacie ceremoniał będzie miał inne znaczenie. Jednak wśród grup skupionych w kręgu Kapituły Rycerstwa Polskiego, a tym samym w kontekście Reguły Rycerskiej, współczesny ruch rycerski jest naturalnym przedłużeniem działalności rycerstwa, osadzonym głęboko w jego kilkusetletniej tradycji.

Jako wyraźnie wyodrębniona grupa społeczna rycerstwo zawsze stawiało sobie ściśle określone cele, których sposób realizacji ewoluował wraz ze zmianami zasad życia społecznego. Cele te wyraźnie określa przyjęta przez grupy skupione w Kapitułę Rycerstwa Polskiego Reguła Rycerska. Jest to dokument o niezwyklej wartości, wynikającej z ponadczasowej i ponadregionalnej uniwersalności moralnej postawionych w nim tez. Kwintesencją istoty Reguły Rycerskiej jest czynienie dobra w oparciu o zasady obiektywnej moralności. Tym samym dokument ten zdecydowanie wyznacza ramy ideologiczne ruchu wokół niego skupionego. Istotą tak skonstruowanego ruchu jest to, że nie Kapituła, lecz Reguła stanowi punkt centralny naszych działań. Tym samym dla wielu grup nowo tworzących się celem nie powinna być przynależność do Kapituły, lecz ideowa tożsamość z zasadami Reguły Rycerskiej. Kapituła jest jedynie dobrowolnym zgromadzeniem grup, stojącym na straży tradycji rycerskiej i starającym się wypracowywać drogi i sposoby realizacji wspólnych celów stanu rycerskiego zawartych w Regule Rycerskiej. Nakreślone tu zadanie nie jest bynajmniej łatwe. Trudności i rozbieżności w rozumieniu i interpretacji istoty i symboliki ceremoniału rycerskiego wynikają ze swoistego dysonansu, jakiemu podlega większość z nas. Otaczająca nas rzeczywistość oraz wzorce kształtujące naszą osobowość przepełnione są ideami relatywizmu moralnego, braku poczucia odpowiedzialności za grupę, braku powiązania emocjonalnego z

miejszem aktywności oraz zaniku świadomości przemian historycznych, których jesteśmy spadkobiercami, uczestnikami i twórcami. Wszystkie wymienione wyżej cechy współczesnego życia społecznego stoją często w sprzeczności z ideą Reguły Rycerskiej i skupionego wokół niej ruchu. Istotą współczesnego świata jest otaczająca nas zewsząd fikcja, stająca się ideą samą w sobie. Dlatego z dużym dystansem należy traktować przenoszenie utrzymywanych w liberalnym duchu idei gier komputerowych oraz wzorców fantasy na grunt działalności ruchu rycerskiego. Dlatego też należy wyraźnie oddzielać ruch stricte teatralny od działań podejmowanych bardziej serio, poprzez swoje zarezerwowanie najistotniejszych symboli i ceremonii życia rycerskiego dla istotnych dla nas – rycerzy – celów.

W swojej dotychczasowej działalności nie oparliśmy się (jakże charakterystycznej dla współczesnego parlamentarizmu) pokusie ujęcia życia rycerskiego w sieć ścisłych przepisów,

Sezon już w pełni, gołym okiem widać postęp w uzbrojeniu i umiejętnościach, chociaż nie brak nowych twarzy. Dzisiaj kolejna dawka szermierki, dalsza część adresów grup rycerskich i nowa pozycja pisana przez członka konwentu, mistrza Bractwa Rycerzy Ziemi Sztumskiej Arkadiusza Dzikowskiego.

Jacek Spychała

Wszelkie uwagi, komentarze i sugestie dotyczące rycerstwa proszę kierować pod moim adresem: 80-292 Gdańsk, ul. Góralska 69B/6

niejednokrotnie z założenia słusznych, lecz przy tym często nieuwzględniających wielu istotnych czynników – choćby takich jak tradycja i prawo zwyczajowe w kontekście wielowiekowej tradycji historycznej, podlegającej wielu bardzo głębokim przemianom.

W większości przypadków kwestie sporne można rozwiązać, stosując analogie historyczne (poparte, oczywiście, rzetelnymi opracowaniami), których jest więcej niż moglibyśmy przypuszczać.

Nie inaczej przedstawia się sprawa treści i symboliki ceremonii pasowań. Zarówno proces kształtowania się stanu rycerskiego, jak i późniejsza tradycja osadzona mocno w realiach społeczeństwa feudalnego zakłada powszechność prawa do pasowań dla wszystkich rycerzy, a także (bez względu na okres historyczny) głęboką symbolikę ceremonii pasowania.

Obecny stan rycerstwa w Polsce jest trudny do zdefiniowania ze względu na galimatias wizji dotyczących jego funkcjonowania. „Instytucja rycerstwa zaszczerpiona została na pniu feudalnym

STRONY
REDAGOWANE
PRZEZ



KAPITULĘ
RYCERSTWA
POLSKIEGO

13 maja z wielkim bólem i smutkiem pożegnaliśmy

„Kruszynę” Beatę Matuszak

Towarzyszkę wspólnych zabaw, ale także ciężkiej pracy nad tworzeniem zrębów polskiego ruchu historycznego

Kruszyna, od początku związana z zamkiem w Gniewie, wniosła nieoceniony wkład w jego odbudowę i ożywienie. Była dobra, uczciwa, wspierała wszystkich nas nie tylko dobrym słowem, ale i dobrem materialnym.

Trudno będzie nam wypełnić pustkę, którą pozostawiła po sobie w naszych sercach.



około roku 1000. Formalnie rycerzem jest każdy mężczyzna parający się wojennym rzemiosłem, który przeszedł specjalną ceremonię wtajemniczenia, zwaną pasowaniem. Jednakże to nie wystarczało: należało poza tym przestrzegać pewnych reguł i prowadzić określony tryb życia. Rycerze nie tworzyli więc prawnie zdefiniowanej klasy, lecz kategorię społeczną, skupiającą ludzi wyspecjalizowanych w walce konnej (...) i posiadających dostateczne środki, aby prowadzić szczególny tryb życia obowiązujący rycerzy." Należy zaznaczyć, że autor ograniczył się w tym wypadku do sytuacji panującej we Francji, bowiem na innych terenach kształtowanie się stanu rycerskiego przebiegało nieco inaczej, choć w konsekwencji doprowadziło do identycznych wyników. Otóż warunek specjalizacji w walce konnej nie dotyczył wszystkich terytoriów i był uzależniony od lokalnych sposobów wojowania. W językach francuskim i niemieckim słowa *chevalier* i *Ritter* oznaczają jeźdźców, natomiast angielski *knight* znaczył pierwotnie tyle co niewolny – w tym wypadku pieszy wojownik z drużyny zbrojnej otaczającej lorda. „Z tych druzynników, pochodzących z najrozmaitszych

warstw ludności, niekiedy nawet niewolnych, powstało późniejsze rycerstwo. Przyczyną powolnego rozwoju systemu lennego w Anglii było niewielkie znaczenie jazdy w wojnach toczone na wyspie do połowy XI wieku (...). Dopiero klęska zadana angielskiej piechocie Haralda przez konne rycerstwo Wilhelma Zdobywcy całkowicie zmieniła sytuację." Tak więc historia wskazuje, że w dzisiejszej formule rycerstwa polskiego nie ma nic nadzwyczajnego. Ze względu na różnorodne ograniczenia większość dzisiejszych rycerzy prowadzi z powodzeniem walki piesze i to ten rodzaj działalności jest główną formą obecnej praktyki rycerskiej. Nie zwalnia to jednak rycerzy od wszelkich innych zasad i powinności charakteryzujących tę kategorię społeczną, ale także nie pozbawia ich praw wynikających z przynależności do stanu. Centralnym punktem, wokół którego toczą się rozważania dotyczące istoty stanu rycerskiego, jest symbolika i forma ceremonii pasowania na rycerza, a także jej prawne uzasadnienie. Rytuał tej ceremonii ustalał się dość długo. U schyłku XII wieku formy były zróżnicowane. Pasowań dokonywano w czasie wojny i w czasie pokoju.

„W pierwszym przypadku pasowanie odbywało się na polu bitwy (...) i te pasowania były najwspanialsze, pomimo że gesty i formuły redukowano (...) do surowej prostoty, wyrażającej istotny sens, na ogół do wręczania miecza i do *colee*". *Colee* to symboliczny gest polegający na przekazywaniu młodzieńcom cnót i godności wojownika przez starszych, zaczerpnięty ze starego zwyczaju germańskiego. Na skutek wspomnianych wcześniej zmian zasad życia społecznego oraz zmiany sposobów prowadzenia wojny wydaje się rzeczą oczywistą, iż ten jakże piękny rodzaj ceremoniału musi dla współczesnych rycerzy pozostać jedynie w sferze marzeń. Wszelkie walki rycerskie prowadzone obecnie – czy to walki turniejowe, czy tak zwane bitwy – noszą charakter pewnego rytuału, niezbędnego dla podtrzymania swoistego charakteru i określonej identyfikacji środowiska rycerskiego. Jednak praktyka ostatnich lat wyraźnie wskazuje, że największe spotkania w formie bitew (np. Grunwald) stwarzają doskonałą okazję do różnego typu ceremonii.

Arkadiusz Brandt Dzikowski

ADRESY GRUP RYCERSKICH

Drużyna Konna Bydgoszcz

Mirosław Sarnecki
ul. Wyrzyska 26/42
85-436 Bydgoszcz

Zastęp Rycerski z Chełmna

Janusz Murzyn
ul. Brzozowa 21
86-200 Chełmno

Stowarzyszenie Działań Twórczych „Konwent Rycerski Szczytno”

Andrzej Kosakowski
ul. Nowotki 19
12-100 Szczytno

Starogardzkie Bractwo Rycerskie

Dawid Wruk
os. Ks. Szumana 8/20
83-200 Starogard Gdański

Włocławskie Bractwo Rycerskie

Janusz Tomczak
ul. Wesola 16/43
87-800 Włocławek

IV Regiment Szkocki – Clann Caorann

Malcolm Mac Caorann (Cezary Wyszyński)
ul. Wyzwolenia 51e/85
80-537 Gdańsk Nowy Port

Stowarzyszenie Rycerzy Ziemi Gdańskiej (BLG)

Mariusz Kaźmierczak
ul. Burzyńskiego 6h/11
80-462 Gdańsk-Zaspa

Drużyna Konna Ciechocinek

Ośrodek Rekreacji „Amazonka”
Jacek Kulpa
ul. Traugutta 5
87-720 Ciechocinek

Toruńskie Bractwo Rycerskie

Bernadetta Lewicka
ul. Kołłątaja 3/7
07-162 Lubicz Górny

Drużyna Łucznicza Drabów Pieszych

Rafał Prączyński
ul. Górna 1/3
05-800 Pruszków

Jeżeli ktoś zna jakieś nowe grupy lub stare funkcjonujące pod nowymi nazwami, ewentualnie chce uaktualnić adres, prosimy o kontakt. Oczekujemy również na symbole grup rycerskich, które chcemy umieścić przy adresach.



Średniowieczny traktat szermierczy

FLOS DUELLATORUM (3)

Włoski traktat o sposobach walki – „Flos Duellatorum” – został napisany w 1409 roku. Przekładu dokonano na podstawie wydania angielskiego – wewnętrznego skryptu Royal Armour Museum. W kolejnych numerach „Odkrywcę” postaramy się zaprezentować w całości ten swoisty podręcznik średniowiecznego rycerza.



Twoją prawą rękę złapię swoją lewą i w tej pozycji będę mógł cię zranić lub trzymać uwięzionego



Obracając twoją rękę w sposób, który nazywa się Presa Mezzana, mogę cię zatrzymać



W tej pozycji jestem gotowy powalić cię; jeśli się nie zbliżysz, będę w stanie to zrobić



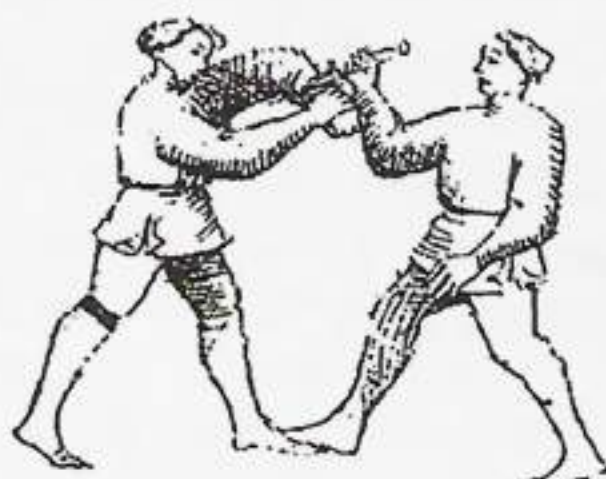
Nawet jeśli moje ręce będą związane, będziesz musiał mocno się wysilić, żeby się uwolnić



Używając tego chwytu, bez wysiłku się uwolnię



Zranię cię w tym zwarciu



Żeby pokazać moją siłę w tej pozycji, poproszę cię o spróbowanie wszystkich chwytów, jakie znasz



Mój mistrzowski chwyt spowoduje, że chociaż nie zrobisz żadnego błędu, będę mógł złamać ci rękę



Twój sztylet niebawem wypadnie, kiedy wykręcę ci łokieć



To zwarcie pozwoli uniknąć poprzedniej techniki, zranię cię i obrócisz się sam



Nie będziesz w stanie złamać mi ręki o twoje ramię, a ja cię wywrócę



Nawet jeśli się uwolnisz, nie będziesz w stanie zabrać mi sztyletu, a ja zranię cię natychmiast

Przekład
Ewa Rząd

Opracowanie
Jacek Spychała



Szukają i znajdują

**LUBOŃSKIE STOWARZYSZENIE HISTORYCZNE
STOWARZYSZENIE EKSPLOKACJI I ARCHEOLOGII PODWODNEJ „EKSPLONUR”**



W 1997 roku grupa zapaleńców poszukiwaczy i miłośników historii postanowiła zorganizować się i wspólnie usystematyzować działania. W ten sposób powstało Lubońskie Stowarzyszenie Historyczne z siedzibą w Luboniu. Prezesem został Ryszard Jaruszkiewicz. W czasie trzyletniej działalności stowarzyszenie odnotowało na swoim koncie wiele ciekawych odkryć, do których należą m.in. zlokalizowanie i wydobywanie szczątków radzieckiego samolotu „JAK” w okolicach Wir, wydobywanie szczątków niemieckiego samolotu transportowego Junkers-52, zlokalizowanie w okolicach Wir obozu żołnierzy napoleońskich. W zbiorach lubońskich poszukiwaczy znajdują się ekspozycje poczynając od średniowiecza po militaria z pierwszej i drugiej wojny światowej. Na działalność Lubońskiego Stowarzyszenia Historycznego składa się nie tylko praca w terenie, ale przede wszystkim bardzo skrupulatna i profesjonalna archiwizacja i opis w kontekście historycznym każdego znaleziska oraz organizowanie wystaw. Członkowie stowarzyszenia dzielą się swoimi

odkryciami na łamach lokalnej prasy oraz wydają kwartalnik pt. „Zegar czasu”, gdzie bardzo rzeczowo opisują przeprowadzone prace terenowe. LSH ściśle współpracuje z poznańskim Stowarzyszeniem Eksploacji i Archeologii Podwodnej, którego prezesem jest Zbigniew Zimny. Stowarzyszenie liczy ponad 20 osób zafascynowanych poszukiwaniami podwodnymi, ale nie tylko, bo w wyposażeniu znajdują się również typowe wykrywacze metali. Większość znalezisk to militaria z I i II wojny światowej, wśród których wyróżnić można fragmenty rozbitych samolotów, ekwipunek żołnierski i odznaczenia wojskowe. Dzięki współpracy oba stowarzyszenia tworzą bardzo wszechstronny zespół, który dzięki swojemu przygotowaniu i wiedzy organizuje profesjonalne wyprawy i osiąga niezłe wyniki.

1 maja 2000 LSH i „Eksplonur” rozpoczęły nad Jeziorem Lednickim kolejny sezon poszukiwań terenowych, który zaowocował już zlokalizowaniem kolejnych ciekawych historycznie miejsc, m.in. polowego radzieckiego lotniska niedaleko Poznania z okresu walk o miasto w 1945 roku oraz miejsca najprawdopodobniej osady późnośredniowiecznej. Dodać należy, że wszystkie materiały i dokumentacja z prac, w jakie angażują się oba



Znaleziska LSH we wsi Wiry (gmina Komorniki, dawne woj. lubuskie) – plon wyprawy terenowej w 1998 r.
fot. Roman Komischke



stowarzyszenia, są udostępniane instytucjom i muzeom, z którymi została nawiązana ścisła współpraca. Lubońskie Stowarzyszenie Historyczne oraz Stowarzyszenie Eksploacji i Archeologii Podwodnej „Eksplonur” bardzo chętnie nawiążą współpracę z osobami i grupami interesującymi się historią i poszukiwaniami.

Kontakt:
Ryszard Jaruszkiewicz
Ośrodek Kultury w Luboniu
ul. Armii Poznań 51A
62-030 Luboń
tel. (061) 81 02 439

Zbyszko Janiszewski

Otwarcie sezonu 2000
fot. Zbyszko Janiszewski



Zabytki SOP – Bobrza (2)

Staszica zapamiętano jako szlachetnego idealistę, który umiał zmieniać marzenia w rzeczywistość. Wydaje się, że tym razem wymarzył zbyt wielkie przedsięwzięcie. Dlaczego? O tym poniżej.

W 1824 roku rozpoczęto budowę osiedla dla kadry technicznej, czyli zarządu i pracowników wykwalifikowanych. W tych czasach planowano przedsięwzięcia z myślą o ich trwaniu przez pokolenia, stąd wraz z zakładem budowano jego zaplecze kadrowe na wiele lat.

Nasza trasa prowadzi właśnie drogą biegnącą przez środek osiedla przyfabrycznego do pozostałości zakładu.



Czas zwyciężył...

Zachowały się: niezwykle zgrabny dom „zawiadowcy huty” z gankiem wspartym na czterech kolumnach, z dwuspadowym dachem; dom „z kasą” (czyli ówczesny dział handlu i księgowości), zamieszkały przez obecnych właścicieli, dwa domy dla „fabrykantów” (tak wówczas nazywano ludzi pracujących w fabryce) i jedna stajnia, użytkowana dziś jako budynek gospodarczy. Wszystkie te budynki wzniesiono na planie prostokątów, z dwuspadowymi dachami krytymi pierwotnie gontem, a potem dachówką. Wybudowano je z kamienia łamanego i otynkowano – obecnie używane są, poza stajnią, zgodnie ze swą funkcją i pierwotnym przeznaczeniem. Położone w sporych ogródkach, szczególnie latem cieszą oko proporcjami i otoczeniem.

Droga skręca raptownie w lewo i biegnie stromo w dół. Po prawej stronie zaczyna się mur oporowy z kamienia, tworzący czoło wzgórza. Ma około 15 metrów wysokości i pół kilometra długości. Obejmuje wzgórze z trzech stron. Jest dużą i intrygującą zagadką dla większości turystów. Aby orientować się w jego funkcji i planie zakładu (dziś nieco zarośniętego drzewami), trzeba wyobrazić sobie poszczególne elementy typowego zakładu metalurgicznego z owych czasów.

Wielki piec wymagał, jak to już napisano wyżej, stałego utrzymania w ruchu, czyli wsypywania wsadu zwanego po staropolsku... hm... *gichtą*. To z kolei wymagało szybkiego i stałego dostarczania wagoników ponad jego szczyt. Przed upowszechnieniem windy parowej czy taśmociągu było to trudne zagadnienie. Radzono sobie z nim, budując długie pochylnie lub też specjalne wieże gichtociągowe o przemysłowym systemie napędzania. Każdy piec wymagał większej od niego wieży. A co z kosztami ich budowy, gdy zakład miał kilka pieców? Gdzie magazyny węgla drzewnego i rudy? Ówczesny transport lądowy bazował na furmankach chłopskich, z ich małą wydajnością i uzależnieniem od kiepskich dróg (nawet jeśli pamiętamy, że drogi Królestwa Kongresowego należały do najlepszych w Europie, to i tak można było połamać na nich koła). W Bobrzy miało być pięć

pieców, zatem skala problemu znacznie wzrastała.

W odległości półtora kilometra od dawnego zakładu Cacciów, pomiędzy wzgórzami zaczęto kopać wielki zbiornik wodny do zasilania koła wodnego napędzającego urządzenia huty. Wybraną ziemię usypywano w prostokątne przedłużenie góry, tworząc skarpe, którą obudowano monumentalnym kamiennym murem oporowym. Szerokość tego muru u podstawy wynosiła 5 m, w koronie 3 m, a jego maksymalna wysokość 15 metrów. W koronie muru zaplanowano kryty kamienny kanał wodny od urządzeń piętrzących w zaporze zbiornika. Woda miała spadać na wielkie koło wodne



Wielki mur oporowy w Bobrzy to wspaniały zabytek techniki



Zachował się dom „zawiadowcy huty”

umieszczone pomiędzy czwartym a piątym piecem.

Tym sposobem osiągnięto różnicę poziomów, która eliminowała budowę wież gichtociągowych i nadawała sporą energię wodzie napędzającej urządzenia. Oszczędność w budowie idealnie połączono z zagospodarowaniem miejsca i zapewnieniem napędu wszystkim urządzeniom huty.

Taki układ dzielił ją na dwie osobne części: w górnej umieszczono osiedle przyfabryczne, dom „zawiadowcy huty”, warsztat mechaniczny, hale węgielni niezbędne do przygotowania zapasów paliwa i utrzymania go w stałej wilgotności, magazyny surowcowe, jednym słowem – całe zaplecze produkcji. To na tym poziomie miały być przygotowywane ładunki do zasypywania każdego z pięciu pieców.

Na poziomie dolnym zaplanowano coś, co nazwalibyśmy sekcją produkcyjną: pięć wielkich pieców usytuowanych wraz z halą lejniczą, maszynownią z mieciami i nasiębiernym kołem wodnym oraz magazynami wyrobów. Z muru do pieców biegly pomosty transportowe.

W marcu 1826 roku istniało 66 procent całej inwestycji. Jej zakończenie przewidywano na rok 1831.

Tymczasem w 1828 roku okolicę nawiedziła groźna powódź. Zniszczyła zbiornik wodny i część urządzeń. Listopad 1830 i wojna polsko-rosyjska sprawiły, że budowę zatrzymano. Planowano ją kontynuować w roku 1833, ale nigdy już nie została podjęta. Nie sprzyjała temu sytuacja powojenna („noc pa-skiewiczowska”) i brak robotników.

Zakład w Bobrzy, według planów Staszica, miał być wielkim kombinatem, ale byłby chyba gigantyczną pomysłką. Przede wszystkim stopniowo okazywało się, że Miedziana Góra jest prawie całkiem wyczerpana jako źródło

dła rudy. Z jej skomplikowanym i pofałdowanym układem warstw geologicznych nie można było marzyć o długotrwałym zaopatrywaniu tak wielkiej huty. Las jako źródło paliwa też musiał się skończyć dość szybko. Pomijam już takie szczegóły jak to, że furmanka nie jest idealnym i przyszłościowym transportem dla wielkiego przemysłu, a kolej właśnie raczkowała (na dotarcie do tych terenów miała jeszcze wiele lat).

Po 1833 roku reprezentanci Banku Polskiego uznali, że przyszłość należy do zakładów wielkopieczowych produkujących surowkę w oparciu o koks, którego nie było w tym regionie. Oznaczało to koniec staszycowskiej koncepcji. Pod zarządem Banku Polskiego wybudowane obiekty zmieniły swe przeznaczenie. Zainstalowano w nich „zakłady ręczno-kowalskie” i uruchomiono produkcję gwoździ.

Według „Planu Zakładu Wielkich Pieców nad rzeką Bobrzą” autorstwa Fr. W. Lempe, przechowywanego w Muzeum Techniki NOT w Warszawie, wykonano makietę, na której można podziwiać kunsztowne rozplanowanie przestrzenne zakładu wraz z wykorzystaniem ukształtowania terenu. Założenie budowlane doskonale odzwierciedlało organizację procesu produkcyjnego, wręcz wymuszało jego przestrzeganie. Możemy dzisiaj wykorzystać je na spacer.

Na górnym poziomie, oprócz osiedla przyfabrycznego, zachowały się hale węgielni, usytuowane prostopadło do muru oporowego, zamykające fabryczny dziedziniec od południa i północy. Obie w ruinie; ta od strony północnej w części naziemnej rozebrana, z niedostępnymi, zasypnymi piwnicami. We wnętrzu drugiej duże wrażenie wywierają zachowane filary podłogi i głębokość hali.

Zachował się także budynek warsztatów mechanicznych w dobrym stanie technicznym.

Dolny poziom nie został w ogóle zabudowany. Pozostały po nim stawy i wyrwa w murze oporowym, który od dawna okoliczna ludność bezkarnie i bezmyślnie wykorzystuje jako źródło taniego surowca budowlanego.

Zresztą, o obecnym stanie zabytków techniki nie można mówić inaczej niż wierszem. Lutni Homera trzeba, żeby wyjaśnić, dlaczego przez kilka lat mur oporowy zdobiła wielka wyrwa powiększająca się z roku na rok. Ostatnio ją załatano – nader niechlujnie, jest jednak nadzieja, że ta monumentalna budowla jeszcze postoji. A ponieważ szkoda się tym denerwować, lepiej wejść na koronę muru i popatrzeć na okolicę. Nawet przy brzydkiej pogodzie widok jest wspaniały.

Tekst i zdjęcia
Grzegorz Franczyk

Szlakiem wiatru i sów (11)

KOŹLAK W BARTKOWIE NOWYM (gm. Korczew, woj. mazowieckie)



Wiatrak stoi na posesji właściciela – Leona Wasiluka, po prawej stronie szosy Siedlce – Korczew. Na obecną miejscę przeniesiony został w 1904 r. z Rzeszotkowa, gdzie pracował około 8 lat. Gdy wieś się rozbudowała, śmigi zdjęto (około 1965 r.) i napęd zmieniono na elektryczny. Śmigi mające wiatr tylko w górnej części powodowały niebezpieczne wibracje budynku.

Właściciel jest miłośnikiem młynarstwa i zbieraczem zabytkowych urządzeń. Przechowuje walce do przemiału zboża na mąkę, wyprodukowane w Litzmannstadt (Łódź) w 1942 r., silnik spalinowy Zakładów Mechanicznych „Ursus” Spółka Akcyjna w Warszawie i dwie maszyny czyszczące z młyna wodnego istniejącego niegdyś w Kamiance.

Tekst i zdjęcie
Sławomir Kordaczuk

fot. z 11 października 1995 r.



Maszyny lżejsze od powietrza (2)

Po 50 latach firma Zeppelin odrodziła się – 18 września 1997 wystartował prototyp nowego, wielozadaniowego, 75-metrowego sterowca Zeppelin LZ N07 o mieszanej, sztywno-elastycznej konstrukcji, zbudowany przy użyciu najnowszych technologii. Prędkość maksymalna: 130 km na godzinę, pułap: 2,5 km, 12 pasażerów, ładunek użyteczny: 7,9 t, długotrwałość lotu: 14 godzin (28 przy zredukowanej prędkości). Gazem nośnym jest niepalny hel. Zbudowany został przez *Zeppelin Luftschifftechnik GmbH*, przedsiębiorstwo założone w 1993 przez macierzystą firmę z Friedrichshafen specjalnie w tym celu. Sterowiec stacjonuje w nowym hangarze (109 x 68 x 32m), w 1999 przechodził serię lotów certyfikacyjnych.

Być może przydadzą się informacje o muzeach: **Zeppelin-Museum w Zeppelinheim** (koło portu lotniczego we Frankfurcie nad Menem). Otwarte w 1988, eksponuje modele sterowców i rekonstrukcję pokładu spacerowego sterowca LZ 129 *Hindenburg*; czynne w piątki, soboty i niedziele w godzinach 9.00-17.00, wstęp

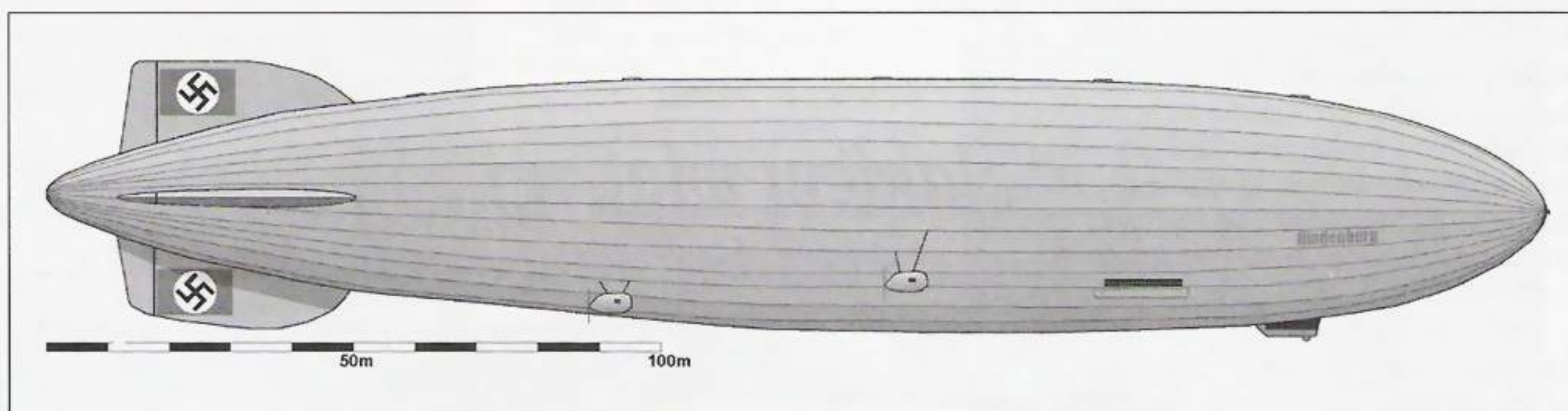
ca października, wstęp 6 DM. W czasie I wojny w bazie Nordholz stacjonowała w różnych okresach ponad połowa sterowców używanych przez Cesarską Marynarkę. Od 1965 w nowoczesnej bazie stacjonuje 3 Pułk Lotnictwa Morskiego *Graf Zeppelin* (MFG – *Marinefliegergeschwader*), wyposażony w samoloty *Breguet Atlantik* do zwalczania okrętów podwodnych oraz wywiadu radioelektronicznego. **Zeppelin Museum we Friedrichshafen**. Otwarte w 1996, mieści się nad Jeziorem Bodeńskim w byłych budynkach portowych. Czynne cały rok z wyjątkiem poniedziałków, wstęp 12 DM. W **Třnder w Danii** zwiedzać można także muzeum w używanej przez wojsko duńskie byłej niemieckiej bazie sterowcowej Tondern.

W Niemczech sterowce budował nie tylko Zeppelin, robił to także dla wojska major **von Parseval**, który swój pierwszy miękki sterowiec zbudował w 1906. Produkcję kontynuowała firma *Luft Verkehrs GmbH (LVG)* – zbudowano dwadzieścia kilka (24-27?) sterowców oznaczonych PL, jeden

Schuckert GmbH; wykonał 73 loty, ale przyjęty przez armię jako S.S. I – nie latał. Najpoważniejszym konkurentem Zeppelina była powstała w 1909 firma **Schütte-Lanz** w Mannheim konstruktora **Johanna Schütte** (gdańskiego profesora związanego z przemysłem okrętowym) oraz przemysłowca **Karla Lanza**. Wszystkie sterowce zbudowano dla wojska, począwszy od S.L. I typu A, oblatanego w 1911. Sterowce SL miały drewniany szkielet, budowano je w Mannheim, a od 1916 także w Königswusterhausen koło Berlina, wyprodukowano ogółem 24 (?), używane były przez armię i marynarkę wojenną. W 1918 firma przestała istnieć.

Sterowce były bezpiecznym środkiem transportu, jednak lądowanie stanowiło manewr trudny i niebezpieczny. Bezpieczna obsługa na ziemi nie zawsze była możliwa – pożar w bazie Nordholz w styczniu 1918 zakończył się całkowitym zniszczeniem bazy i pięciu sterowców (L 46, L 47, L 51, L 58 i SL 29)!

W okresie powojennym zdarzyło się kilka katastrof, które pochłonęły sporo ofiar: w 1933 amerykański wojsko-



bezpłatny. **Deutsche Luftschiff und Marinefliegermuseum (Aeronauticum) w Nordholz** (pomiędzy Bremerhaven a Cuxhaven). Otwarte w 1997 w byłej bazie sterowców marynarki wojennej nad Morzem Północnym, eksponuje pamiątki, zdjęcia i dokumenty związane z historią niemieckiego lotnictwa morskiego, a także cywilnego wykorzystania sterowców. Można poznać szczegóły konstrukcji drewnianych sterowców Schütte-Lanz, obejrzeć szczątki *Hindenburga* i model olbrzymiej, podwójnej, obrotowej (!) hali *Nobel*. Obejrzeć można także 12 samolotów i śmigłowców używanych przez lotnictwo morskie RFN oraz przez Narodową Armię Ludową NRD (w tym bombowo-myśliwski *Suchoj Su-22M4*). Muzeum czynne codziennie od marca do koń-

RK, po wojnie cztery sterowce PN (Parseval-Naatz). Kilka sterowców trafiło do Austrii (PL 4), Rosji (PL 7 i 14), Turcji (PL 9), Japonii (PL 13), Italii (PL 15) oraz Wielkiej Brytanii (PL 18). W Niemczech używane były przez armię i marynarkę wojenną. Kilka (5?) sterowców powstało w **Militär-Groß-Basenach**, firmie powołanej w 1907 przez pruski rząd specjalnie w celu zbudowania sterowca dla wojska. W maju rozpoczęły się loty pierwszego półsztywnego sterowca z serii M, zbudowanego przez majora Groša wg francuskiego sterowca *Lebaudy*. W 1908 sterowiec M I dostarczono armii – był to pierwszy sterowiec, który rozpoczął służbę wojskową w Niemczech (!), kolejne dostarczono w 1909 (M II, III) i 1911 (M IV). Jeden sterowiec zbudowano w 1911 w **Siemens-**

wy ZRS 4 *Akron* – 73 ofiary (3 osoby przeżyły), w 1923 francuski wojskowy *Dixmude* – 50 (52?) ofiar (nikt nie przeżył), w 1930 angielski cywilny R 101 – 48 ofiar (6), w 1921 angielski R 38 – 44 ofiary (6), w 1937 niemiecki cywilny LZ 129 *Hindenburg* – 36 ofiar (13 z 36 pasażerów, 22 z 60 osób załogi, w tym kapitan Ernst A. Lehmann [1886-1937], 1 osoba z 228-osobowej obsługi naziemnej; 61 osób będących na pokładzie przeżyło!).

A teraz z zupełnie innej beczki: kiedy w 1969 zespół *The New Yardbirds* (J. Page, J.P. Jones, R. Plant, J. Bonham) zmienił nazwę na *Led Zeppelin*, spotkało się to z protestem hrabiego Evana von Zeppelin, potomka Ferdinanda...



STEROWCE W WOJSKU NIEMIECKIM

O wojskowym zastosowaniu sterowców w Niemczech można pisać bez końca, zatem siłą rzeczy musimy dokonać wyboru i omówić tylko wybrane zagadnienia. Zainteresowanym polecamy stronę internetową <http://www.free.com.pl/zeppelin>, gdzie znajdują więcej szczegółów.

Charakterystyczne są **podwójne oznaczenia** zeppelinów: fabryczne **LZ** (1 do 130) oraz wojskowe w armii **Z** (od 1915 LZ), w marynarce **L** (*Luftschiff*). Numeracja wojskowa liczbami rzymskimi, potem arabskimi. Przed wojną armia nadawała te same numery różnym sterowcom, np. pierwszy Z I to LZ 3, drugi Z I – LZ 15, a trzeci (sic!) – LZ 19.

Wojska sterowcowe wywodzą się z 40-osobowego Oddziału Balonowego (*Ballon-Detachements*) sformowanego w Berlinie w 1884, trzy lata póź-

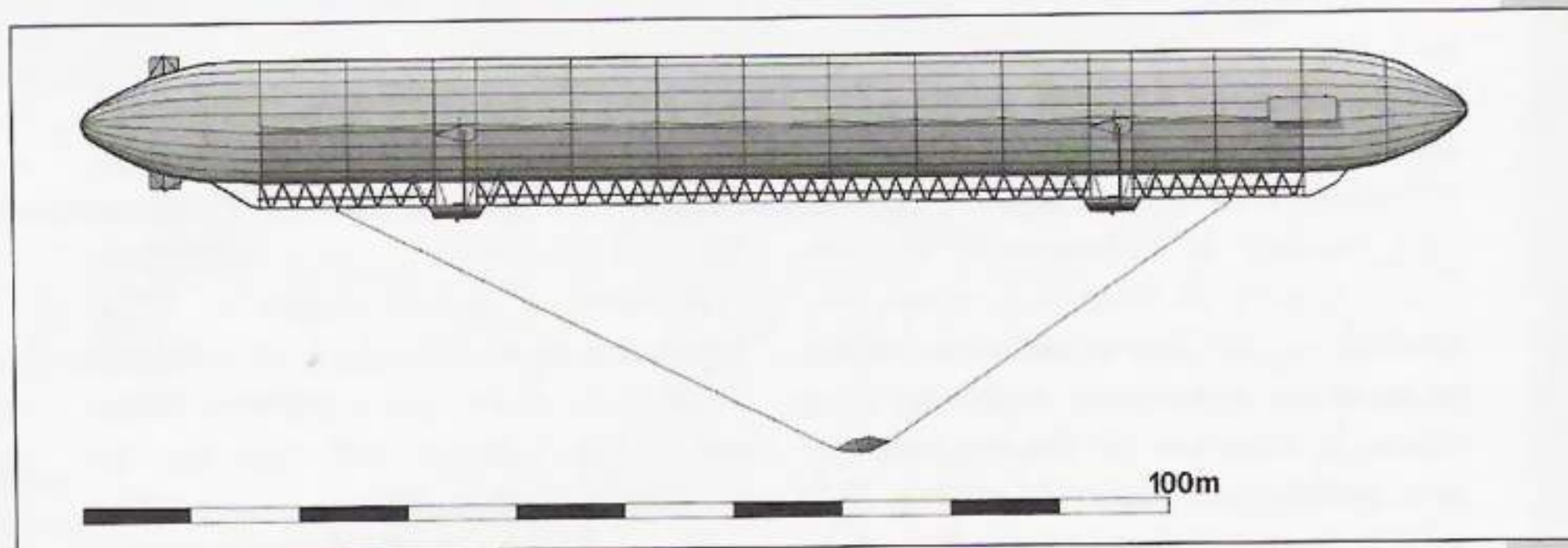
niej przekształconego w Oddział Sterowcowy (*Luftschiffer-Abteilung*), a 1.10.1901 w 2-kompanijny Batalion Sterowcowy (13 oficerów, ok. 330 żołnierzy), stacjonujący w koszarach na Jungfernheide (Berlin-Reinickendorf). Oficerowie krytycznie odnieśli się do lotu pierwszego niemieckiego sztywnego sterowca LZ 1. W 1906 batalion pod dowództwem kpt. Groša zaangażował się w prace nad sterowcem o miękkiej konstrukcji, prowadzone przez mjr. Augusta von Parsevala [1861-1942]. W 1907 trwały już próby doświadczeń wojskowego sterowca (M *Versuch*) skonstruowanego przez Groša i inż. Basenacha. Pierwszy sterowiec zakupiony u cywilnego producenta – Zeppelin LZ 3 rozpoczął (jako Z I) służbę w listopadzie 1908. W październiku 1911 utworzono 2 i 3 Batalion, w październiku

1913 – 4 i 5. Kolejnymi aerostatami armii były: sztywny Z II, półsztywny M II(a) i miękki P I (Parseval P.L.2). W 1909 odbyły się manewry z udziałem sterowców. Po kolejnych ćwiczeniach P.L.3 został w armii jako P II – szósty sterowiec wojskowy.

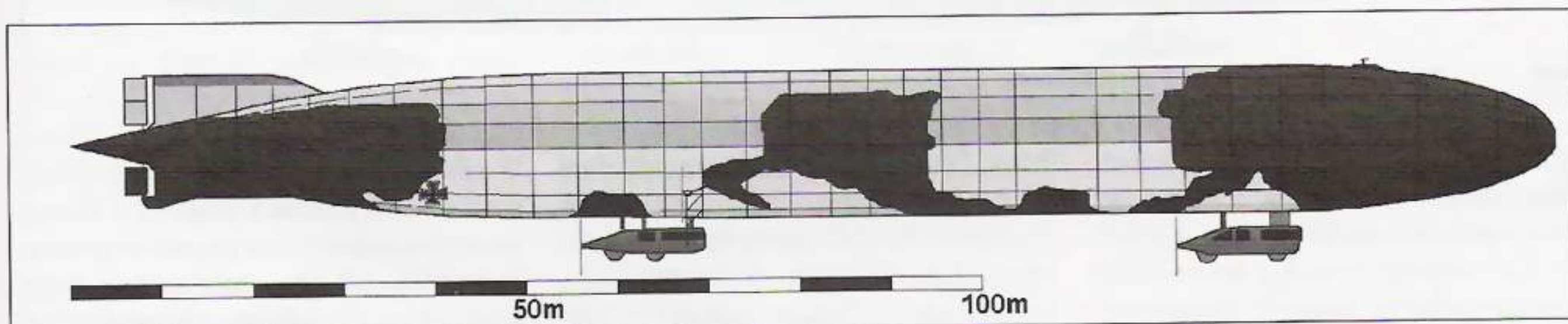
Armia zaczęła zatem używać sterowców trzech typów (miękkich, półsztywnych i sztywnych), pod koniec 1910 niemieckie siły lotnicze posiadały już 9 sterowców i aż 5 samolotów.

nych korpusów armijnych (1, 2 Bat. – Korpus Gwardyjski w Berlinie, 3 Bat. – VIII K.A. w Koblencku, 4 Bat. – XIV K.A. w Karlsruhe, 5 Bat. –

I K.A. w Królewcu). Najbardziej może zainteresować nas 5 Batalion (L 5), którego sztab stacjonował w Grudziądzu i Legnicy, 1 kompania w Królewcu (i w Olsztynie), 2 – w Grudziądzu (i w Legnicy), a 3 w Pile (i w Poznaniu). Oddziały umundurowane były na wzór gwardyjskiego oddziału pruskich pionierów, w granatową bluzę



128-metrowy Zeppelin LZ 1 z 1900. To od niego wszystko się w Niemczech zaczęło.



163-metrowy bombowy LZ 47 (L 77) typu „p” z 1915 w kamuflażu „lądowym”

W grudniu 1912 armia otrzymała sterowiec kolejnego producenta – sterowiec Schütte-Lanz o sztywnej drewnianej konstrukcji. Ponieważ pierwsze sterowce padały jak muchy, w chwili wybuchu wojny armia miała ich 11, w tym 6 zeppelinów (Z IV w Królewcu, Z V w Poznaniu, Z VI w Kolonii, Z VII w Baden-Oos, Z VIII w Trewirze, Z IX w Dreźnie), dwa szkolne (przejęte cywilne sterowce pasażerskie *Hansa* i *Sachsen*) i trzy innych producentów (SL II, P IV, M IV), zaś marynarka tylko jeden bojowy (L 3 w Fühlshüttel) i jeden szkolny (*Viktoria Luise*).

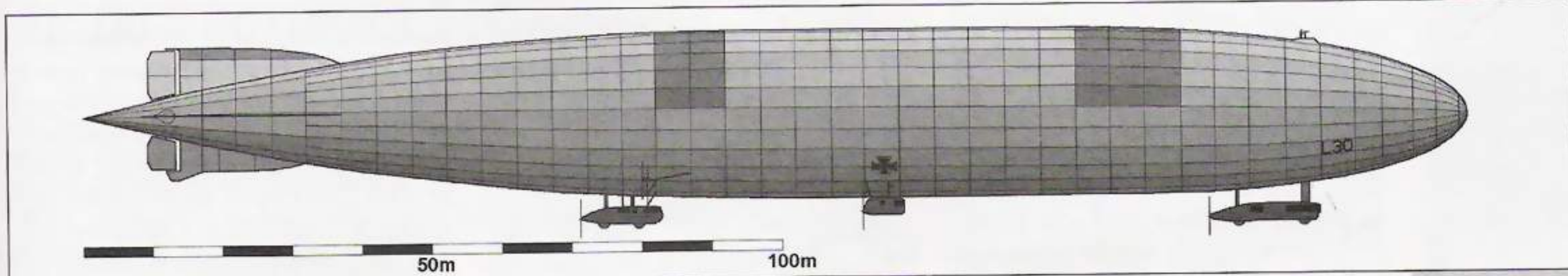
W czasie wojny oddziały sterowcowe armii podlegały operacyjnie Naczelnemu Dowództwu Armii (*Obersten Heeresleitung* – OHL), a administracyjnie dowództwom poszczególnych

z czerwonym kołnierzem (z żółtymi literami L1-5), czarne spodnie i czapko wzór 1895. Od 1911 używano mundurów polowych w kolorze *hellgrau* (na kołnierzu czerwone litery L1, L2, L3, L4, L5). Wojska sterowcowe armii rozwiązane zostały 8 maja 1920.

W marynarce było kilkanaście oddziałów (*Marineluftschifftruppe*), które stacjonowały w bazach, m.in: Nordholz, Jamboli (Bułgaria: Jambol), Ahlhorn, Wittmundhaven, Tondern (Dania), Seerappen (koło Królewca), Seddin (Jezierzycy koło Słupska), Düren, Wainoden, Jüterbog, Hage (Fryzja). Koncentracja hal w kilkunastu bazach ułatwiała zaopatrzenie w gaz nośny. Hale marynarki nosiły imiona własne, później nazwy kodowe np: Nordholz – hala *Nobel*, *Nora*, *Nor-*

DOKOŃCZENIE NA STR. 34

198-metrowy bombowy LZ 62 (L 30) typu „r” (Großkampftyp), zaprojektowany w 1915 przez dra Arnsteina. Kamuflaż jasnoszary.





Maszyny lżejsze...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 33

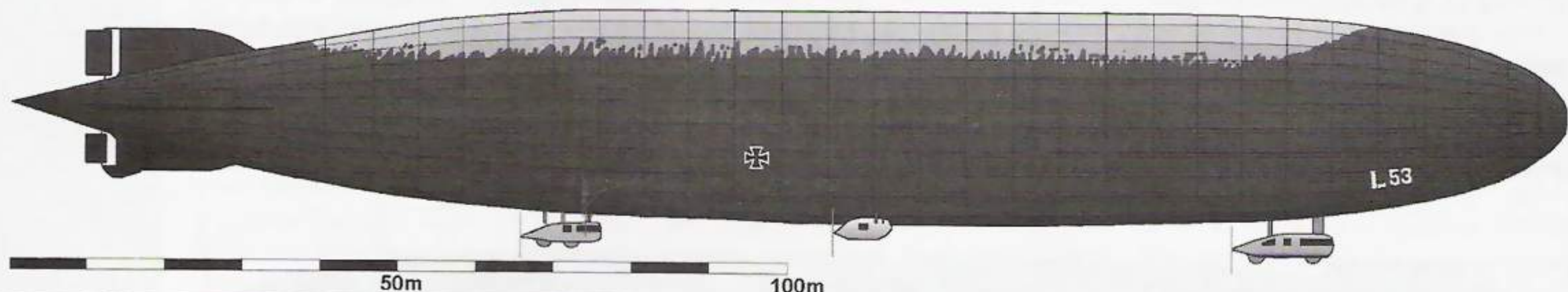
bert, Normann, Nordstern, Nogat, Ahlhorn – Aladin, Albrecht, Alrun, Alix, Alarich. W skład bazy w Tondern wchodziły trzy hale (Tobias, Toni, Tosca), maszty do kotwiczenia sterowców, trzy tory do transportowania sterowców do hal, stacja radiowa używana podczas lądowania, reflektory na szynach, latarnia na dachu hali Tobias, podziemne zbiorniki paliwa (3 x 10 000 litrów), fabryka gazu (produkcja 8000m³ na dobę) i zbiorniki gazu (naziemne i podziemne o łącznej pojemności 56 000m³), a także tory kole-

ku wojny baza operacyjna sterowca Z V, potem magazyn wycofywanych z frontu samolotów przeznaczonych do remontu, w 1929 próba wykorzystania przez wytwórnię filmową Dzwonkowskiego, zniszczona w 1945, rozebrana po wojnie; **Legnica** – 1913, bliźniak hali poznańskiej; **Grudziądz** – 1913(?), chyba nieużywana; **Olsztyn** – 1914, 176 x 36 x 28, hala zapasowa dla Królewca; **Piła** – 1914, zniszczona w czasie rozbudowy lotniska wojskowego po II wojnie, fragmenty posłużyły do wzniesienia hangaru remontowego, w Pile mieściła się filia

wiły łatwy cel – tylko w sierpniu 1914 aż 4 zostały stracone. Później prowadziły działania w nocy, atakowane przez brytyjskie nocne myśliwce RFC (*Royal Flying Corps*), w 1917 ich zadania przejęły bombowce (m.in. *Gotha G.IV* i *G.V*), od czerwca jedynym użytkownikiem sterowców pozostała marynarka.

Taktyka sterowców była różna – prowadziły samotne loty patrolowe nad morzami, minowały i rozpoznawały pola minowe, walczyły z okrętami podwodnymi (24.06.1916 LZ 87 zatopił w Zatoce Gdańskiej angielską łódź podwodną E 18), dokonywały nalotów bombowych (od maja 1915). Pierwszy grupowy nalot bombowy na

196,5 metrowy LZ 100 (L 53) typu „V” z 1917 w kamuflażu nocnym. Ostatni sterowiec stracony w czasie wojny – zestrzelony 11.08.1918 przez brytyjski samolot.



jowe dla pociągów dodatkowo dostarczających gaz spoza bazy, 2 warsztaty, stacja meteorologiczna, oddział lotniczy (5-6 samolotów *Albatros D III*) i hangar lotniczy, budynki koszarowe dla 500-600 żołnierzy.

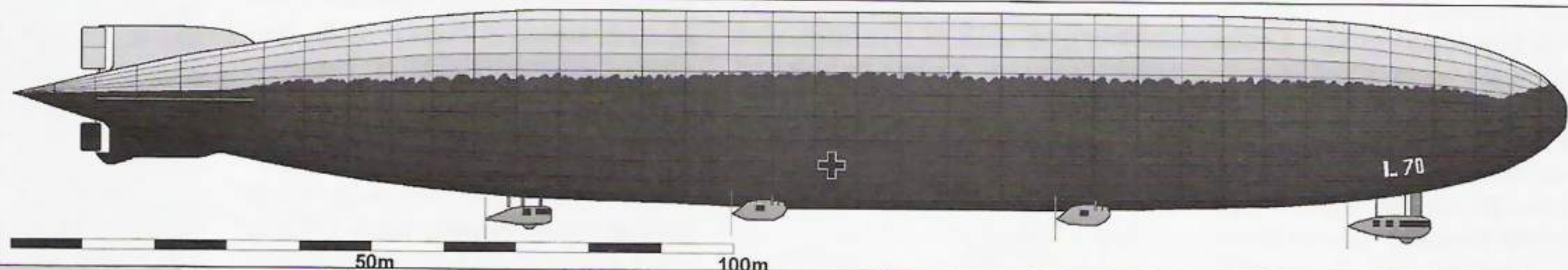
Hale sterowcowe

W czasie wojny korzystano łącznie z prawie 80 hal. Na naszych ziemiach znalazło się kilka hal sterowcowych: **Toruń** – 1911 (rok budowy), 101 x 25 x 23 (dł. x szer. x wys.), zbudowana

firmy *Albatros – Ostdeutsche Albatros Werke*; **Warszawa** – 1915, 180 x 30 x 30, *Siebert GmbH*, mieściła się na Lotnisku Mokotowskim, 1917 przeniesiona do Szawli (niem: Schaulen, lit: Siauliai) na Litwie, w hali mieściły się zakłady naprawcze Bauaufsicht Nr 17; **Jezierzyce** – hala *Bertha* (później nazwana *Selim*): 15 czerwca 1915, 184 x 35 x 28, *Zeppelin Hallebau GmbH*, 1929-30 używana przez firmę *Parseval-Naatz GmbH*, miejsce postoju sterowca *Italia* podczas tragicznej

Wielką Brytanię przeprowadziło 5 sterowców marynarki 8.08.1915. Później sterowce armii i marynarki wspólnie atakowały Albion – kilkanaście razy z udziałem 10 i więcej sterowców (2/3.09.1916 aż 16)! Nalotów zaniechano w sierpniu 1918, po śmierci kapitana Petera Strassera, dowódcy floty sterowców marynarki. W Wielkiej Brytanii zginęło lub zostało rannych prawie 2000 osób, w tym większość cywilów.

211-metrowy LZ 112 (L 70) typu „X” z 1918 w kamuflażu nocnym. Zestrzelony 5.08.1918 koło Bostonu (Wielka Brytania) przez samolot DH4. W płonącym sterowcu zginął Fregattenkapitan Peter Strasser oraz załoga sterowca i jej dowódca Kapitänleutnant Johann von Lossnitzer.



przez firmę *J. Gollnow & Sohn*, w czasie wojny nieużywana, bo była za mała (krótko stacjonował półsztynny P IV), od 1921 siedziba Oficerskiej Szkoły Aeronautycznej, 1922-26 baza jedynego polskiego sterowca Lech (francuski miękki Zodiac Z-11), do wybuchu wojny używana jako hala balonowa, na początku lat 50. rozebrana (elementy użyte w Hali Ludowej we Wrocławiu); **Poznań** – 1913, 170 x 38 x 28, *Arthur Müller GmbH*, na polach na północ od Fortu Winia-ry (które w okresie międzywojennym nazwano Winogradami), na począt-

wyprawy włoskiego generała Nobile na biegun północny, po 1945 magazyn, spłonęła w 1989; hala podwójna *Selinde*: 1916, 241 x 60 x 35m, *Gutthoff-Hoffnungs-Hütte GmbH*, zniszczona w 1921; wytwórnia wodoru produkująca gaz na potrzeby innych baz, między halami podziemne zbiorniki paliwa o pojemności 40 000 litrów.

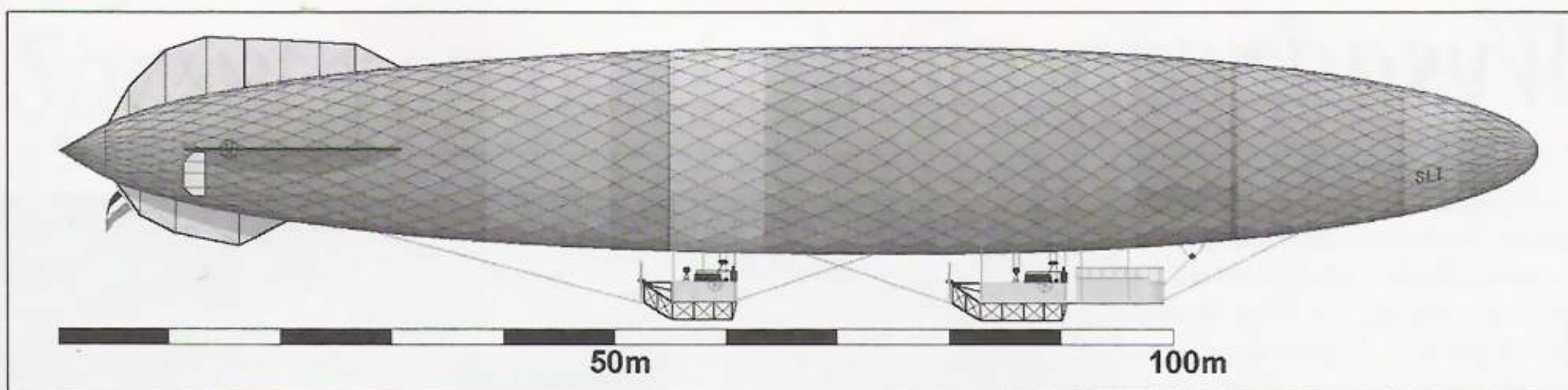
Zastosowanie bojowe – próba bilansu

Na początku wojny sterowce używane były przez armię do zadań rozpoznawczych, ale nisko latając, stano-

W 1914 wykonywano miesięcznie 14 lotów bojowych, najwięcej w 1916 – 30. Załoga każdego sterowca liczyła początkowo 12-14 osób, potem 18-21, dowódcą był z reguły kapitan. W 1916 liczebność personelu floty sterowcowej sięgnęła 16 500 osób. Skoro w Wielkiej Brytanii z obawy przed sterowcami utrzymywano 500-tysięczną *Home Defence*, to koszty ponoszone przez Niemcy zwracały się wielokrotnie. Sterowce wykruszały się w trakcie eksploatacji, z zakładów dochodziły nowe, ich liczba w czasie wojny była zawsze płynna: w armii naj-



133-metrowy Schütte-Lanz S.L. 1 (S.L. I) typu „a” z 1911-1912 o geodetycznej, sztywnej drewnianej konstrukcji

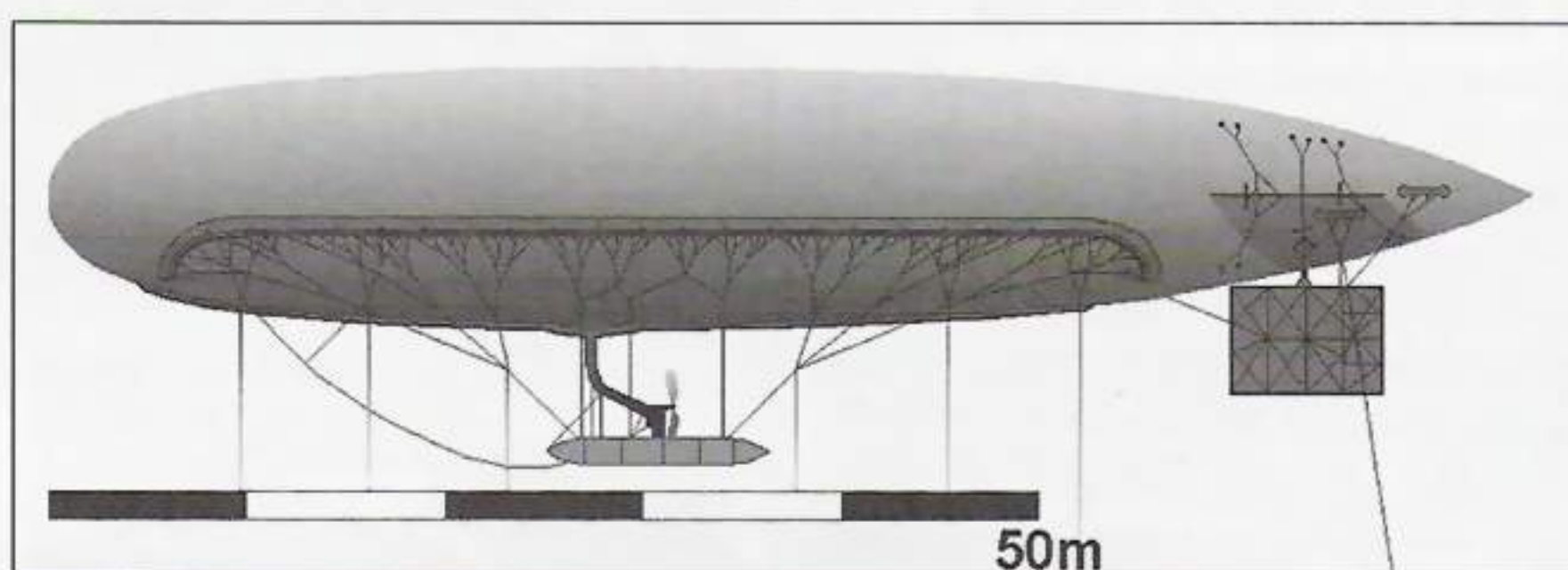


wyższy stan wynosił 10, przynajmniej 4 były zawsze w służbie, w marynarce odpowiednio 21 i 8. W ciągu 10 lat (1907-17) w armii służyło 67 sterowców, w tym 42 zeppelinów; wykonały one 261 lotów bojowych (w tym 132 bombowe). W czasie wojny stracono 23 sterowce w działaniach bojowych i wypadkach, kilkanaście złomowano lub przekazano marynarce. Marynarka używała ogółem około 90 sterowców (65 zeppelinów), straciła 74, z tego 51 (52?) w działaniach bojowych i wypadkach (ok. 1 miesięcznie). Czarnym dniem był 20.10.1917 – stracono 5 sterowców! Straty osobowe nie były jednak duże: w armii 79 zabitych, w marynarce 389; 21 lotników armii i 147 marynarki dostało się do niewoli. Zwalczanie sterowców wcale nie było początkowo łatwe, z uwagi na sporą odporność olbrzymów na drobne uszkodzenia powłoki, wysokość i szybkość lotu oraz silne uzbrojenie (np. sterowce typu „r” miały 10 karabinów maszynowych 7,62 mm LMG 08/15 tzw. *Spandau*).

Malowanie sterowców

Przed wojną wszystkie były kremowe, piaskowe lub beżowe – w na-

turalnym kolorze zabezpieczonego cellonem płótna, którym były pokryte. Pierwsze próby maskowania polegały na pokrywaniu ich płótnem zadrukowanym małymi szaroniebieskimi kropkami (0,7 mm) lub wąskimi kreskami o długości około 2 cm.



75-metrowy Parseval P.L. 6 z 1910 o miękkiej konstrukcji. Prototypa w zasadzie wszystkich współczesnych sterowców ciśnieniowych (blimp).

Po rozpoczęciu lotów nocnych kilka pomalowano na kolor szaroniebieski z czarnymi plamami lub liniami, a LZ 26 (Z XII) otrzymał malowanie, które potem przyjęto w marynarce – powierzchnia górna szaroniebieska, dolna czarna matowa. Niektóre sterowce malowano pistoletem natryskowym. Kolor szaroniebieski przybierał odcienie od jasnoszarego do szarocznego. Osiem sterowców armii było w różnych wariantach ka-

muflażu, 37 marynarki w kamuflażu nocnym, pozostałe szaroniebieskie (np. działające w Afryce LZ 102 / L 57 i LZ 104 / L 59) lub szare (sterowce typu „r”). Numery taktyczne malowano na bokach z przodu sterowca (białe lub czarne), od połowy wojny

cztery krzyże – pośrodku kadłuba na bokach i na górze oraz u dołu kadłuba na dziobie. Na ogonie sterowców zawieszano banderę lub flagę.

*Tekst i rysunki
Mariusz Wojciechowski*

Luftschiff Zeppelin LZ 62 (L 30)



Żaglowiec z czasów Magellana

W marcu br. 800 km na południowy wschód od Tahiti, w polinezyjskim archipelagu Tuamotu, w wodach atolu Amanu francuscy pletwonurkowie z GRAN (Groupe de Recherche en Archeologie Navale) odnaleźli prawdopodobnie szczątki karawali „San Lenes” – jednego z sześciu żaglowców dowodzonych przez Jofre de Loaisa. Pięć lat po powrocie Magellana Loais

przeplłynął jego śladem, aby objąć w posiadanie dla korony hiszpańskiej Wyspy Korzenne. Odnaleziony statek zatonął prawdopodobnie w 1526 r. Nurkowie trafili na ślady katastrofy – kamienie balastowe, potłuczoną ceramikę, kawałki metalu.

MD

(za „Rzeczpospolitą”)

Mapa z kosmosu

Prom kosmiczny „Endeavour” w lutym br. wykonał niespotykaną mapę Ziemi. Przy pomocy radaru powstał trójwymiarowy obraz kuli ziemskiej. Prom w 1,5 godziny wykonał pełne okrążenie naszej planety w odległości 240 km od niej. W tym czasie radar

omiatał pas szerokości 220 km, czyli 100 000 km kw. na minutę. Zebrane dane zajmują 13 500 płyt CD-ROM. Ich pełne opracowanie potrwa prawie rok. W efekcie powstanie mapa o niespotykanej dotąd dokładności i obszarze. Będzie można na niej rozróżnić szczegóły wielkości 30 m i 6-metrowe różnice wysokości. Oczywiście, najdokładniej-

sza wersja mapy zostanie utajniona – tylko do dyspozycji Pentagonu. Ogólnie dostępną będzie wersja o rozdzielczości 90 DPI. Na mapę szczególnie czekają naukowcy, którzy spodziewają się przy jej pomocy dokonać wielu odkryć.

MD

(za „Gazetą Wyborczą”)



Wysadzamy mosty

Właściwie – sam środek lasu, nieopodal Kostrzyna nad Odrą. Nie ma tu rzeki, kanału lub przesmyku między jeziorami, ale jest most. Konstrukcja mieszana – ceglano-kamienna, są przesła i tylko wody brakuje. O leśnym moście jeszcze do niedawna wiedziało niewielu, bo znajdował się na terenie jednostki wojskowej. Wraz z likwidacją kostrzyńskiego garnizonu rozebrano pawilony magazynowe, a terenu przestali pilnować żołnierze.

Trudno byłoby wytłumaczyć istnienie mostu-efemerdy, gdyby nie fakt, że dawnymi czasy stacjonowała tu jednostka saperów, którzy wprawiali się w wysadzaniu i odbudowie mostów, wiaduktów i zapór wodnych. Zbigniew Czarnuch, regionalista z Witnicy, mówi, że jednostka w Kostrzynie pojawiła się w 1913 roku i przetrwała demilitaryzację wynikającą z postanowień traktatu wersalskiego. W 1935 roku wybudowano nowe koszary dla pułku piechoty, a koszary saperów roz-



Most na saperskim poligonie

budowano, poważnie zwiększając stan osobowy jednostki. Kostrzyn stał się ośrodkiem kształcenia saperów i zapewne z tego okresu pochodzi leśny most służący ćwiczeniom.

Żeby dojechać na teren saperskiego poligonu, trzeba wyjechać z Kostrzyna drogą wiodącą do Szczecina. Minąwszy znajdujący się po prawej stronie drogi grill-bar z dużym parkingiem, trzeba przejechać jeszcze około 600 metrów, do miejsca gdzie asfaltowa droga krzyżuje się z leśną. Skracając w prawo, dotrzemy do sarbinow-

skiego fortu – jednego z czterech osłaniających Festung Küstrin, natomiast skręcając w lewo, trafimy na teren saperskiego poligonu. Pomijając niezbyt miłe dla oka gruzowiska po rozebranych budynkach, oprócz mostu obejrzeć można fragment zapory z korytarzami minerskimi, mostowe podpory służące ćwiczebny odbudowom zniszczonych mostów oraz głąz narzutowy ze śladami próbnymi odwiertów.

*Tekst i zdjęcie
Radosław Biczak*

„Tygrys” w płocie



Lufa czołgu „Tygrys” jako element furtki ogrodowej w domu na przedmieściach Sopotu. Zdjęcie nadesłał Jarosław Wolnik.

Wodociąg sprzed wieków

Podczas prowadzonych w Kołobrzegu przy ul. Ratuszowej badań archeologicznych odkryto fragmenty drewnianego kanału wodociągowego oraz murowaną studnię z XVII w.

Rury wodociągu wykonane są z sosnowego drewna. Zostały częściowo uszkodzone przy kopaniu studni. Ją zaś zniszczyły kolejne budowle miejskie.

MD

REKLAMA

WYKRYWACZE METALI



Ceny już od 300 zł



DYSTRYBUTOR FIRMA „VIKING”

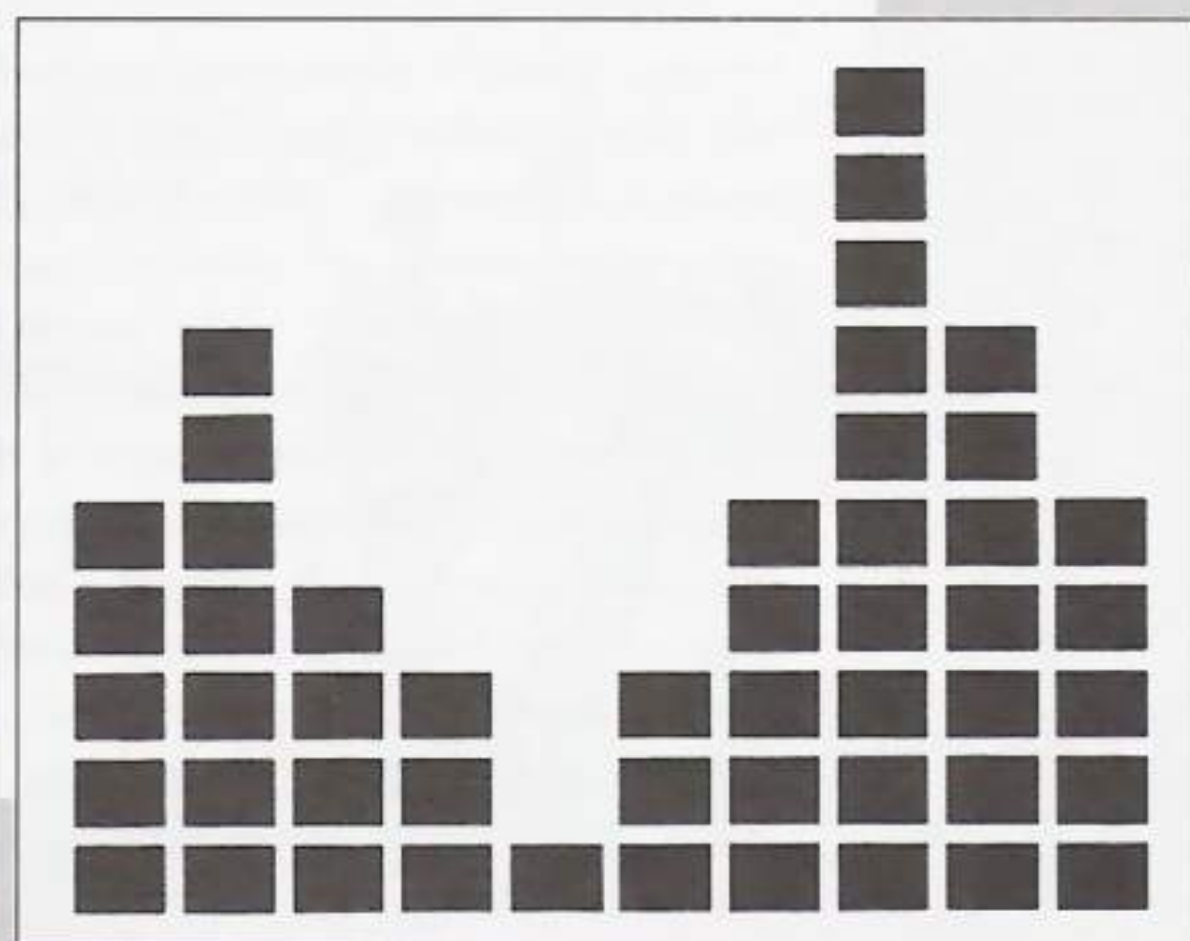
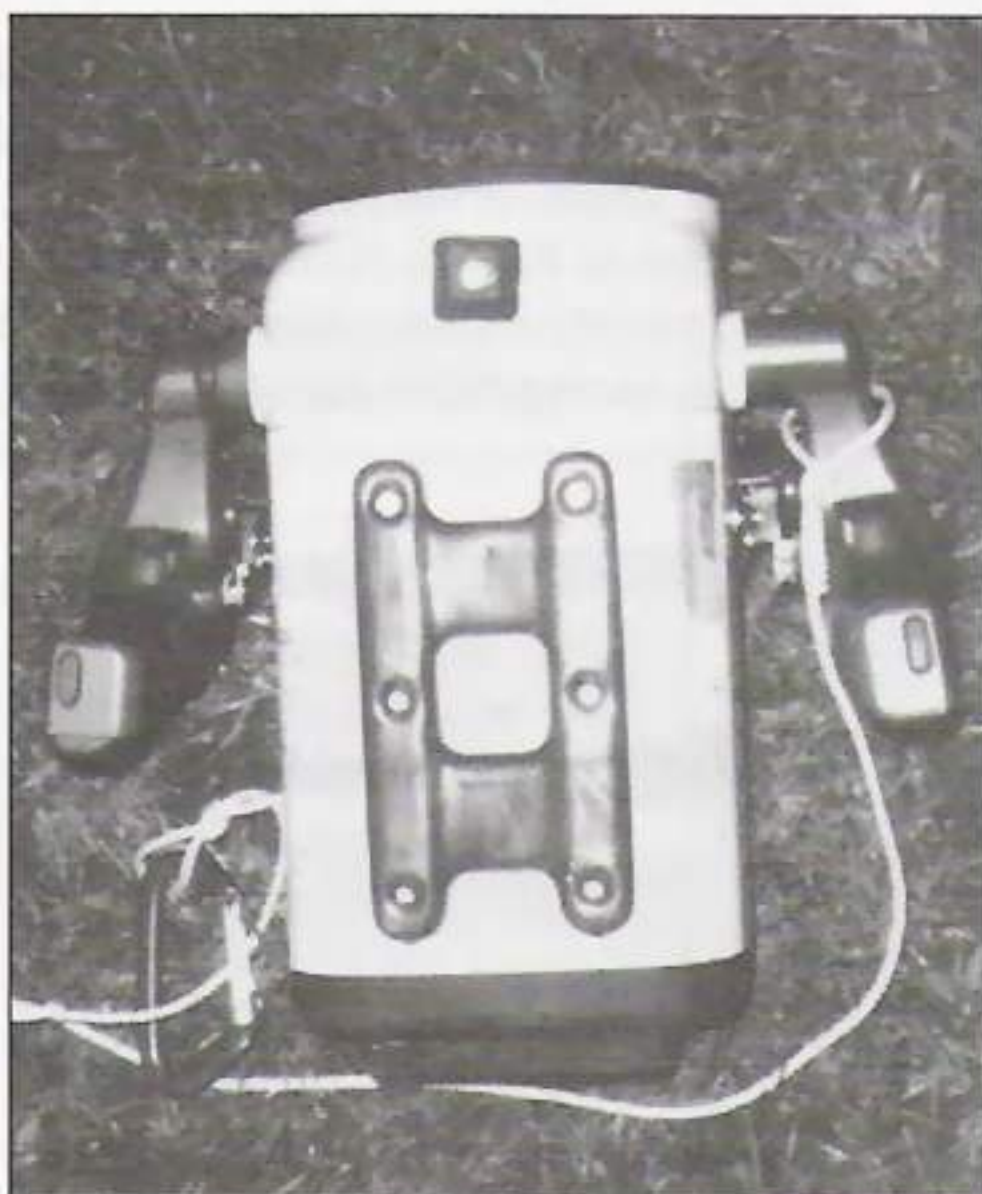
Sklep „AZYMUT”, tel./fax (0-22) 827-66-12
ul. Corazziego 4 lok. 5, 00-087 Warszawa (przy Placu Bankowym za Błękitnym Wieżowcem)



Sprzęt pomocniczy

W czasie wstępnego rozpoznania terenu poszukiwań wykonujemy podstawowe pomiary, takie jak mierzenie odległości różnic wysokości i tym podobne. Bardzo dużo informacji, oczywiście, uzyskać można ze szczegółowych map, ale wszystkich raczej się nie da. Przedstawię dzisiaj bardzo przydatne i funkcjonalne zegarki firmy Casio z serii PRO TREK. Są to w założeniu zegarki przeznaczone dla osób uprawiających turystykę górską, sporty ekstremalne itp. Funkcje nas interesujące to: pomiar temperatury, wysokości względnej i bezwzględnej, charakterystyki przebytej drogi i pomiar ciśnienia atmosferycznego. Pomiary wysokości zapisuje się w pamięci zegarka (maks. do 50 pomiarów) z tolerancją błędów ± 5 m. Temperatury mierzone są w zakresie od -20 do $+60$ stopni C. Natomiast tryb barometru pozwala w przybliżeniu określić pogodę, ponieważ wzrost ciśnienia na ogół oznacza poprawę pogody, natomiast spadek – pogorszenie. Ceny zegarków, w zależności od ilości funkcji, wahają się w granicach od 500 do 1200 zł.

Firma SONY znana jest z produkcji bardzo dobrych kamer wideo. Do nich wyprodukowała również obudowę umożliwiającą wykonywanie zdjęć podwodnych. Obudowa przystosowana jest do pracy na głębokościach do 80 m. Wszystkie funkcje kamery sterowane są w bardzo ergonomiczny sposób na zewnątrz obudowy. Obudowa wyposażona jest dodatkowo w fil-



Wykres wysokości (przebytej drogi) na wyświetlaczu zegarka; jeden segment to 10 metrów

Poniżej i obok:
Obudowa kamery do filmowania pod wodą



try oraz – na zamówienie – w reflektory o tych samych parametrach ciśnieniowych. Jediną „wadą” jest cena –

w zależności od modelu od 5000 zł w górę.

Zbyszko Janiszewski

REKLAMA

SEA HUNTER (wykrywacz podwodny)

Z NIM SIĘ ODNAJDZIESZ

- Stosowany pod wodą (do 65 m - odporny na działanie soli) i na lądzie (np. plaże)
- 8 1/2" cewka detekcyjna
- Pełna regulacja eliminacji zakłóceń (dyskryminacja)
- 10 stopniowa regulacja głośności sygnału wykrycia celu
- Lekki i poręczny (waga 3 kg, regulowany wysięgnik, mocujący pas biodrowy)
- W zestawie wodoodporne słuchawki, ładowarka, torba, instrukcja VHS
- Gwarancja 12 miesięcy



GARRETT METAL DETECTORS

Dystrybucja w Polsce,
Informacja o sieci sprzedaży:

Checkpoint Systems Polska Sp. z o.o.
tel. 0-601 509 425, fax (0-32) 202 27 41
e-mail: tworzyna@checkpoint.com.pl



O publikacjach w Internecie

Wspaniałe zjawisko, jakim jest Internet, otwiera wspaniałe perspektywy przed badaczami, historykami, poszukiwaczami i... odkrywcami. Znajduje się bowiem w niezmierzonych zasobach Internetu wiele serwisów dotyczących tajemnic, skarbów, poszukiwań i odkryć. Zamieszczane w nich materiały mogą okazać się niezwykle pomocne, ale na informacje i teksty internetowe nikt, oprócz ich autorów, nie ma wpływu, dlatego też dość często zdarza się, iż przeglądając strony, natykamy się na kuriozalne bzdury, pisane w dodatku językiem, który tylko przypomina polski. Są też materiały, które poruszają pewne zagadnienia związane z eksploracją i tajemnicami, ale nie wyczerpują tematu. Często prowokują do dyskusji. Wyznaje

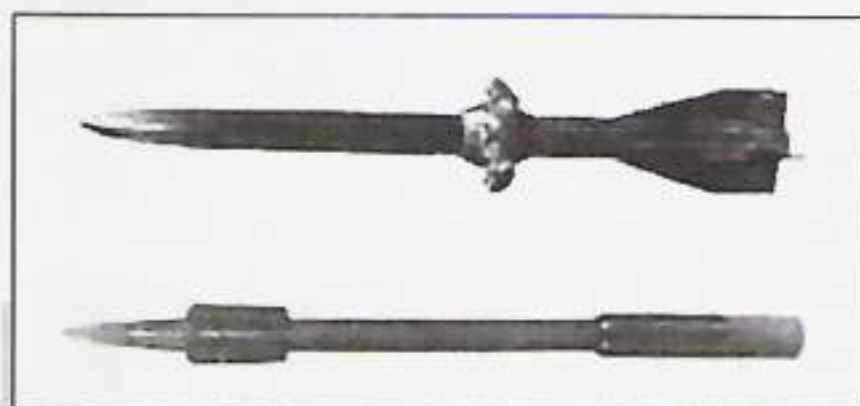


Żołnierze amerykańscy ze zdobyczą amunicją do „stonogi”
fot. z archiwum Leszka Kotarskiego

zasadę, że nawet kiedy się spieramy i poddajemy w wątpliwość swoje ustalenia, to spory takie mogą przybliżyć nas do prawdy. Uznałem, że znakomitym miejscem na takie dyskusje są łamy „Odkrywcy”. Zachęcam także innych autorów współpracujących z redakcją do podobnego działania.

Na stronie dedykowanej poszukiwaczom skarbów, pod adresem: <http://priv1.onet.pl/to/af131313/xp7.htm> autorzy (szkoda, że się nie podpisali) prezentują materiał „Tajna broń w jeziorze”, mówiący o odnalezieniu niemieckiego pocisku raketowego w jeziorze Święte znajdującym się na terenie gminy Lniano w dawnym województwie bydgoskim. Autorzy skrytykowali (i słusznie) media za to, że podały w tej sprawie swoje domysły, a nie rzetelne informacje, pisząc, iż wy-

dobity pocisk to V-1, V-2 lub *Rheintochter*. Oczywiście, autorzy mają tu zupełną rację, powniemaz tylko laik mógłby uznać prezentowany na zdjęciu pocisk za V1 i V2. Natomiast w przypadku rakiety *Rheintochter* sprawa jest bardziej skomplikowana, gdyż były to



Jeden z typów pocisków ponadkalibrowych Nebelweffer, który mógł być przeznaczony do dział V-3 oraz (niżej) pocisk dział wielokomorowego Hochdruckpumpe
fot. z omawianej witryny internetowej

pociski niezbyt znane i nie doczekały się szerszego omówienia w polskiej powojennej literaturze fachowej. Stąd prosty wniosek, że dziennikarze mogą mieć bardzo mgliste pojęcie o tym typie broni, ponieważ wiedza większości z nich ogranicza się do rakiet V-1 i V-2 jako najbardziej spopularyzowanych. Pomijam jednak błędy dziennikarzy w ocenie znaleziska, bo sam przez wiele lat uprawiałem dziennikarstwo i wiem, w jaki sposób redaguje się dzienniki, kiedy na napisanie informacji ma się bardzo mało czasu, a musi ukazać się „sensacyjna” wiadomość. Mnie zainteresowało raczej to, co piszą autorzy internetowej prezentacji. W kilku miejscach wiążą znalezisko z jeziora Święte z raketową stacją doświadczalną funkcjonującą w latach 1941-45 w Łebie oraz z raketami *Rheinbote* i *Rheintochter*, nad którymi tam pracowano. Chciałbym podzielić się kilkoma uwagami na ten temat. Zaznaczam, że nie chodzi mi o krytykowanie autorów publikacji, tylko o wyprostowanie niektórych stwierdzeń.

Autorzy podają, że pocisk raketowy V-1 produkowano w trzech wersjach, a dalsze badania nad latającą bombą szły w kierunku zupełnie nowego pocisku o charakterystycznym usterzeniu typu „kaczka”. Próby tych pocisków, według autorów, odbywały się w okolicach Łeby, a strzelania wykonywano w kierunku Bornholmu. Jeśli autorzy posiadają jakiekolwiek dokumenty lub wiarygodne przesłanki na potwierdzenie tych faktów, to będę im wdzięczny za udostępnienie. Według

mojej wiedzy, w Łebie rzeczywiście eksperymentowano z „kaczkami”, ale były to bomby lotnicze (*Rollbombe*), a później eksperymentowano ze skaczącymi torpedami (*Rolltorpedo*), które miały służyć do niszczenia zapór wodnych i obiektów hydrologicznych. Amunicję tę zrzucano z samolotów na wody jeziora Łebsko i Bałtyku, a ta, odbijając się od powierzchni wody, skokami przemieszczała się na odległość 500-600 metrów dla bomb i 2 kilometrów dla torped. Doświadczenia te, odbywające się pod kryptonimami „Gerät Kurt” i „Gerät Kurt 2000”, przypominały dziecięcą zabawę z puszczaniem „kaczek” po wodzie. Stąd też zapewne te skojarzenia. Z doświadczeniami w Łebie nie mają natomiast nic wspólnego pociski V-1 z usterzeniem typu „kaczka”. W kierunku Bornholmu strzelano z Łeby jedynie raketami na paliwo stałe, *Rheinbote*.

Autorzy internetowej publikacji twierdzą, iż poza poligonem w Łebie istniało kilka poligonów raketowych w Borach Tucholskich. Najwięcej strzelań odbywało się ze stanowisk w okolicach Człuchowa i Wierzchni. Na poligonach tych, według autorów, strzelano przede wszystkim raketami *Rheinbote* i *Rheintochter*. Próby w Borach Tucholskich z pociskiem *Rheintochter-3* rozpocząć miano w styczniu 1945 r., po przeniesieniu ich z Łeby w połowie grudnia 1944 r. Praw-



Bronisław Nagórski wśród bomb lotniczych zalegających w 1947 roku wydmy w Łebie
fot. Stefan Fikus



dą jest, że poza Łebą istniało kilka poligonów w Borach Tucholskich. Należy jednak rozróżnić ich charakter. W Łebie mieściła się stacja doświadczalna, w Borach natomiast poligony ogniowe. Być może stanowiska ogniowe znajdowały się w okolicach Człuchowa, chociaż badając wojenną historię stacji w Łebie, nie natknąłem się na taką informację. Mam natomiast wiele wątpliwości co do drugiej miejscowości. W Borach Tucholskich nie ma bowiem (przynajmniej na mapach) Wierzchucina. Są Wierzchucice, Wierzchucinek i Wierzchucin Królewski niedaleko Bydgoszczy. Wierzchucino zaś znajduje się nad Jeziorem Żarnowieckim na Pomorzu. Jeżeli wziąć pod uwagę zasięg rakiet (nawet do 210 km), wszystko wskazywałoby na Wierzchucino na Pomorzu, lecz nie spotkałem się z żadnymi przekazami na temat ewentualnych strzałów rakietowych w tych okolicach. Najbardziej jednak kontrowersyjną jest informacja o tym, że na poligonach w Borach Tucholskich strzelano rakietami *Rheintochter-3*. Zapewne autorom chodzi o wersję tej rakiety oznaczoną kryptonimem *F-P-3* lub *R-3*. Przy okazji sprostuję informację przez nich podaną: nigdy nie było kilkunastu wersji ra-

kiety *Rheintochter*. Były, nie licząc kilku egzemplarzy doświadczalnych, tylko dwie: *F-P-1 (R-1)* na paliwo stałe i *F-P-3 (R-3)* na paliwo stałe i płynne. Wracając do informacji o strzelaniach – wydaje się bardzo mało prawdopodobne, że w Borach Tucholskich próbowano rakiet przeciwlotnicze *Rheintochter R-3*. Wątpliwość tę opieram na założeniu, że do startu tych rakiet potrzebne były specjalne wyrzutnie w kształcie betonowego leja ze skomplikowaną maszyną. Wątpię, aby takie konstrukcje budowano w Borach w styczniu 1945 roku. Być może się mylę, ale wtedy autorzy musieliby wskazać miejsce z pozostałościami wyrzutni. W Borach Tucholskich rzeczywiście odbywały się próby z rakietami *Rheinbote*. Nie przeniesiono ich jednak tu z Łeby, a jedynie chwilowo wykorzystano istniejące w Borach poligony *V-2* do prób odległościowych z rakietami *Rheinbote*.

Skoro wyjaśniliśmy już sobie nieścisłości zawarte w internetowej pu-

blikacji, czas zastanowić się nad tym, co właściwie zostało znalezione w jeziorze Świąte. Jest z tym pewien problem, ponieważ materiał internetowy nie zawiera wyraźnego zdjęcia znaleziska. Autorzy zamieścili natomiast



Pocisk wyłowiony z jeziora Świąte (na pierwszym planie) łudząco przypomina konstrukcję bomby z Łeby
fot. z omawianej witryny internetowej

dwie fotografie pocisków, które można sklasyfikować jako podkalibrowe pociski dział wielokomorowego oznaczonego kryptonimem *Hochdruckpumpe*, nieoficjalnie nazywanego też „stonogą” (*Tausendfüßler*), czyli mówiąc prościej – projektu *V-3*. Pocisk taki miał długość trzech metrów i ciężar 140 kg, a jego średnica wynosiła 100 mm. Pociski do *V-3* widać doskonale na archiwalnych zdjęciach, na których prezentują je amerykańscy żołnierze. Są identyczne z tymi widocznymi na zdjęciach zamieszczonych w materiale. Autorzy natomiast podają, że znaleziony pocisk mierzy niecałe dwa metry.

Autorzy piszą, że obecnie funkcjonują trzy teorie co do tożsamości pocisku. Znaczący uzbrojenia przekonywali w telewizji, że jest to prototyp rakiety *Rheinkinder* (!). Tu również muszę wtrącić swoją uwagę. Przeglądając dość rzetelnie archiwa firmy *Rheinmetall Borsig*, która podczas II wojny światowej prowadziła doświadczenia z rakietami *Rheinbote* i *Rheintochter* (stąd ich nazwy) oraz z rakietami *Faerlilie*, nie spotkałem się z nazwą *Rheinkinder*. Być może coś przeoczyłem, ale z drugiej strony, gdyby taka raketa istniała, na pewno wspomnieliby o niej dr Heinrich Klein, dr Vüllers i inż. Heinrich Hupertz – szefowie programów badawczych wymienionych rakiet. W ich pamiętnikach i relacjach nic takiego się nie pojawiło. Drugą teorię sformułował płk Ryszard Jasik, szef saperów

REKLAMA

DENAR wykrywacze metali



PULSE STAR II

**SPRZEDAŻ • KUPNO • ZAMIANA
WYDAWNICTWA • DORADZTWO**

Prowadzimy sprzedaż ratelną • Wystawiamy faktury VAT

ul. Lipowa 6A/17, 81-572 GDYNIA
tel. /fax (058) 781 08 89, tel. kom. 0602 224 228
www.denar.prv.pl

DOKOŃCZENIE NA STR. 40



Warszawska Galeria Ekslibrisu

W Warszawie na Ochocie, przy ulicy Grójeckiej 109 (róg ul. Dickensa) mieści się biblioteka publiczna, dokładniej – Wypożyczalnia nr 75. W bibliotece tej, w jednej dość dużej sali znalazła swoje lokum Warszawska Galeria Ekslibrisu. Wiedzą o niej miłośnicy ekslibrisu – nie tylko z Polski, ale poza tym nie jest szeroko znana. A szkoda, gdyż można tam obejrzeć piękne miniarcydzieła grafiki. W galerii nie ma wystawy stałej, ponieważ grafik nie wolno narażać na ciągły wpływ światła – szybko wtedy niszczej. Są natomiast wystawy czasowe, dosyć często zmieniane. Wstęp wolny, w godzinach pracy biblioteki, czyli od poniedziałku do piątku od 10.00 do 19.00. Na miejscu można kupić wydawnictwa związane z ekslibrisem, m.in. czasopisma i katalogi wystaw, niektóre bogato ilustrowane. Warto zajrzeć!

Przemysław Pilich



ze zbiorów
Warszawskiej
Galerii Ekslibrisu

O publikacjach...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 39

z 9 Chełmińskiego Pułku Pontonowego, który zidentyfikował znalezisko jako raketowe pociski typu *nebelwaffer*. Do teorii tej przychylają się również autorzy witryny. Trzecią teorię określili historycy wojskowi z Muzeum Tradycji POW w Bydgoszczy, którzy w pocisku widzą radziecką raketę ziemia-ziemia M-31.

Pewne światło na całą sprawę rzuca fotografia z wydobycia znaleziska z jeziora, na której widoczny jest pocisk o bardzo nietypowym jak na raketę kształcie. To, co widać na zdjęciu, moim zdaniem, w żaden sposób nie może być raketą. Upraszczając sprawę, jest to rura z kulą z jednego końca i z krótką rurą o mniejszej średnicy z drugiego końca. To coś

bardzo przypomina mi konstrukcję uwidocznioną na zdjęciu wykonanym tuż po wojnie przez Stefana Fikusa na ruchomych wydmach w Łebie. Z dokumentów dotyczących działalności w latach 1941-45 Stacji Doświadczalnej Łeba wynika, że wcześniej na terenie jeziora Łebsko istniał poligon *Luftwaffe*, na którym dokonywano prób z różną amunicją lotniczą. To, co na łebskich piaskach trzyma w objęciach młody mężczyzna, jest bardzo podobne do tego, co leży u stóp saperów nad brzegiem jeziora Święte, tyle że o rzeczy widocznej na zdjęciu z Łeby wiemy, iż była to na pewno jedna z wielu typów bomb lotniczych, którymi bombardowano poligon na jeziorze Łebsko. Czy taką samą bombę, tylko bez lotek, znaleziono w wodach jeziora Święte? Jeśli tak, to nie jest to żadna raketa, a ze wszystkich spekulacji specjalistów od broni

i uzbrojenia w tej sprawie nic nie wynika.

Wszystkich, którzy chcieliby poznać historię wspomnianych tu rakiet *Rheinbote*, *Rheintochter* i *Fauersilber* oraz dzieje Stacji Doświadczalnej Łeba zapraszam do przeczytania mojej książki „Łeba – wojenne tajemnice”, która ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa „JMK” Marka Dudziaka.

Leszek Kotarski

Od redakcji:
Książkę Leszka Kotarskiego „Łeba – wojenne tajemnice” można zamówić za zaliczeniem pocztowym pod adresem:

Wydawnictwo „JMK” – Marek Dudziak
ul. 3 Maja 32
62-500 Konin

Cena – 18 złotych plus koszty przesyłki.



OGŁOSZENIA BEZPŁATNE

Drukujemy bezpłatnie ogłoszenia zawierające do trzydziestu słów (nie licząc adresu). Prosimy o czytelne pismo! Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Nie zamieszczamy tutaj ogłoszeń związanych z działalnością gospodarczą ogłoszeniodawcy.

• POSZUKUJĘ temblaka oficerskiego, chętnie wz. 1917 (ten z haftowanym orzełkiem), może być metalowy z łańcuszkiem. Kowal (054) 842 268 – wieczorem.

• KUPIĘ miesięcznik „Odkrywca” – numery: 4 rok I, 6 rok I, 0(6)

rok II, 1(7) rok II, 5(11) rok II, 8(14) rok II. Arkadiusz Wilk, 57-400 Nowa Ruda, ul. Wąska 2a, tel. 0605 374 126, 24/h.

• KUPIĘ „Archeologię Wojskową” nr 1, 2, 7; „Przewodnik poszukiwacza skarbów” – W. Antkowiak, wydawnictwa Arsenał Polski. Tel. (034) 456 17 68.

• KUPIĘ, wymienię kieliszki do jajek oraz literaturę dotyczącą wyrobów ceramicznych. Sprzedam literaturę na temat fortyfikacji, militariów, gór, wspinaczki oraz kolekcję puszek na produkty spożywcze (lista po przesłaniu koperty ze znacznikiem). Magdalena Gierszał-Nowak, ul. Wierzbicice 11/21, 61-568 Poznań.

Zaproszenie na wystawę

WITRAŻ POLSKI – MARIA POWALISZ-BARDOŃSKA

Twórczość artystki, uprawiającej sztukę figuratywną i abstrakcyjną, doczekała się 120 realizacji w różnych obiektach architektury świeckiej i sakralnej (m.in. w katedrach w Poznaniu, Warszawie, Gnieźnie, Pelplinie).

Witraże, kartony, projekty Marii Powalisz-Bardońskiej eksponuje Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku (w Spichlerzu Richtera – Zamek Książąt Pomorskich). Na wystawę zapraszamy od 17 czerwca do 1 sierpnia 2000 r.

Kowarskie Dymarki

Kogo ciekawi produkcja żelaza według dawnej technologii, niechaj wybierze się 18 sierpnia do Kowar. Będzie można przyrządzić się budowie dymarki, rozpaleniu i wydobywaniu wotopu, a w oczekiwaniu na świeżutkie żelazo (wytop potrwa całą noc) – oglądać występy teatrów, koncerty i wziąć

udział w zabawie. Do swoich warsztatów zaproszą kowal, tkacz, garncarz i drzeworytnik. Organizatorami Dymarek są Urząd Miasta Kowary oraz Stowarzyszenie Miłośników Kowar. Szczegółowych informacji udziela Centrum Informacji Turystycznej w Kowarach, tel./fax (075) 718 24 89.

„Gdańskie Zeszyty Numizmatyczne” (nr 43)

- Krótki przegląd brakteatów krzyżackich
- Gdański żeton żebraczy
- Nieznany żeton XIX-wiecznej Bydgoszczy
- Nowości wydawnicze
- Jubileusz 15-lecia „Grosza”
- Ordery III Rzeczypospolitej Polskiej – wystawa
- Rejestr medali gdańskich, uzupełnienia

Redakcja:
81-601 Gdynia
ul. Apollina 38
tel. (058) 621 43 67



PRZEPRASZAMY

W kwietniowym numerze „Odkrywcy” na str. 48 (tekst „Kowarskie Sztolnie”) zamieściliśmy omyłkowo niewłaściwe zdjęcie. Przedstawia fragment „Włodarza”, a autorem fotografii jest Jacek Witkowski. Pana Jacka i Czytelników serdecznie przepraszamy.

GDZIE MOŻNA KUPIĆ „ODKRYWCĘ”

W sklepach sieci EMPIK, „INMEDIO” i „KOLPORTER” w całej Polsce oraz:

| | | |
|------------------|---|---|
| Bydgoszcz | – | Muzeum Tradycji POW ul. Czerkaska 2 |
| Częstochowa | – | Antykwarnia-Księgarnia „Niezależna”, ul. Kopernika 4 |
| Gdańsk | – | Sklep „Militaria” ul. Czerwony Dwór (targowisko) |
| Gdynia | – | „Denar”, ul. Lipowa 6A/17 Sklep „Desant” ul. Portowa 4 |
| Konin | – | Księgarnia „MAWI” ul. 3 Maja 2 |
| Komorów | – | PPHU „Armand”, ul. Ryszarda 44 |
| Kraków | – | „Arsenal”, ul. Floriańska 20 Biuro Usług Turystycznych „Gacek” ul. Wł. Bandurskiego 16/11 |
| Krosno | – | „Army Shop” ul. Piłsudskiego 18 |
| Łódź | – | Antykwariat Naukowy ul. Piotrkowska 85 Księgarnia „Gedania” ul. Pojezierska 2/6 Księgarnia Wojskowa ul. Tuwima 34 |
| Osowiec | – | Łódzka Księgarnia Niezależna ul. Piotrkowska 102 |
| Osówka | – | Twierdza (kontakt: Mirosław Worona) |
| Poznań | – | Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich Księgarnia „Dobra Książka” Plac Wielkopolski Księgarnia „Militarium” ul. Libelta 3 |
| Przemyśl | – | Ośrodek Inf. Turyst. ul. Władycze 3 |
| Słupsk | – | Muzeum Pomorza Środkowego ul. Dominikańska 5-9 |
| Szklarska Poręba | – | Muzeum Ziemi Szosa Jeleniogórska 9 |
| Warszawa | – | „Pelta”, ul. Świętokrzyska 16 |
| Zabrze | – | Muzeum Górnictwa Węglowego ul. 3 Maja 19 |
| Zamość | – | Salon Antyków „Kolekcjoner” s.c. ul. Rynek Wielki 3 |
| Złoty Stok | – | Kopalnia Złota, ul. Złota 7 |

NUMERY ARCHIWALNE

Nakład wszystkich numerów z 1998 roku został wyczerpany. Nie wykonujemy kserokopii. Do nabycia są jeszcze niektóre numery ubiegłoroczne. Jeden egzemplarz kosztuje 5 złotych. Przed wysłaniem zamówienia na egzemplarze archiwalne prosimy koniecznie o kontakt telefoniczny z redakcją – Ewa Wróbel, tel. (063) 242 82 60 od poniedziałku do piątku w godz. 8.00-15.00.

Prosimy przelać należność za zamówione egzemplarze przekazem pocztowym (wyraźnie zaznaczyć na odwrocie, o które numery chodzi) pod adresem redakcji: 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32 lub dokonać wpłaty na konto:
PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1

Można też zamówić archiwalne numery „Odkrywcy” za zaliczeniem pocztowym, ale jest to najmniej korzystne dla Państwa, gdyż koszt takiej przesyłki (znaczny) musimy doliczyć do ceny zamówionych egzemplarzy.



Z redakcyjnej skrzynki

W lasach w okolicy Otwocka znalazłem zakopaną butelkę z metalowym zamknięciem, w której były 3 banknoty po 500 zł emisji 1919 r. oraz karteczka z napisem: „W. Guzikow ul. Wrons...” (zdjęcie banknotów i kartki w załączeniu). Na planie Warszawy z 1938 r. odnalazłem ulicę Wrońskiego, która obecnie nosi tę samą nazwę, ale niestety, nie mogę znaleźć pana Guzikowa, któremu należy oddać te banknoty.

Sprawę traktuję jako ciekawostkę, bo oczywiście te banknoty nie stanowią żadnej wartości, natomiast ciekawe jest, dlaczego ktoś nie doręczył tych pieniędzy osobiście oraz kim był pan Guzikow. Jak widzimy, są jeszcze różne ciekawe zagadki do wyjaśnienia, może ktoś z czytelników zna ludzi o nazwisku Guzikow? Jeżeli tak, to proszę o informację na fax nr (022) 643 37 88.

Zbigniew Karpiński

Zdjęcie nadesłane przez pana Zbigniewa zamieszczamy obok. (Przepraszamy za złą jakość – oryginał nie jest dostatecznie ostry.) Interesująca sprawa, prawda? Może uda się wyjaśnić zagadkę.

W numerze 2(19) zamieściliście artykuł Dariusza Kaszuby „Wojskowe znaki tożsamości”. Jeśli utrzymujecie kontakt z autorem, prosiłbym o przekazanie poniższego opisu, może otrzymałbym odpowiedź.

Blaszka jest aluminiowa – powyżej wielkość naturalna. Za nazwiskiem wydrapana jest litera K. Przeróbka Jana (?) na Hansa oraz litery GBR (geboren?) mogłyby świadczyć o niemieckim pochodzeniu znaczka. Wszystko psuje napis POLONE. Mała dziurka na literze L mogła służyć do przewleczenia drutu.

Została znaleziona na podwórzu gospodarstwa rolnego w Kopankach (wieś ok. 50 km na zachód od Poznania). Właścicielem domu był dawniej człowiek, który w czasie wojny pełnił funkcję kapo w Oświęcimiu (...). Jednak miejsce znalezienia nie musi mieć nic wspólnego z właścicielem domu.

Wygląd blaszki skierował moje i kilku innych osób (militarystów, muzeal-



Blaszka, o której pisze pan M. Marciniak (wymiary rzeczywiste 79 x 47 mm)



ników itp.) podejrzenie, że jest to znak identyfikacyjny cywilnego depozytu dla osób zwerbowanych do czegoś... no bo chyba nie do wojska (POLONE!). Za identyfikację byłbym wdzięczny.

Mateusz Marciniak, Poznań

PS Nie zależy mi na zachowaniu tego czegoś, może lepiej by pasowało do jakiejś kolekcji?

Ciekawe znalezisko, tylko mamy kłopot – nie pośredniczymy w wymianie korespondencji, a Pan nie upoważnił nas do opublikowania na łamach „Odkrywcy” Pańskiego adresu, zatem osobom, które mogłyby pomóc, trudno będzie się z Panem skontaktować. Może jednak publikacja tego listu pozwoli wyjaśnić zagadkę. Życzymy powodzenia.

W marcowym numerze z bieżącego roku natrafiłem na zdjęcie pana Sławomira Kordaczuka dotyczące polskiego kb ppanc. Ur wz. 35. Chciałbym prosić o kontakt z tą osobą, to znaczy otrzymać jakiś adres, jeśli jest to możliwe.

Piotr Bochyński

Ze Sławomirem Kordaczukiem można się kontaktować pod adresem: Muzeum Regionalne, ul. Piłsudskiego 1, 08-110 Siedlce.

W ostatnim numerze (piszę 4 V 00) zamieściliście dwa zdjęcia (cokół po krzyżu – str. 7 i krzyż – ost. str. okładki), które podpisałyście jako polemkowskie. Otóż są to krzyże bojkowe, gdyż to właśnie Bojkowie, a nie Łemkowie zamieszkiwali te tereny. Przy okazji – nie ma miejscowości (raczej nie było) Beniowe, tylko Beniowa. (...)

B. Bijak, Belchatów

Informację, iż są to krzyże polemkowskie, nadesłał autor zdjęć. Ostatnia litera w nazwie miejscowości napisana była niewyraźnie (e/a), stąd pomyłka. Dziękujemy za sprostowanie.

Na prośbę pana **Jana Kupisza** z Kornicy podajemy adres, pod którym można zamówić książkę Marka Nowaka „Skarby i elektronika”: ZUH „GRAFIA”, Jerzy Rosiek, 80-231 Gdańsk, ul. Fiszerka 10, tel./fax (058) 344 60 72.

(...) Nie raz pisaliście o zaniedbanych cmentarzach wojskowych czy pobożowskich w Polsce. Co natomiast z cmentarzami „cywilnymi”, które zostały na tak zwanych „ziemiach odzyskanych”? Widywałem takie miejsca nie raz na Mazurach (np. Jeziorany, gdzie został tylko fragment bramy wejściowej i kilka kamieni nagrobnych), ale ostatnio trafiłem na cmentarz, którego stan urągał wszelkim normom. Chodzi mi konkretnie o miejscowość Amazonka przy trasie gdańskiej (między Elblągiem a Pastwą). Cmentarz ten znajduje się w lesku przy tamtejszym zajeździe i nie dość, że służy podróżnym za „toaletę pod chmurką”, to najwyraźniej ostatnio zainteresowały się nim hieny grobowe, bo widać, że kilka grobów było rozkopanych. Czy ktoś w ogóle może pomóc w tej sprawie? Czy ludzie, którzy kiedyś mieszkali na tych terenach, są skazani na całkowite zapomnienie?

Marcin Bryja

To pytanie kierujemy do administracji państwowej, władz samorządowych i kościelnych, bo apelowanie do sumień osób, które bezczeszczą groby, skazane jest chyba z góry na niepowodzenie.

(mar)



TAJEMNICA ORLEJ GÓRY

15 maja 1921 r. marszałek Józef Piłsudski jako naczelnik państwa przyjechał do Kalisza, aby odznaczyć 200 żołnierzy Krzyżem Virtuti Militari. W położonej przy trasie z Turku do Kalisza Orlej Górze – wtedy miejscowości o nazwie Kaczymka – szwadron piłsudczyków napadł na rosyjski pocztulion. Żołnierze zrabowali dużą ilość rubli w złocie i zakopali je w lesie. Piłsudski zamierzał przeznaczyć złoto na PPS. Żołnierze nie zdążyli jednak wykopać złota, gdyż polegli w walce. Do dziś nie wiadomo, gdzie zostało ukryte. Czekaj cierpliwie na znalezienie...

(Julia Molska, *Zakopane skarby Piłsudskiego*, „Życie Kalisza” – 5.04.2000 r.)

UNIKALNA AMFIBIA

Bogdan Jerysz z Rzeszowa jest właścicielem amfibii BAF z roku 1942, produkowanej w ZSRR z użyciem podzespołów amerykańskich dostarczanych przez rząd USA w ramach pomocy wojskowej. Pojazd ten na szosie Nowa Dęba – Rzeszów osiągał prędkość do 100 kilometrów na godzinę. Brał także udział w defiladzie starych pojazdów terenowych 11 listopada 1989 r.

Wszystkie części amfibii są oryginalne, z wyjątkiem wymienianych siedzeń. Obecnie stoi ona starannie zakonserwowana i przykryta plandeką na terenie budowy hali widowiskowo-sportowej na Podpromiu. Od 10 lat właściciel amfibii poszukuje sponsorów, którym – w zamian za pokrycie kosztów jej remontu – mogłaby służyć w celach chociażby reklamowych.

Możliwe jest również, że ten unikalny zabytek techniki wojskowej znajdzie się w punkcie skupu złomu.

(Antoni Adamski, *Kłopoty z amfibią*, „Nowiny” – 18.04.2000 r.)

MENU Z „TITANICA”

Za 34 tysiące funtów angielskich (to jest 56,6 tysiąca dolarów) na aukcji w domu aukcyjnym Sotheby's sprzedane zostało menu z okrętowej restauracji i karta zdrowia pasażerki, która w 1912 roku podróżowała trzecią klasą „Titanikiem” i uratowała się z katastrofy statku. Przedmioty te wystawił na aukcję prawnuk pasażerki Sary Roth. Podczas katastrofy udało się jej znaleźć miejsce w łodzi ratunkowej, a zabrała ze sobą jedynie torebkę z dokumentami i... jadłospis.

(PAP, *Z „Titanica” na aukcję*, „Super Nowości” – 5/7. 05.2000 r.)

CZUDECKIE PODZIEMIA

W Czudcu dobiegają właśnie końca prace konserwatorskie w kryptach kościoła pw. św. Trójcy, rozpoczęte jesienią ubiegłego roku.

Pod czudeckim kościołem istniały trzy oddzielne krypty, dostępne wyłącznie z zewnątrz. Składano w nich trumny zmarłych ze znamienitych rodów. Podczas prac w podziemiach połączono krypty dwoma nowymi korytarzami, liczącymi w sumie ponad 20 metrów długości. Natrafiono wówczas na szczątki fundatorów kościoła – rodziny Grabieńskich. Podziemia udostępnione zostaną zwiedzającym. Dotychczas nie znaleziono podziemnego korytarza łączącego kościół z ruinami położonego nad brzegiem Wisłoka zamku, zburzonego w XVIII wieku.

(Antoni Adamski, *Co się kryje pod kościołem*, „Nowiny” – 17.05.2000 r.)

ODKRYCIE NA BIELSKIEJ STARÓWCE

W trakcie prac archeologicznych na bielskiej starówce w jednym z 22 wykopów w zwalonej w 1998 roku kamienicy przy rynku znaleziono pochodzący z XVI wieku norymberski liczman, czyli żeton kupiecki. Przedstawia on kupca przy stoliku, na którym rozłożono liczmany. Archeolodzy wydobyli także cztery mniejsze liczmany z wizerunkami Wilhelma III Orańskiego i jego żony Marii. Prawdopodobnie wybi-

te zostały na terenie Niderlandów. Wszystkie te przedmioty zostaną wystawione w bielskim muzeum. Oprócz nich będzie można obejrzeć również inne znalezione przez archeologów eksponaty – trzygrajcarową monetę z XVII wieku, małą monetę średniowieczną, szczątki kafli gotyckich z XV w., ceramikę z początku XIV w.

(Artur Pałyga, *Odkrycia pod zwaloną kamienicą*, „Trybuna Śląska” – 14.04.2000 r.)

SKARB SAMSONOWA

Na poszukiwanie skarbu rosyjskiego generała Aleksandra Samsonowa udał się dziennikarz „Gazety Olsztyńskiej” Sebastian Mierzyński. Razem z przyjaciółmi przemierzył on ponad 30 kilometrów szlakiem wojsk rosyjskich, które w sierpniu 1914 roku na południe od Jedwabna walczyły z niemieckimi żołnierzami. W czasie tej bitwy sztab Samsonowa znajdował się miał w pobliżu tajemniczej wieży. Na jej szczycie usytuowane było stanowisko artyleryjskie obserwatora. Podczas ucieczki z okrążenia żołnierze Samsonowa zakopali dwie

skrzynki z dokumentami i złotem. Autor artykułu podaje śladem rosyjskich wojsk i czyni z tego fascynującą opowieść. Podaje także informacje, które

bardziej zainteresowanych czytelników odsyłam do obszernego i bardzo ciekawego artykułu. „29 sierpnia 1914 roku o trzeciej rano Rosjanom udało się oderwać od atakującej ich piechoty niemieckiej. Trzy godziny później Niemcy odkryli rosyjską ucieczkę i rozpoczęli pościg. Prawdopodobnie trasa uciekających wojsk prowadziła przez Zimne Wody, gdzie Rosjanie dowiedzieli się o zajęciu przez wroga Nidzicy. Z Zimnych Wód prowadzi przez lasy prosta droga w kierunku wsi Przeździek Wielki (przy drodze Nidzica – Wielbark). Pod Puchałowem, które jest na trasie, 29 sierpnia niemiecka kompania karabinów maszynowych zaatakowała 150-osobową ochronę sztabu Samsonowa. W nocy z 29 na 30 gen. Samsonow zjawił się w Karolinenhof (leśniczówka Karolinka). Tam zginął, popełniając samobójstwo lub umierając na zawał.

Złote ruble miały ważyć około 100 kilogramów. Razem z pieniędzmi przewożono sztandary armijne. Podobno czterech oficerów zakopało skarb w głębokim dole koło dębów gdzieś w pobliżu Wielbarka.”

(Sebastian Mierzyński, *W wyprawie po złoto liczy się przygoda*, „Gazeta Olsztyńska” – 14-16.04.2000 r.)

TARGI O BURSZTYNOWĄ...

Florencka mozaika i komoda ze słynnej Bursztynowej Komnaty wróciły do Carskiego Sioła pod Petersburgiem, gdzie odtwarzane jest to arcydzieło, które uważa się za ósmy cud świata, a którego losy są tak bardzo pogmatwane, że nikt obecnie nie jest w stanie stwierdzić, gdzie się owo cudo znajduje. Bursztynowa Komnata to sala wyłożona sześcioma tonami pięknie obrobionego bursztynu i włoskimi mozaikami. Powstała na zamówienie króla Prus Wilhelma I, a przekazana w 1716 roku rosyjskiemu carowi Piotrowi I Wielkiemu – ozdabiała Pałac Jekatieriński. W 1941 r. Niemcy umieścili ją w Królewcu. Zaginęła w styczniu 1945 r. Florencka mozaika jest jedną z czterech, które ozdabiały ściany komnaty. Odnalazła się trzy lata temu, gdy ktoś próbował ją sprzedać na aukcji w Bremie za 2 500 000 marek. Z kolei komoda była własnością mieszkanki Bremy, która oddała ją jedynie za zwrot kosztów renowacji. Przez trzy lata władze Rosji i Niemiec negocjowały wymianę mozaik na obrazy i rysunki wywiezione przez radzieckie wojska z III Rzeszy. W końcu Putin odebrał fragmenty Bursztynowej Komnaty, a Niemcy otrzymali 100 obrazów i rysunków pochodzących z Bremy.

(Leszek Adamczewski, *Putin odebrał fragment Bursztynowej Komnaty*, „Głos Wielkopolski” 2/3.05.2000 r.)

Jola Dudziak

O tym się pisze



Zakład Wydawniczy Czasopism Patronackich Biblioteki Narodowej
00-973 Warszawa, Al. Niepodległości 213, tel./fax (022) 608 24 88, tel. 608 23 74

NOWE
KSIĄŻKI

Dzięki współpracy z miesięcznikiem „Nowe Książki” prowadzimy stałą rubrykę przeznaczoną na informacje o mogących zainteresować naszych Czytelników ciekawych pozycjach na rynku księgarskim, nowościach i zapowiedziach wydawniczych.

NOWOŚCI I ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Kurier „Nowych Książek”

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa

Hillel LEVINE

KIM PAN JEST, PANIE SUGIHARA
przeł. Stanisław Głabiński, wyd. 1, s. 312, format 21,5 x 15,0 cm, opr. tw. (Seria: Non fiction), ISBN 83-8807-01-3

Pasjonująca historia japońskiego konsula w Kownie, który udzielił wielu tysięcy wiz i – w konsekwencji – uratował przed zagładą ponad 10 tys. Żydów; wielokrotnie więcej niż liczyła lista Schindlera.

Księgarnia Akademicka
Kraków

Krzysztof KRUŻEL
**WSRÓD STARYCH RYCIN.
WYBRANE ZAGADNIENIA
OPRACOWANIA FORMALNEGO
DAWNEJ GRAFIKI**
ISBN 83-87623-14-8

Książka w swoim głównym założeniu ma zapoznać z problematyką przede wszystkim początkujących pracowników kolekcji graficznych, starych druków i antykwariatów oraz kolekcjonerów i właścicieli dawnych grafik, którzy niekoniecznie muszą mieć wykształcenie z zakresu historii sztuki. Stąd obfitość przypisów objaśniających i odsyłających do zagadnień szczegółowych.

Muzeum Zamkowe
w Malborku

**BRÓŃ PERSKA I INDOPERSKA
W ZBIORACH POLSKICH**
pod red. Antoniego R. Chodyńskiego, wyd. 1, s. ok. 400, format A4, opr. tw., ISBN 83-86206-31-4

Pierwsze w Polsce tak szerokie omówienie tematu broni perskiej i indoperskiej. Zawiera ok. 400 zdjęć oraz słownik terminologicz-

ny. Album przedstawia militaria niemal wszystkich rodzajów i typów – od uzbrojenia ochronnego, poprzez słynne perskie szable – szamsziry, maczugi i topory, aż po niezwykle rzadką indoperską broń ogniową z muzeów polskich oraz trzech prywatnych kolekcji. Album jest dwujęzyczny: polsko-angielski.

Spółdzielnia
Wydawniczo-Handlowa
Książka i Wiedza
Warszawa

Anthony BEEVOR
STALINGRAD

przeł. z ang. Stanisław Głabiński, wyd. 1, s. 416, il., mapy, format 14,5 x 20,5 cm, opr. tw., ISBN 83-05-13135-1

Pełen dramatyzmu, barwny opis jednej z największych bitew II wojny światowej, decydującej o klęsce Niemców. Autor analizuje przebieg bitwy oraz karygodne błędy popełnione przez Stalina i Hitlera. Ukazuje wstrząsający obraz okrucieństw, jakich dopuściły się obie strony. Książka oparta na bogatej dokumentacji.

Wydawnictwo DiG
Warszawa

Dariusz PIWOWARCZYK
**OBYCZAJ RYCERSKI
W POLSCE PÓŹNOŚREDNIO-
WIECZNEJ (XIV-XV WIEK)**
wyd. 2, s. 276, format B5, cena 30,00 zł
ISBN 83-7181-146-2

Wydawnictwo Książkowe
Twój Styl
Warszawa

**NAJPIĘKNIEJSZE MIEJSCA
DO NURKOWANIA**

Album ukazujący podwodne cuda światowej klasy miejsc do nurkowania – na oceanach Indyjskim, Spokojnym i Atlantycznym oraz w morzach Karaibskim i Czerwonym. Ukazuje możliwości i uroki nurkowania do

wraków, na rafach, oglądania podwodnych klifów i jaskiń. Wszystko utrwalone przez światowej sławy fotografików i nurków, ukazuje świat dla jednych niedostępny, dla drugich kuszący pięknem i zapowiedzią przeżycia wielkiej przygody.

Wydawnictwo Marpress
Gdańsk

Gabriel P. OLESZEK
KOSYNIERZY Z DARU POMORZA

s. 138, il. cz.-b., format A5, opr. brosz. fol., cena 10,80 zł (Seria: Proza Marynistyczna), ISBN 83-87291-63-3

Kronika Wydziału Nawigacyjnego Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni z lat 1965-1968. Autor prostym, nie pozbawionym humoru językiem opisuje liczne epizody, jakie się wydarzyły podczas trzech lat pobytu w WSM, na statkach szkolnych oraz towarowych w czasie praktyk morskich. Książka zawiera relacje z autentycznych wydarzeń, których bohaterami są osoby wymienione z imienia i nazwiska.

Wydawnictwo Naukowe PWN
Warszawa

Michał GRADOWSKI,
Zdzisław ŻYGULSKI jun.
**SŁOWNIK UZBROJENIA
HISTORYCZNEGO**

wyd. 1, s. 185+32 s. wkł. kol., format 14,3 x 20,5 cm, opr. tw. + obw., cena 32,00 zł, ISBN 83-01-12390-7

Jest to pierwsza na rynku polskim praca omawiająca terminologię dawnego uzbrojenia, wzbogacona aktualnym stanem badań. Książka jest interesującym przewodnikiem po różnych rodzajach broni, najczęściej reprezentowanych w zbiorach polskich. Zakres chronologiczny obejmuje uzbrojenie od X do XIX wieku, zakres terytorialny wyznaczają obszary Europy, Bliskiego Wschodu, Afryki Płn. oraz Indii, Indonezji i Japonii. Praca jest bogato ilustrowana, prezentuje najpiękniejsze militaria z polskich kolekcji.



Czasopismo konserwatorskie Podkarpacia



**RZESZOWSKA
TEKA
KONSERWATORSKA**

nieistniejących już dworów z okolic Jarosławia oraz przybliży sylwetki ich właścicieli i dzieje poszczególnych miejscowości. Ten sam autor, w kolejnym dziale tematycznym pn. *Cykl: sylwetki*, przybliży postać niedocenianej w dotychczasowej literaturze ksieni klasztoru benedyktynek w Jarosławiu Ludwiki Tarłówny, która w drugiej ćwierci XVIII w. wydatnie przyczyniła się do odbudowy jarosławskiego opactwa.

W dziale *Omówienia i recenzje* znalazły się teksty poświęcone publikacjom dotyczącym Rzeszowa i regionu, a także czasopismom wydawanym na Ukrainie, traktującym o wspólnym dziedzictwie narodów Europy Środkowej, jakie znajduje się na terenie tego kraju.

Wśród *Komunikatów i sprawozdań* zamieszczono relacje ze studenckich badań terenowych – obozów naukowych, praktyk studenckich i wakacyjnych obozów pomiarowych – jakie odbyły się na terenie nowego województwa. Obok nich przedstawione zostały prace konserwatorskie prowadzone przy ikonostasie z cerkwi pw. św. Mikołaja w Lubaczowie oraz ustalenia dotyczące organizacji prac budowlanych na terenie Galicji w XIX w. Całość uzupełniają teksty poświęcone pamięci zmarłych w ostatnich latach zasłużonych dla regionu konserwatorów – Franciszka Kruka i Wojciecha Sobockiego.

Wydawca zaprasza na łamach swego czasopisma do współpracy, nadsyłania wyników badań, sprawozdań z prac konserwatorskich, komunikatów oraz artykułów polemicznych, publikuje również zasady opracowania tekstu. Pierwszy tom „Rzeszowskiej Teki Konserwatorskiej” jest do nabycia u wydawcy, tj. w Regionalnym Ośrodku Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Rzeszowie.

Andrzej Laskowski

Regionalny Ośrodek Studiów
i Ochrony Środowiska Kulturowego
w Rzeszowie
35-064 Rzeszów
ul. Mickiewicza 5
tel./fax (017) 853 67 76
www.rosiosk.rzeszow.pl
e-mail: rosioskr@rz.onet.pl
rosiosk@pnet.pl

Otrzymaliśmy katalogi

ofertowe

- Antykwiariatu Górskiego „Filar” (25-753 Kielce, ul. Alabastrowa 98, tel./fax 041 345 62 19, tel. 0502 397 162). 533 pozycje – książki, mapy, czasopisma.
- Antykwarni-Księgarni „Niezależna” (42-217 Częstochowa, ul. Kopernika 4, tel. 034 324 94 67). 527 pozycji – m.in. dział: kolekcjonerstwo.
- Antykwiariatu Naukowego w Krakowie (31-019 Kraków, ul. Floriańska 15, tel./fax 012 422 73 26). 884 pozycje – książki XIX- i XX-wieczne, varia, czasopisma.
- Antykwiariatu Wysyłkowego Jana Gadowskiego (20-080 Lublin, ul. Niecała 9/4, tel. 081 53 439 09). 1264 pozycje – m.in. pamiątki, wspomnienia, korespondencje, judaica, pocztówki, geografia, podróże, przyroda, regionalia, krajoznawstwo.

aukcyjne

- Krakowskiego Antykwiariatu Naukowego (31-014 Kraków, ul. św. Tomasza 8, tel./fax 012 421 21 43). 650 pozycji – m.in. genealogia – heraldyka, przewodniki, podróże, kartografia, rysunek i grafika, starodruki, czasopisma. Aukcja odbyła się 29 kwietnia.
- Antykwiariatu Bibliofilskiego „DESA Unicum” (00-420 Warszawa, ul. Szara 14, tel./fax 627 15 89). 1388 pozycji – rękopisy, stare druki, czasopisma, książki XIX- i XX-wieczne (genealogia, bibliofilstwo, sztuka, kolekcjonerstwo, numizmatyka, myślistwo, łowiectwo), druki ulotne, „cy-mesy ze skarbczyka Rudolfa Gołębiowskiego”, rysunek i grafika, varia. Aukcja odbyła się 13 maja.

Staraniem Regionalnego Ośrodka Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Rzeszowie ukazał się I tom „Rzeszowskiej Teki Konserwatorskiej” – nowego periodyku poświęconego sprawom dokumentacji i ochrony dziedzictwa kulturowego na terenie województwa podkarpackiego.

Tom otwiera tekst redakcyjny wyjaśniający motywy powstania oraz cele nowego czasopisma. Po nim, w dziale *Artykuły i opracowania*, zaprezentowano wyniki badań etnologów i historyków sztuki z naszego regionu. Dwa pierwsze artykuły stanowią próbę syntezy: tekst Andrzeja Karczmarzewskiego o grupach i regionach etnograficznych południowo-wschodniej Małopolski oraz artykuł Krzysztofa Ruszla poświęcony analizie czynników etnograficznych kształtujących region rzeszowski. Praca Jarosława Gienzy, oparta na analizie wystroju malarskiego cerkwi w Radrużu, stanowi istotny postęp w badaniach nad sztuką cerkiewną z okresu staropolskiego – autor jako pierwszy w polskiej historiografii sięga do niezwykle istotnych źródeł, jakimi są inskrypcje na zabytkach. Dwa następne teksty dotyczą architektury XIX wieku: Barbara Tondos przybliży czytelnikom postać Kazimierza Hołubowicza, architekta przez wiele lat sprawującego w Rzeszowie urząd budowniczego miejskiego, zaś Andrzej Laskowski omawia intrygującą willę wybudowaną w Jasle według projektu Teodora Talowskiego.

Kolejny blok tematyczny, nazwany *Z historii służby konserwatorskiej w Polsce południowo-wschodniej*, otwiera tekst wprowadzający Krzysztofa Wolskiego, w którym autor przedstawia dole i niedole (jak pisze sam Wolski – raczej niedole) służb konserwatorskich. Po nim Jarosław Mulczyński oraz Jacek Kawalek zamieszczają charakterystykę nieżyjących już, zasłużonych pracowników służb konserwatorskich – Jana Jerzego Wronieckiego (pierwszego wojewódzkiego konserwatora zabytków w Rzeszowie) i Mariana Wójciaka. dopełnieniem działu jest zapis rozmowy z Franciszkiem Krukiem, przeprowadzonej w 1992 roku przez Tomasza Zauchę. Tekst ten jest nie tylko źródłem wielu cennych informacji, ale również znakomitą obrazem powojennej Polski i wdzięcznym portretem rozmówcy.

Następny dział to *Cykl: dwory*, w którym Krzysztof Wolski skrupulatnie, na ogół z autopsji opisuje wygląd



Skarb z synagogi

82-letni dziś Hans Ziegler jest rodowitym Bawarczykiem i, jak przystało na mieszkańca tego regionu, także katolikiem. W lutym 1939 roku, zostawiając żonę Heidi i roczne dziecko, 21-letni Hans został wcielony do Wehrmachtu. Przydzielono go do jednostek piechoty. We wrześniu 1939 roku pierwszy raz zobaczył Polskę. Był wtedy małym ogniem niemieckiego Blitzkriegu. Wraz ze swoim oddziałem walczył w okolicach polskiego Modlina. Pamięta, jak niemieckie czołgi przeczesywały tamtejsze lasy. Mały oddział polskiej kawalerii wyposażony w broń przeciwpancerną zniszczył trzy niezawodne Panzer 3. Nie wiedział wówczas, że jednym z nich kierował niejaki porucznik Wiktor Albrecht, raciborski książę następcy. Nie wiedział też, że pod koniec wojny los rzuci go do Raciborza, ojcowizny pechowego Wiktora Albrechta.

W chłodny sierpniowy poranek 1996 roku Ziegler stał na małym placu przy ul. Londzina. Tuż za nim znajdował się stary zajazd biskupi. Zabytek od kilku lat popadał w ruinę. Jak nic innego przypominał Zieglerowi koniec marca 1945 roku. (...)

– *Dzień dobry panu* – powiedział doktor Edward Konopczyk z Katowic, pełnomocnik rządu polskiego ds. rewindykacji mienia utraconego w czasie II wojny światowej. Podeszedł do Zieglera i przerwał mu wspomnianie oblężenia Raciborza.

– *O, witam* – łamaną polszczyzną, aczkolwiek przyjacielsko odpowiedział

Ziegler. Nigdy wcześniej nie widział Konopczyka. Znał jego głos i to tylko z licznych rozmów telefonicznych.

– *Przypomina Pan sobie tamte czasy?* – zapytał po niemiecku Konopczyk, jakby czekając na wspomnienia starego Zieglera. (...)

Ziegler doskonale pamiętał dwa kościoły przy Rynku. Katolicy żołnierze chodzili się do nich modlić. Częściej jednak do tego dużego, z pięknymi stallami i kaplicą, którą miejscowi nazywali polską. Protestanci odprawiali nabożeństwa we własnej świątyni. Niedawno dowiedział się, że wyszła z wojny bez szwanku a mimo to ją rozebrano stawiając w tym miejscu szkołę muzyczną. Ziegler nie mógł się na dziwić, jak do tego doszło. Miała przecież ciekawą architekturę i te dwie piękne wieże.

– *Widział Pan kustodię? Taką dużą, ponad metrową, srebrną monstrancję?* – zapytał doktor Konopczyk.

Polski naukowiec chciał koniecznie wiedzieć, czy to niezwykle dzieło sztuki z 1495 roku, stanowiące fundację księżnej raciborskiej Magdaleny, było jeszcze wówczas w Raciborzu. Pod koniec wojny, w niewyjaśnionych okolicznościach, miało nagle zagać. Konopczyk od lat szuka jego śladów w niemieckich archiwach i rosyjskich magazynach. Jak dotąd bezskutecznie. Podejrzewa jednak, że kustodię mają Rosjanie. A to oznacza, że trudno ją będzie odzyskać.

– *Koleżdy mówili mi o niej. Dziwiliśmy się, że nasze ekipy nie zabezpieczyły*

parafialnego skarbcza. Zabrakło im chyba czasu na kościoły. Wywieźli tylko co cenniejsze rzeczy z muzeum. Wiem też, że wieźli do Opawy coś z Wrocławia. Ponoć jakieś cenne archiwalia – odparł Ziegler.

Monstrancja, o czym warto tu wspomnieć, wykonana została ze srebra. W niektórych miejscach została pozłocena. Miała 127 cm wysokości i 36,5 cm szerokości. Ważyła, wedle różnych szacunków, od 10 do 13,5 kilograma.

Pod koniec marca 1945 roku Ziegler przekonał się, że w mieście pozostawiono wiele cennych zabytków. W Wielki Czwartek, 30 marca, wraz z kompaniami (...) nocował w piwnicach zajazdu. Jeden z nich, urodzony w Raciborzu Jurgen, opowiadał coś o tajnym przejściu prowadzącym stąd na zamek i do centrum Raciborza. Żartowali, że w lochach Rosjanie na pewno ich nie znajdą, a jak się wszystko uspokoi, jakoś uciekną do Niemiec. Trzy godziny po północy do piwnicy zbiegł nagle jakiś esesman. Wykrzykiwał, że rosyjskie czołgi przerwały linię ich obrony na Miedoni i są już na obrzeżach miasta.

Ziegler z resztą opuścił szybko piwnice zajazdu. Wiedzieli, że uratuje się ten, kto jak najszybciej zdoła dotrzeć do punktu zbornego w Studziennej. Ostatni pociąg do Opawy miał odjechać stąd 1 kwietnia o godzinie 5.00 rano. Podobnie jak on i jego koledzy postąpiła reszta niemieckich żołnierzy koczujących jeszcze w piwnicach spalonych domów. (...)

Niezwykła wędrówka przez Pomorze

Jolanta Nitkowska-Węglarz, dziennikarka, autorka wielu artykułów na temat przeszłości Pomorza, znana jest ze swej docieklivosti i rzetelności w tropieniu zagadek pomorskiej historii. Wydobywa na światło dzienne postaci i sprawy ciekawe, często niezwykle i tajemnicze, o których mało kto wie i pamięta. Książki „Tajemnicze Pomorze” i „Szukajcie pomorskich skarbów” autorstwa Jolanty Nitkowskiej-Węglarz to fascynująca lektura i z pewnością zainteresuje czytelników „Odkrywcy” – którym przecież „szukania trzeba”. Drugą z tych publikacji opatrzone



nawet podtytułem „nietypowy przewodnik po ziemi słupskiej dla żadnych przygód turystów”. Warto z takim przewodnikiem ruszyć nad Bałtyk, a okazja ku temu doskonala – lato!

Książki można zamówić za zaliczeniem pocztowym u wydawcy (po 15 zł za każdą pozycję plus koszty przesyłki):

Ośrodek Informacji Turystycznej i Promocji Miasta
al. Wojska Polskiego 16
76-200 Słupsk, skr. poczt. 97
tel./fax (059) 84 24 326, tel. (059) 84 20 791
e-mail: it.slupsk@infotur-bin.info.pl



(mar)



31 marca po 5.00 rano Rosjanie byli już przy kościele św. Mikołaja na Starejwsu. Kilkadzieciąt metrów od miejsca, gdzie nocą schronił się Hans i jego koledzy. W centrum Raciborza switało. Krasnoarmiejcy na kilka godzin przystanęli na Starejwsu. Nie odważyli się kroczyć w kierunku zwartej zabudowy. Czekali chyba na swoje czołgi. Bali się, że w wypalonych kamienicach rozmieszczono gniazda karabinów maszynowych.

Ziegler w tym czasie kroczył ówczesną Langestrasse, obecnie ulicą Długą. Niemcy bali się wyjść na niezabudowany teren. Mury dawały im schronienie. Tu nie mogły ich dojrzeć radzieckie myśliwce.

– Kiedy się rozjaśniało, byliśmy koło dużego kościoła przy Rynku. Zauważyłem wtedy krzątających się wokół niego ludzi. Od razu domyśliłem się, że to szabrownicy. Plądrowali chyba skarbiec. Takie małe pomieszczenie nad zakrystią, z solidnymi kratami w malutkich okrągłych okienkach. Chcieliśmy ich zastrzelić. Ktoś z nas uznał jednak, że nie warto. Wszyscy byliśmy w piekle. I to była dla nas kara. Nie nam było jeszcze sądzić tych złodziei – wspominał stary Niemiec. (...)

– Jurgen chciał, żeby ich przegonić. Powiedział, że wróci do swojego rodzinnego Raciborza, kiedy tylko Rosjanie stąd odejdą. Przyjdzie wtedy na mszę do tego kościoła i pomyśli, że uratował kilka cennych rzeczy – kontynuował Hans.

– Co dokładnie udało wam się wtedy przejąć? – pytał Konopczyk.

– Podbiegliśmy w dwójkę do szabrowników. Było ich trzech. Nie mieli broni. Na ziemi, obok ich nóg, leżały dwa worki. Kazaliśmy im uciekać. Wystraszyli się broni, którą przygotowaną do strzału trzyaliśmy w ręku. Nie czekali. Szybko oddalili się od nas. Skryli zdaje się w piwnicach pobliskiej kamienicy. Chyba czekali, aż odejdziemy – mówił Ziegler, choć nie takiej odpowiedzi oczekiwał Konopczyk.

– Co było w tych workach? – niecierpliwił się pełnomocnik polskiego rządu.

– Dokładnie nie wiem. Jurgen zaglądał do środka. Mówił że jest tam kilka krucyfiksów, kielichów i jakaś misa. Wzięliśmy każdy po jednym na plecy i weszliśmy do zakrystii. Tu worki ukryliśmy w ogromnej komodzie wypełniającej to wnętrze. Obok niej równomiernie tykał duży, czarny zegar. Jakby dawał nam znak, że niewiele czasu pozostało do przyścia Rosjan. Że za chwilę możemy się dostać do niewoli. Jurgen wbiegł do skarbcza. Ja w tym czasie wszedłem do prezbiterium. (...)

Jurgen po kilku minutach zbiegł. Miał w ręku jakąś dużą księgę oprawioną w skórę, z piękną srebrną klamrą. Powiedział, że po wojnie odda to z powrotem. Teraz coś trzeba zrobić z workami. Nie

chciał ich zanościć do skarbcza. Mówił, że pełno tam figur świętych, świeczników i księzek. Starodruki leżały ponoć poukładane w rzędzie na półkach. Jakby z godnością czekały na Rosjan. Jurgen dzwonił potem do mnie i żałował, że nie zanieśliśmy tych worków do skarbcza. Mówił, że kościół spłonął, ale skarbiec się uchował. Powiedziałem mu wtedy, że nie ma tego złego, co na dobre nie wyjdzie. Gdybyśmy nie wynieśli tych worków, być może kosztowności leżałyby już w rosyjskich muzeach, a tak istnieje szansa, że je odnajdziemy – pocieszał się Hans. (...)

– Wie Pan, że pomysł ukrycia worków w podziemiach synagogi na początku wydawał mi się głupi – oznajmił na głos Konopczyk.

– Mnie też. Jurgen powiedział jednak, że skoro my i Żydzi wierzymy w tego samego Boga, to nic nie stoi na przeszkodzie, by właśnie w synagodze ten sam Stwórca przechował te kosztowności. Wiedzieliśmy, że tu nikt nie będzie ich szukał. Synagoga stała przecież wypalona od nocy kryształowej. Na jej środku widzieliśmy pulpit na zwoje Tory. Gdzieś tam tylko resztki malowideł i rzeźb. Żadnych kosztowności. Za szafą, w której przechowywano niegdyś Torę, odnaleźliśmy zejście do podziemi. Być może była to tylko mała piwnica. Jurgen podważył kamienną płytę bagnetem. Okazała się cienka i lekka. Nie zaglądając do wnętrza, rzuciliśmy tam worki. Upewniliśmy się tylko, czy płyta dobrze zakrywa włącz. (...)

Konopczyk i Ziegler stali na małym wzniesieniu przy ulicy Mickiewicza. Po drodze z ulicy Londzina Niemiec opowiedział resztę swojego wojennego życiorysu. (...)

Z Jurgenem rozstał się w Monachium. Raciborzanin pojechał do Leverkusen. Tam skierowała się cała niemiecka emigracja z Raciborza. Kilka lat po wojnie odnalazł w książce telefonicznej jego numer. Zadzwoił i dowiedział się, że Jurgen pozostał w Leverkusen. Jako Niemiec nie mógł wrócić do Raciborza. Niedawno znów rozmawiali. Jurgen był zadowolony, bo teraz może bez kłopotu jeździć do Polski. Mówił mu, że w Raciborzu wprawdzie wiele się zmieniło, ale nadal chciałby tu wrócić.

– Tu stała synagoga – oznajmił Konopczyk.

– Gdyby nie kościół nie poznałbym tego miejsca. 55 lat temu wszystko wokół było zabudowane. Obok synagogi stał chyba dom towarowy – wspominał Ziegler.

Obaj panowie kroczyli powoli ulicą Szewską. Stanęli w miejscu, w którym jeszcze w latach 50. było wejście do żydowskiej świątyni. Rozebrano ją kilkanaście lat po wojnie. Dziś pozostał tylko pusty plac.

Ziegler miarowo kroczył w kierunku dworca kolejowego, jakby odmierzał jakiś dystans. Po dwudziestu metrach stanął.

– Gdzieś tu było to zejście – oświadczył krótko.

Edward Konopczyk tylko to chciał wiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że musiało mu to na razie wystarczyć. Teraz musi czekać, aż uzyska zgodę na badania w tym miejscu. Wierzy, że dwa worki z kosztownościami na pewno się odnajdą. (...)

Jan Popiel

fragment książki pt. „Zagadki raciborskich podziemi”

(książkę prezentowaliśmy w poprzednim numerze)

„Riese”. Tajemnica Gór Sowich



Drugie, uzupełnione i poprawione wydanie popularnego przewodnika po sowiogórskich tajemnicach. Podziemne kompleksy niemieckiego przedsięwzięcia o kryptonimie „Olbrzym” fascynują od dawna. Mroczne wyrobiska nadal stanowią zagadkę: jakie było ich przeznaczenie? Autorzy – Marek Dudziak i Radosław Biczak – w oparciu o fakty prezentują historię i stan obecny największej tajemnicy Gór Sowich. Książka, uzupełniona mapami terenu, planami podziemnych wyrobisk i fotografiami, przydatna będzie nie tylko w terenie, ale również w biblioteczce każdego miłośnika tajemnic. 110 stron, format A5, cena 15 zł.

Zamówienia prosimy kierować pod adresem:

Wydawnictwo JMK
ul. 3 Maja 32
62-510 Konin
e-mail: odkrywca@lm.pl

„Lamus”

Otrzymaliśmy kwietniowy numer pisma wydawanego przez Siedlecki Klub Kolekcjonerów i Siedlecki Oddział Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. W „Lamusie” nr 3/2000 czytamy m.in.:

– Adwentowe granie na ligawkach (ligawka to jeden z najstarszych instrumentów dętych na Mazowszu i Podlasiu)

– Broń drzewcowa (oszczep, włócznia, kopia, pika, spisa, lanca)

– Zjazd Bractwa Rycerskiego Ziemi Mazowieckiej i Podlaskiej

Redakcja:
Muzeum Regionalne
ul. Piłsudskiego 1
08-110 Siedlce



W lektyce na Śnieżkę

Od ponad trzystu lat w pocie czoła wspinają się na szczyt Śnieżki pielgrzymi i turyści. Od samego początku towarzyszyli i pomagali im mieszkańcy Karkonoszy, wskazując drogę, umilając gościom czas odpoczynku grą na instrumentach, dźwigając bagaże wędrowców, a czasami – ich samych. Obecnie na górskich szlakach można spotkać tylko przewodników, którzy kultywują z mozołem starą sztukę wodzenia po górach.

10 sierpnia 1681 roku w obecności 10 duchownych i 100 wiernych opat cysterskiego klasztoru z Krzeszowa Bernard Rosa uroczyście poświęcił nowo wzniesioną budowlę na szczycie Śnieżki. Najprawdopodobniej właśnie wtedy po raz pierwszy na barkach poddanych hrabiego Schaffgotscha zostali wniesieni pierwsi pielgrzymi-turyści na szczyt najwyższej góry Sudetów.

31 sierpnia 1697 roku poddani hrabiego Krzysztofa Leopolda Schaffgotscha, wypełniając znów tak przez siebie znienawidzone feudalne zobowiązania, tym razem wniesli swego pana na specjalnie przygotowanym i przystosowanym krześle na szczyt Śnieżki. Jest to pierwsza potwierdzona historycznie wzmianka o zastosowaniu lektyki jako środka transportu na górskich drogach i bezdrożach Karkonoszy. Wydarzenie to było na pewno wskazówką dla górali, jak można zarabiać na utrudzonych turystach. Skwapliwie skorzystali oni z tej możliwości dodatkowego zarobkowania – do tego stopnia, że toczyli regularne pojedynki na pięści w walce o klienta. Co ciekawe, równocześnie bardzo poważnie traktowali swój warsztat pracy, ponieważ nawet znienawidzony obowiązek odpracowywania przez wszystkich przewodników i tragarzy lektyk jednego dnia w roku przy bu-

downie i naprawie górskich dróg oraz ścieżek chcieli wykorzystać na naprawę i ulepszenie tras wiodących na Śnieżkę.

Do obowiązków ówczesnego przewodnika należała głównie znajomość drogi, trasy marszu, a także niesienie bagażu podróżnego oraz gra na instrumencie podczas postojów w celu umilenia podróży. Nieraz zdarzało się, że wynajęty przewodnik nie potrafił wymienić nawet nazw szczytów górskich widocznych podczas wędrówki. Przewodnictwo i noszenie gości w lektykach nie było wówczas traktowane jako zawód, lecz bardziej jako zabawa lub rozrywka, a przede wszystkim jako dodatkowe źródło dochodów i z tego powodu bardzo często dochodziło do starć pomiędzy tragarzami lektyk a przewodnikami. Za dwudniową wycieczkę przewodnik w latach 90. XVIII wieku, wiodąc turystów ze Ściegien przez Karpacz do Budy Hampla,



na Śnieżkę i z powrotem, otrzymywał około 16 groszy.

5 lipca 1703 roku o godzinie trzeciej po południu pastor Beniamin Schmolck wraz z dwoma przyjaciółmi, ich żonami oraz urzędnikiem państwowym Wagnerem i 5 służącymi wyruszyli z Ciepliec na górszą wędrówkę, prowadzeni przez przewodnika będącego już 30 razy na Śnieżce. Mimo fatalnego stanu drogi nie zrezygnowano w Podgórzynie z podróżowania wozem. W Borowicach pękła oś. W ciemnościach, pieszo i konno, cała wycieczka dotarła do Karpacza Górnego, gdzie schroniła się u nadleśniczego Borrmanna. Spóźniona kolacja składała się z zupy, mendla pstrągów, szynki, mleka, koziego sera oraz domowego piwa. Gospodarz wyłożył pokój czystą słomą, ale całą noc spędzono bezsen- nie z powodu szalejącej na zewnątrz burzy, umilając sobie czas opowieściami o Duchu Gór i chóralnymi śpiewa-

mi. Następnego dnia wynajęto czterech tragarzy, którzy w fotelu plecionym ze słomy mieli wnieść panią pastora na szczyt Śnieżki.

Sposób podróżowania był ściśle związany z pozycją społeczną, jaką zajmował dany człowiek, oraz ilością pieniędzy, którymi dysponował. Wyprawy na najwyższy szczyt Sudetów trwały co najmniej dwa dni. Rozpoczynano je najczęściej w Cieplicach, skąd wyruszano pieszo lub, jak co bardziej zamożni podróżni, w wynajętych wozach przypominających dzisiejszą zwykłą, chłopską furmankę. Jednak fatalny stan górskich dróg umożliwiał dotarcie w ten dość wygodny sposób jedy-

Korzystanie z usług tragarzy lektyk utrzymało się w Karkonoszach aż do lat dwudziestych naszego wieku
fot. ze zbiorów M. Pajdzika





nie do Sosnówki, gdzie można było z kolei wynająć konie, by na ich grzbietach kontynuować podróż, ale tylko do Budy Hampla (schr. Strzecha Akademicka) znajdującej się na Złotówce. W Sosnówce, Borowicach, Karpaczu Górnym i innych podgórskich wsiach i osadach mężczyźni proponowali podróżnikom skorzystanie z możliwości dotarcia na sam szczyt Śnieżki na specjalnie przygotowanym krześle, nazwanym z czasem lektyką.

W latach 1817-1824 władze starostwa jeleniogórskiego i rejencji legnickiej powołały organizację zrzeszającą przewodników i tragarzy lektyk z podkarkonoskich miejscowości. W 1824 w Karpaczu, Sosnówce, Sobieszowie, Piechowicach i Szklarskiej Porębie wprowadzono jednolite zasady działania oraz cennik za świadczone usługi. W 1844 w Karpaczu było 5 przewodników, 8 tragarzy lektyk i 7 pomocników tragarzy. W grupie tej mamy do czynienia z całym przekrojem społecznym ówczesnego Karpacza: 8 komorników, 9 chałupników, 3 zagrodników. Reprezentowali oni różne zawody: 12 było dniówkarzami, 2 stolarzami, znalazł się też w tym towarzystwie wiejski sędzia, krawiec łaciarz, tkacz, kramarz, szewc łaciarz i zielarz. Koszt oferowanych przez nich usług ustalono w roku 1824 na 20 groszy srebrnych za wycieczkę kilkugodziną, natomiast za całonocną albo za niesienie lektyki opłata wynosić miała 1 talara od osoby.

Przez następne 30 lat usługi podróżowały trzy-, czterokrotnie. W roku 1840 przewodnicy i tragarze lektyk wystosowali pismo do władz o umożliwienie wydrukowania i rozkolportowania ogłoszenia o możliwości skorzystania w Karpaczu z ich usług. W 1862 roku w Karpaczu pracowało 40 zatwierdzonych przez władzę przewodników i tragarzy lektyk oraz ich pomocników. Do roku 1857 w Karpaczu Górnym nie było jeszcze normalnej drogi jezdnej, istniały tylko kamieniste ścieżki. Dopiero w roku 1867 wybudowano bardzo stromą, niebrukowaną drogę o szerokości 3 m, łączącą Karpacz z Karpaczem Górnym, więc do roku 1900 wozem można było dotrzeć jedynie do mostu na Łomnicy w Białym Jarze, skąd dalej podróżowano pieszo

bądź w lektyce. Od samego początku ostro krytykowano korzystanie z usług tragarzy lektyk (z czasem także na łamach prasy), jednak ten sposób podróżowania po Karkonoszach przetrwał aż do lat dwudziestych naszego wieku.

W roku 2000 Karpacz święci 40-lecie uzyskania praw miejskich. Idea zorganizowania u stóp Śnieżki imprezy, która będzie świętem wszystkich ludzi gór, a jednocześnie będzie nawiązaniem do starych tradycji regionalnych, spotkała się z dużą przychylnością karpaczańskich władz i dzięki wspólnemu wysiłkowi Tragaria, czyli **I Mistrzostwa Polski Tragarzy Lektyk odbędą się 14 sierpnia 2000 r. u stóp Śnieżki**, w miejscu gdzie wszystko się zaczęło. Będzie to rekreacyjna impreza o charakterze rodzinnym dla mieszkańców Karpacza oraz gości odwiedzających nasze miasto podczas długiego letniego weekendu. Nawiązano współpracę z miastami przygranicznymi i partnerskimi, które mają wystawić swoją reprezentację, istnieje więc realna szansa, że będzie to impreza międzynarodowa.

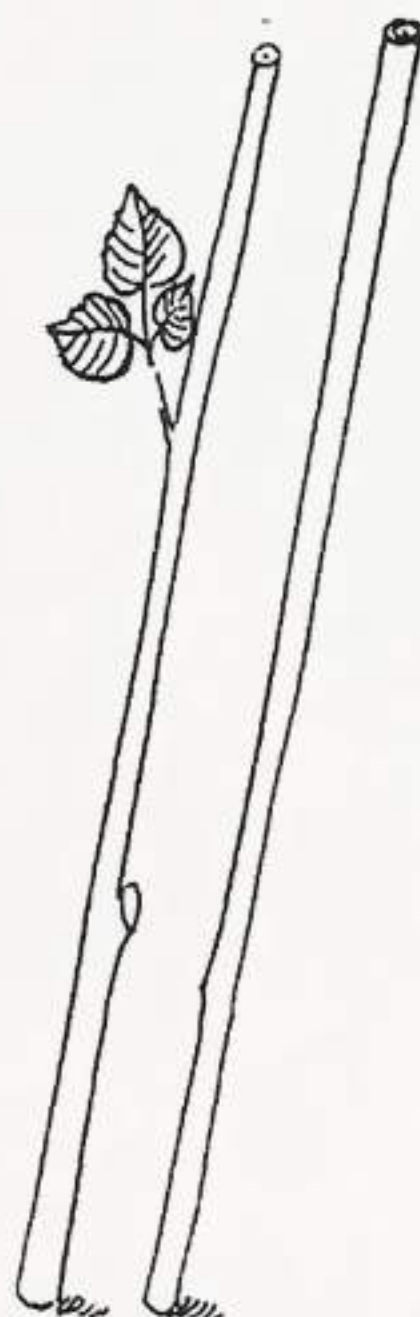
W Tragariach może uczestniczyć każdy, pod warunkiem, iż zgłosi chęć swojego udziału, uiszczy niewielką opłatę startową, przygotuje lektykę oraz skompletuje drużynę, która pokona krótką trasę. Tragarzy czeka „iglasty slalom”, „toczące się kamienie”, „piaskowa piramida” oraz „próba równowagi sił”.

Komisja Sędziowska wybierze najciekawszą, najbardziej atrakcyjną i pomysłową, najefektowniejszą, najoryginalniejszą lektykę, której uda się pokonać trasę Próby Sprawnościowej i jej zostanie przyznana Wielka Nagroda Bractwa Tragarzy Lektyk Miasta Karpacza. Przewidziano również nagrody dla największej lektyki, najcięższego pasażera, najszybszej drużyny i najlepszej lektyki rodzinnej, a także zabawy, konkursy, niespodzianki i wiele innych atrakcji dla publiczności.

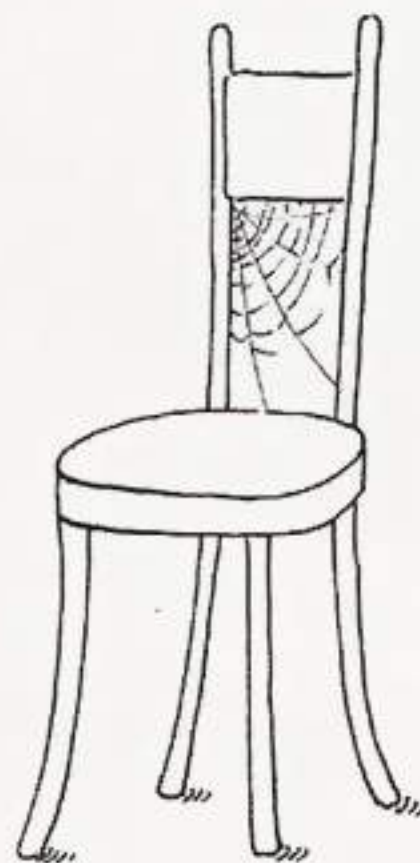
Dlatego już teraz warto zarezerwować sobie czas na pobyt w Karpaczu podczas sierpniowych I Mistrzostw Polski Tragarzy Lektyk. Wszelkie informacje można uzyskać pod adresem **www.karpacz.pl** lub dzwoniąc pod numer telefonu **(075) 76 19 453**.

Ryszard Rzepczyński

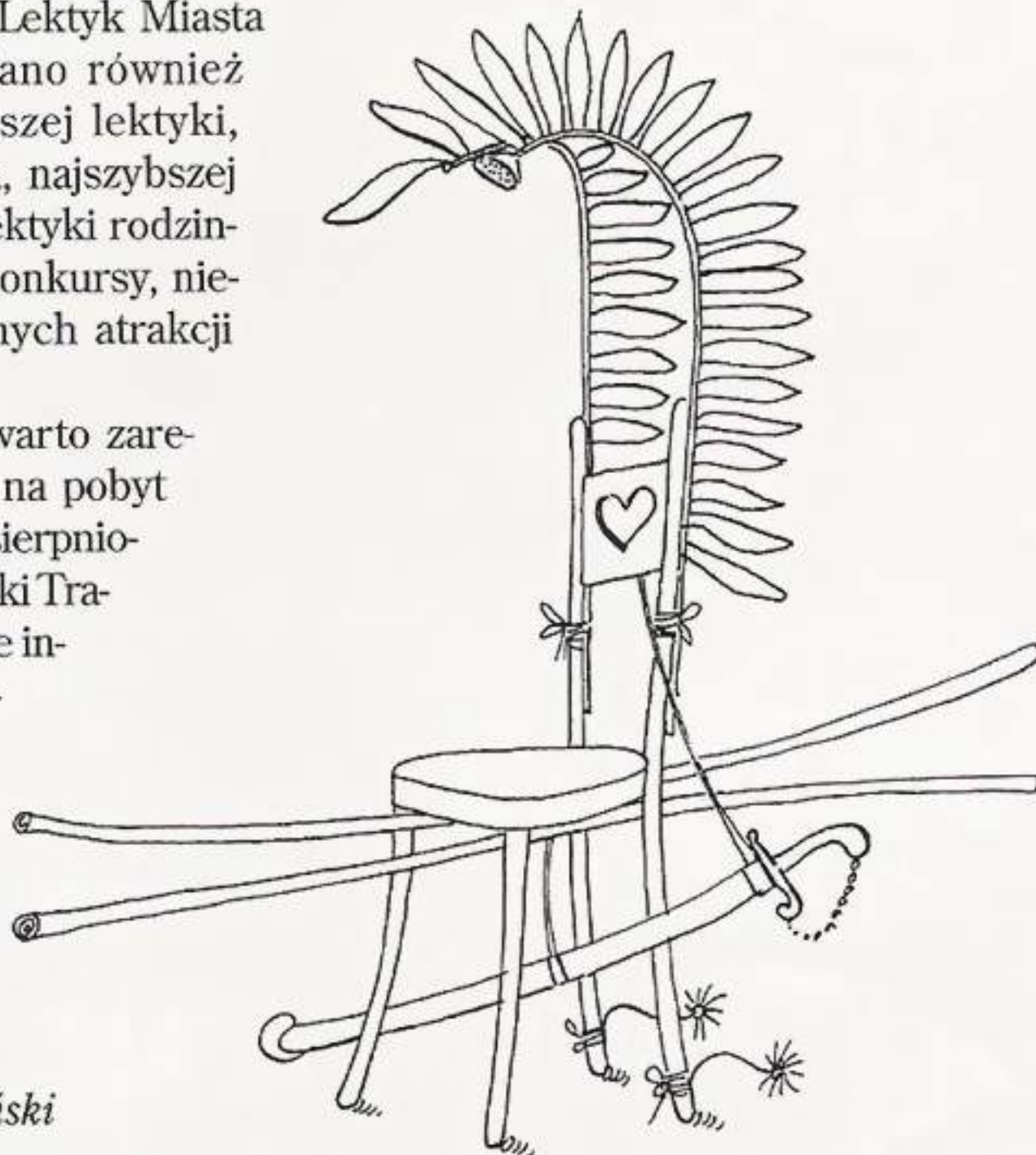
Weź dwa kije, zwane inaczej drągami



Połącz je z zabytkowym siedziskiem swojego dziadka



Nadaj wszystkiemu niepowtarzalny charakter



...i masz szansę na pierwszą nagrodę

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze na str. III okładki zamieściliśmy mapę DUSZNIK-ZDROJU, a nie – jak głosił tytuł – Świeradowa-Zdroju.

Redakcyjny chochlik nie próżnuje. Bardzo przepraszamy!

pomysł
R. Rzepczyński

rys. J. Motylski



*...Rozwikłanie Tajemnicy schodzi na plan dalszy;
tak naprawdę ważna jest droga do niej
i to, co przebywając ją, przeżyjemy...*

fot. Piotr Maliński